tygodnikprzegląd.pl

Przegląd

Nr 21 (1324)
19-25.05.2025
Cena 9,80 zł
(w tym 8% VAT)

ANDRZEJ ROMANOWSKI
NIEPODLEGŁOŚĆ I PATRIOCI

SŁUŻBY NA USŁUGACH PiS

BOHDAN PIĘTKA
EKSHUMACJE W CIENIU KULTU ZBRODNIARZY

WOJCIECH KUCZOK
LAMINE YAMAL – GENIALNY 17-LATEK

ALARM

PLAGA WYŁUDZEŃ

OKRADANIE SENIORÓW

ISSN: 1509-3115 Indeks: 353299
ISSN 1509 3115
21
9 771509 311508

KAZIMIERNIKEJSZYN

WYDARZENIE BEZ SPINKI

16-20 LIPCA 2025

KAMIENIOŁOMY
KAZIMIERZ DOLNY

17 LIPCA

ZALEWSKI · GRUBSON
SMOLIK // KEV FOX
THE DUMPLINGS ORKIESTRA
KAZIMIERSKA ORKIESTRA DZIADOWSKA

18 LIPCA

NOSOWSKA / KRÓL · MROZU
FISZ EMADE TWORZYWO · LOR

19 LIPCA

ØRGANEK · MYSLOVITZ · KALIBER 44
DAWID TYSZKOWSKI · JUCHO

INNI

BILETY/KARNETY: TICKETCLUB.PL

epraca.pl 1050011120

Jerzy Domański

MÓJ PRZEGLĄD

Pożegnanie z kosmitami

Jak mogłaby wyglądać Polska, gdyby władzę dostała trzynastka z minionej kampanii wyborczej? Dla czytelników tego wydania pierwsza tura jest już historią, ale ja mam o wiele gorzej, bo piszę komentarz w piątek wieczorem. Co więc w takiej sytuacji zrobić?

Spróbuję pomarzyć, zamykam oczy i widzę kraj z obietnic, które nam składano. Podatki będą bardzo niskie, a wydatki państwa, na wszystko, pomnożone. Raty kredytów zmaleją. Podobnie jak rachunki za prąd. Składka zdrowotna zostanie zlikwidowana. Lekarze będą czekali na pacjentów. Pracować będziemy tylko cztery dni w tygodniu. Z węglem skończymy od zaraz. Bo zastąpi go atom. Armia będzie największa w Europie. I to bez powszechnego poboru.

Lista obietnic jest zbyt długa, by ją ciągnąć. Szkoda też papieru. Bo nic z tego nie będzie. Poza dwiema-trzema osobami, które takich obietnic nie składały, reszta to kosmici. Wylądowali w krainie o nazwie Polska i nie zdążyli poczytać, w jakiej konkurencji startują. Choć przecież dużo tego nie jest. Uprawnienia i obowiązki prezydenta spisane są na zaledwie kilku stronach. Czy można więc poważnie traktować ludzi, którzy okazują się zbyt leniwi, by to przeczytać? Albo za mało inteligentni, by zrozumieć? Jest jeszcze jedna możliwość. Mówią to, co mówią, bo wyborców uważają za słabo rozgarniętych i tak naiwnych, że kupią każdy kit i ciemnotę, uwierzą w te obiecanki, bo ludzie tak już mają, że nadziei na lepsze potrzebują jak tlenu.

To, co upitrasili kandydaci ze swoimi sztabami wyborczymi, stało w rażącej sprzeczności z głoszonymi przez nich hasłami o budowie wielkiej, dumnej i bogatej Polski. Z tymi ludźmi, a przynajmniej z większością, nie zbuduje się niczego! Można tylko rozwalić to, co już jakoś funkcjonuje.

Mamy więc jako społeczeństwo duży problem. Musimy wiedzieć: dlaczego do polityki garną się coraz marniejsi? Dlaczego unikają jej ludzie o potwierdzonych kompetencjach, z dużym dorobkiem zawodowym i autorytetem? Choć, gdy ogląda się kolejne debaty, trudno się dziwić, że nie palą się do udziału w licytacji na frazesy. Że nie chcą chodzić na debaty, w których dziennikarze sami sprowadzili się do roli konferansjerów. Zapowiadali kandydatki i kandydatów, zadawali to samo pytanie i pilnowali zegara. Żenada. Zachowanie telewizji publicznej było kompromitujące. Odpuściła obowiązki, które na niej ciążą w kampaniach wyborczych, i ze strachu albo dla wygody przytuliła się do stacji prywatnych.

Oczekiwania wobec kandydatów tak się obniżyły, że dziś zostało jedno. Najbardziej elementarne. Spróbujmy wybrać polityka uczciwego. To, że w finale wyborów jest oszust i kłamca, pokazuje, że zrobiło się naprawdę groźnie.

BĄKOWSKI

eprasa.pl 105d0f1123

W NUMERZE

KRAJ

8 **Okradanie seniorów**
Grupa najłatwiejsza do złupienia

11 **„Przegląd" z nagrodą Ikar 2025**
Nasze łamy otwarte dla książek

12 **Do usług PiS**
Służby specjalne do zadań partyjnych

19 **Ceny w górę, nastroje w dół**
Czyją twarz ma inflacja?

22 **Koszty edukacji domowej**
Jest moda – jest biznes

26 **Bal na węglowym Titanicu**
W Jastrzębiu-Zdroju kopalnie na aut

HISTORIA

15 **„Tragiczne okoliczności" zamiast mordu**
Wątpliwy przełom w sprawie ofiar OUN/UPA

OPINIE

30 **Andrzej Romanowski**
Niepodległość i patrioci

SPORT

34 **Ekipa remontadowa**
Barca i Yamal – co za mistrzostwo!

ZAGRANICA

36 **Najszczęśliwsze państwo dla młodych**
Korespondencja z Litwy

40 **Czasopisma naukowe bez redaktorów**
Zyski ważniejsze od jakości

KULTURA

42 **Lojalność i zaufanie**
Różewicz oczami filmowca
– rozmowa z Andrzejem Sapiją

46 **Qulturalia**

66 **Etnoalternatywa**
Nowe spojrzenie na modę ludową

NAUKA

48 **Mówić własnym głosem**
– rozmowa z Konradem Zielińskim

ZDROWIE

50 **Szczepienie, które chroni przed bólem**
– rozmowa
z prof. Krzysztofem Tomasiewiczem

OBSERWACJE

52 **TikTok walczy o prawdę?**
Chiński serwis chce się uwiarygodnić

54 **Iran tańczy w Turcji**
Największa imprezownia Bliskiego Wschodu?

ZWIERZĘTA

58 **Zwierzogród**
Dzika przyroda w miastach

FELIETONY I KOMENTARZE

3 **Jerzy Domański**
Pożegnanie z kosmitami

25 **Jan Widacki**
Dwa brutalne morderstwa

39 **Roman Kurkiewicz**
Nie o siekierze

47 **Tomasz Jastrun**
Pędem ku ścianie

57 **Wojciech Kuczok**
Wybór ogromu ziszczeń

22
KRAJ

KOSZTY EDUKACJI DOMOWEJ
Jest moda – jest biznes

48
NAUKA

MÓWIĆ WŁASNYM GŁOSEM
– rozmowa z Konradem Zielińskim

58
ZWIERZĘTA

ZWIERZOGRÓD
Dzika przyroda w miastach

Projekt okładki: Iza Mierzejewska

FOT. SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 105d0f1123

„Sztandar Młodych” – więcej niż kuźnia talentów

Serdecznie dziękuję Pawłowi Dybiczowi za ciekawy i obiektywny tekst o „Sztandarze Młodych”. Byłem uczestnikiem wielu opisywanych w tekście wydarzeń, m.in. protestu zespołu redakcyjnego w obronie redaktora naczelnego Jacka Nachyły. Obsługiwałem też słynny strajk studentów w Szkole Głównej Służby Pożarniczej i wiele innych wydarzeń, kiedy „Sztandar” stawał w wyraźnej kontrze do władzy. Po ogłoszeniu stanu wojennego wielu dziennikarzy gazety w ramach słynnej weryfikacji zostało wyrzuconych z pracy. Warto tu wspomnieć m.in. Marka Orzechowskiego, Wiesława Budzyńskiego czy Krystynę Grzybowską. Wszyscy oni doskonale odnaleźli się w nowej rzeczywistości. Ja również. Pozostały jednak wspomnienia z pracy w doskonałym zespole dziennikarskim.

„Sztandar Młodych”
– więcej niż kuźnia talentów

Włodzimierz Syzdek,
dziennikarz „SM” w latach 1978-1983

Prace domowe wracają jak bumerang

Kiedy pytam moich licealistów, czy chcą zrobić pracę domową, chętnie się zgadzają. Nikt nigdy za jej brak nie otrzymał oceny negatywnej, natomiast można zyskać pozytywną, i to wysoką. Nie rozumiem tego całego urojonego problemu. Może niech pani Nowacka zakręci się koło podwyżki dla nauczycieli, czyli ponad inflację, bo choć poczyniono pewne pozytywne kroki, to moja grupa zawodowa nadal odstaje pod względem wysokości pensji od średniej krajowej.

Prace domowe wracają jak bumerang

Damian Paweł Strączyk

O kołaczach poza pracą

O kołaczach poza pracą

Szkoda, że lewica, zamiast głosić hasła rewolucji i zmiany sposobu produkcji z kapitalistycznego na socjalistyczny, rozważa kolejną kapitalistyczną utopię, jaką jest bezwarunkowy dochód gwarantowany. Co on zmieni? Czy zmieni stosunki klasowe? Przecież to przesunięcie zera na osi liczbowej pieniędzy – np. na 1 tys. zł czy na 1 tys. euro.

Artur Kozłowski

Ukraina w ruinie

Kraj, na terenie którego toczą się walki, jest przegrany od pierwszego dnia starć. Ukraina nie mogła wygrać tego konfliktu, mogła co najwyżej się obronić. Przez pompowanie w nią pieniędzy i podżeganie do dalszej walki dziś Ukraina jest w zapaści i demograficznej, i ekonomicznej. Pytanie brzmi: kto w tej sytuacji weźmie na siebie koszt odbudowy zrujnowanego kraju, do którego obywatele nie chcą i nie mają po co wracać? Opowieści, że koszty odbudowy się zwrócą, można włożyć między bajki, skoro trzeba kroplówki finansowej, żeby ten kraj mógł funkcjonować. Nie trzeba być specjalistą od geopolityki, żeby zrozumieć, że pieniądze wpompowane w odbudowę Ukrainy mogą się zwrócić jedynie wtedy, gdy będzie ona w stanie samodzielnie wypracowywać PKB, czyli za kilkanaście lub kilkadziesiąt lat. Pomysły takie jak przyłączenie Ukrainy do UE na specjalnych zasadach też można włożyć między bajki, bo są obecnie kraje aspirujące do członkostwa, które muszą spełnić wyśrubowane wymagania, a i tak ich akcesja nie jest gwarantowana. W tym momencie padnie więc z ich strony pytanie, czy wejście Ukrainy do Unii na specjalnych zasadach nie łamie zasady równości tak niby przez UE przestrzeganej. I komu z obecnych członków trzeba zabrać, żeby wpompować pieniądze w Ukrainę.

Ukraina w ruinie

Michał Czarnowski

ZDJĘCIE TYGODNIA

Ataki wojsk izraelskich w Strefie Gazy trwają. Palestyńczycy, którzy uciekli przed nimi z miasta Bajt Lahija, przybyli do Dżabalii. 16 maja 2025 r.

FOT. AP/JEHAD ALSHRAFI/EAST NEWS

eprasa.pl 105d0f1123

Niczego nam tak szybko nie przybywa jak rozwodów. W 2024 r. do sądów trafiło **82 777 pozwów rozwodowych**.

•

Rządy Karola Nawrockiego w **IPN** to ciąg czystek kadrowych. Z centrali instytutu **odeszła już jedna trzecia pracowników.**

•

CBA zatrzymało kolejne pięć osób, w tym dwóch byłych rektorów prywatnych uczelni, zamieszanych w aferę Collegium Humanum, w której sprzedawano dyplomy MBA oraz tytuły magisterskie i licencjaty.

•

O skali korupcji na Ukrainie świadczy przypadek Tatiany Krupy, szefowej oddziału MSEK (Ekspercka Komisja Medyczno-Socjalna) i deputowanej prezydenckiej partii Sługa Narodu, w której domu znaleziono 6 mln dol. w różnych walutach.

•

Ponad 100 dziennikarzy zginęło w 2024 r., najwięcej w Gazie. W tym roku zginęło już 15, a 530 przebywa w więzieniach.

•

Zatrudnienie w prasie papierowej w USA spadło z 365 tys. osób w 2005 r. do 98 tys. w 2023 r.

•

Język polski jest uznawany za 10. język świata pod względem trudności, po chińskim, japońskim, arabskim, tajskim, wietnamskim, greckim, islandzkim, hebrajskim i węgierskim.

•

Prof. Michał Bilewicz jako pierwszy w historii odebrał Nagrodę im. Marka Edelmana dla osób zasłużonych w przeciwdziałaniu antysemityzmowi.

•

W pierwszym kwartale tego roku policja wystawiła **ponad 4,7 mln mandatów**. Od początku 2024 r. kierowcy zapłacili już ponad 1,6 mld zł.

•

Za 19,2 mln koron (7 mln zł) sprzedano na aukcji w Oslo wybitą w Bydgoszczy złotą studukatówkę Zygmunta III Wazy.

•

Polski Związek Działkowców skupia ok. **5 tys. ogródków ROD, z których korzysta 4 mln osób.** Szybko rosną ceny działek. Najwyższe są w Gdańsku i Poznaniu, gdzie przekraczają **300 tys. zł za zabudowane 300-400 m kw.** W Warszawie i Bydgoszczy sięgają **250 tys. zł.**

•

Polska jest drugim eksporterem kwiatów w Unii. W 2024 r. sprzedaliśmy ich za granicę za 8,7 mln euro. Najwięcej sprzedaje Holandia (82 mln euro).

•

Rozwija się piłka nożna kobiet. **W Polsce gra już ok. 30 tys. piłkarek.** Mamy prawie 800 trenerek i 500 sędzi.

•

Tylko siedem krajów spełnia średnioroczne wytyczne WHO dotyczące jakości powietrza: Australia, Bahamy, Barbados, Estonia, Grenada, Islandia i Nowa Zelandia **(„Angora")**.

•

Najwyższy komin na świecie jest w Kazachstanie, w elektrowni GRES-2. Mierzy 419,7 m. Komin Inco Superstack w Kanadzie ma 380 m, elektrowni w Homer City w USA – 371 m, a w Szarypowie w Rosji – 370 m.

•

Najgorszymi kierowcami w Europie są Łotysze (75,83% wykroczeń i wypadków na możliwe 100%), **Austriacy** (73,33%) i **Grecy** (70%). **A najlepszymi Brytyjczycy** (10%), **Irlandczycy** (25%) i **Niemcy** (28,33%). Polacy plasują się w okolicy 50% **(„Angora")**.

PRZEBŁYSKI

Sonik z Nawrockim za rękę

Na nagłą miłość nie ma rady. Uległ jej nawet taki wyjadacz polityczny jak Bogusław Sonik. Obiektem jego wyznań stał się Karol Nawrocki. Eksposeł PO widzi w nim człowieka, „który rozwinął się w tej kampanii, poprawił sposób komunikacji" („Sieci"). Sonik poparł Nawrockiego, „bo jest państwowcem", a wyborcy szukają kandydata racjonalnego. Co do poprawy komunikacji, którą Sonik zauważył u Nawrockiego, to zgoda, Nawrocki bardzo się tu rozwinął. W dwie niedziele wygłosił sześć wersji historii, jak wymanewrował pana Jerzego z mieszkania. Kolejne wersje są do tego stopnia sprzeczne, że poza Sonikiem reszta sztabu Nawrockiego rwie sobie włosy z głowy. Nawet najbliższe otoczenie prezesa IPN traci nadzieję, że Karol po dealu z kawalerką może wylądować w Pałacu Prezydenckim. Jeśli do czegoś mu bliżej, to do miejsca, gdzie słońce słabo przez kraty zagląda.

Jak kulą w płot

Przed konklawe watykaniści i publicyści kościelni bardzo ostrożnie mówili o faworytach. Sporo nazwisk się powtarzało. Wykorzystywano nawet sztuczną inteligencję. Niewielu z tych znawców wskazało Amerykanina Roberta Prevosta. Najbardziej widowiskowo pomylił się Grzegorz Górny, komentator „Sieci": „Szans na zwycięstwo nie ma raczej żaden duchowny z USA, a jest ich aż 10. Większość kardynałów nie zgodzi się, by papieżem został obywatel najpotężniejszego państwa świata, ukształtowany przez kulturę polityczną Stanów Zjednoczonych i posiadający amerykańską mentalność. Dziś jankesi budzą na świecie zbyt wiele niejednoznacznych emocji, by ryzykować wybór na tron Piotrowy jednego z nich".

Trafił jak kulą w płot. Anioł Stróż Górnego chyba przysnął.

Hieny na platformach

Pięć osób zadzwoniło na 112 z informacją, że na UW została zaatakowana kobieta. Dużo więcej wyciągnęło telefony i filmowało ofiarę i mordercę. Błyskawicznie te filmy pokazały się w serwisie X (dawnym Twitterze) i na innych platformach.

Jak ocenić te działania? Nikczemne hieny gapiły się i filmowały. Paskudnie zachował się też policjant, który na komisariacie zrobił i udostępnił zdjęcie mordercy. Bezkarne są platformy, które ciągle pokazują równie drastyczne ujęcia. Robią to dla oglądalności i zwiększania zarobków. Kiedy wreszcie rząd ukróci te haniebne praktyki?

Szkoła dyrektora Graniczki

Rozmaitych numerantów powsadzało PiS do szkół. Zwłaszcza tam, gdzie rządzili fanatycy. Jak w Krakowie, w którym o wszystkim decydowała niesławnej pamięci kurator Barbara Nowak. Dyrektorem XLIV LO jest tam Mariusz Graniczka. Czegóż to on nie wymyślił? Na apelu poświęconym katastrofie smoleńskiej zarzucił minister Nowackiej, że „odbiera szkołom uczenie polskiej literatury i naukę religii". Wcześniej wymyślił, że po Smoleńsku będzie przez rok warta w kościele św. Idziego. W dzień mieli czuwać uczniowie, a nocą rodzice. Szybko to upadło, więc dla rozrywki dyr. Graniczka wzywał rodziców dzieci niechodzących na religię, by się z tego wytłumaczyli. Mamy zatem pytanko: co taki model jeszcze robi w tej szkole?

FOT. MATERIAŁY PRASOWE, YOUTUBE (2), PLATFORMA X

eprasa.pl 105d0f1123

Z GALERII ANDRZEJA MLECZKI

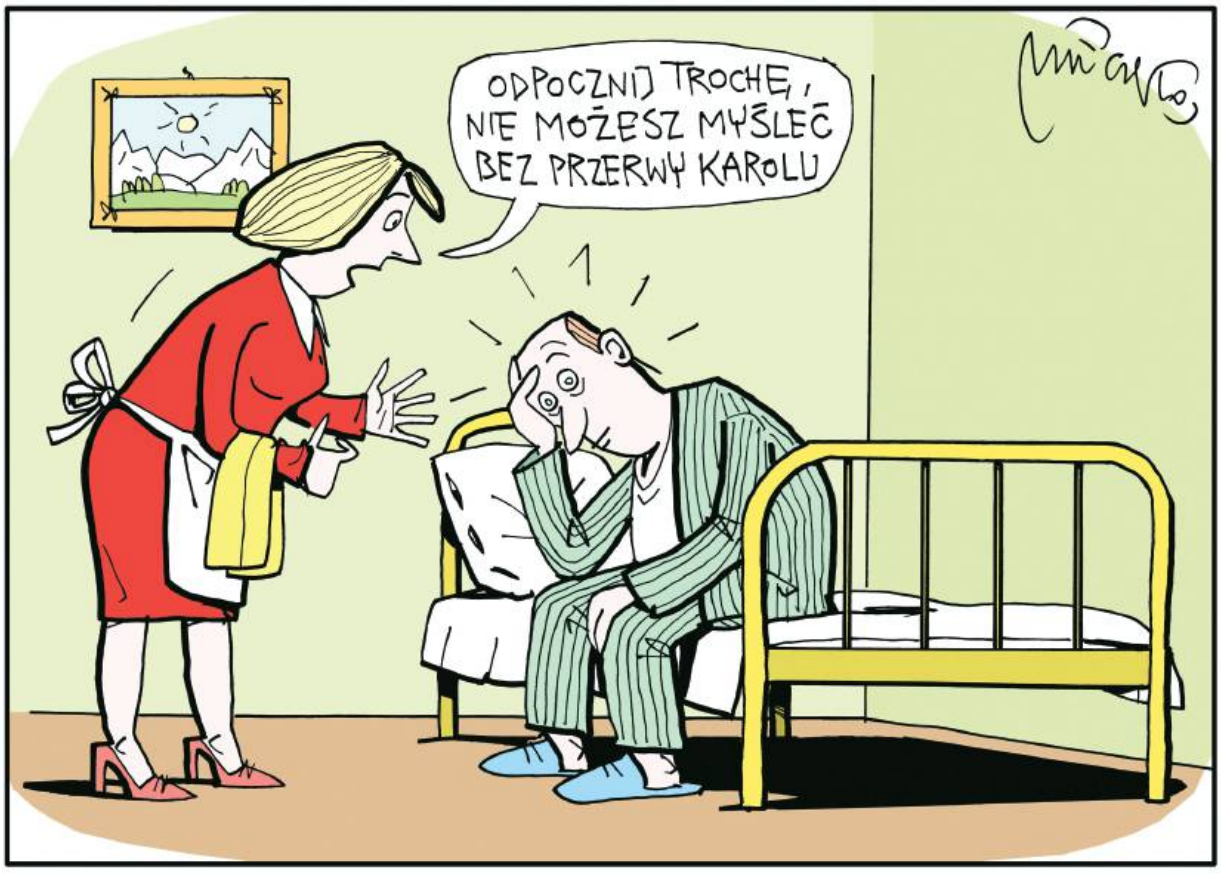

mleczko.pl

sklep.mleczko.pl

PYTANIE TYGODNIA | Czy osoby na stałe mieszkające za granicą powinny mieć prawo do głosowania?

DR HAB. ADAM GENDŹWIŁŁ,
socjolog, geograf, UW

Tak, obywatele Polski mieszkający za granicą powinni dysponować prawem wyborczym, choć powinniśmy dokładniej przemyśleć kilka szczegółów. Na przykład czy nie powinno istnieć, jak w niektórych państwach europejskich, ograniczenie czasowe korzystania z tego prawa. Polacy przebywający czasowo poza Polską zachowaliby prawo głosu, ale już nie osoby, które wyemigrowały z Polski dawno, 5-10 lat temu, albo nigdy nawet nie mieszkały w Polsce. Słuszne więc są wątpliwości, czy ich interesy życiowe są jeszcze w Polsce i czy będą ponosić realne konsekwencje swoich wyborów. Powinniśmy też koniecznie przemyśleć zasady przeliczania głosów padających za granicą w wyborach do Sejmu i Senatu. Obecnie są doliczane do głosów oddawanych w Warszawie, a to bardzo zaburza równość głosów. Niektóre państwa przewidują specjalne okręgi wyborcze dla głosujących za granicą.

DR HAB. MARTA ŻERKOWSKA-BALAS,
socjolożka, politolożka, USWPS

Przede wszystkim musimy pamiętać, że prawo do głosowania, do uczestnictwa wyborczego w danym kraju jest ściśle powiązane z obywatelstwem. Dlatego dopóki ktoś nie zrzeknie się obywatelstwa, formalnie ma prawo głosowania. Należy pamiętać, że ludzie migrują z różnych powodów i często mogą rozważać powrót do kraju. Oddanie głosu za granicą może więc być wyrazem demokratycznej postawy czy troski o ojczyznę. Z drugiej strony w przestrzeni publicznej pojawiają się opinie, że te osoby nie ponoszą bezpośrednich konsekwencji swoich decyzji wyborczych. Jednak, jak widać ze statystyk, głosujący za granicą są niewielkim odsetkiem wszystkich głosujących. Słowem, nie są to głosy, które będą w stanie wywrócić ten polityczny stolik do góry nogami, o ile Polki i Polacy mieszkający w kraju również licznie skorzystają ze swojego prawa.

ANDRZEJ DOMINICZAK,
publicysta, działacz społeczny

To proste: starzy emigranci nie powinni mieć tego prawa, a nowi powinni je tracić po upływie kilku lat. Dlaczego? Po pierwsze, nie ponoszą konsekwencji swoich wyborów. Wyrażają tylko tęsknotę lub „zgryzotę" do starego kraju. Ich prawo do głosowania to w istocie prawo do skazywania nas, w Polsce, na życie pod „cudzymi" rządami. Po drugie, nie znają dobrze sytuacji w kraju ani uczestników zmagań wyborczych. Takie wybory to głównie pretekst do nacjonalistycznych uniesień. Po trzecie wreszcie, nie powinni głosować, bo nie płacą w Polsce podatków i nie ryzykują, że ich pieniądze zostaną zmarnowane lub sprzeniewierzone. Powyższe nie oznacza, że na pewnych warunkach i w drodze sądowej nie mogliby odzyskiwać prawa do głosowania, np. gdy prowadzą działalność gospodarczą na terenie Polski.

Rozmawiał Kornel Wawrzyniak

eprasa.pl 105d0f1123

OKRADANIE SENIORÓW

NAJŁATWIEJSZY CEL DLA PRZESTĘPCÓW

Robert Walenciak

Nie trzeba sięgać po statystyki policyjne, wystarczy zajrzeć do codziennej prasy, porozmawiać ze znajomymi. Plaga wyłudzeń, oszustw przyprawia o ciarki. Metody są różne. Najsłynniejsza to „na wnuczka". Drugi sposób – „na policjanta". Są też podobne: „na pracownika opieki społecznej", „na administrację", „na sprzedawcę", „na bankowca"…

A prezentacje, na których seniorom sprzedawane są rzeczy drogie i niepotrzebne? Do tej listy dorzućmy jeszcze jedną kategorię przestępstw – przejmowanie przez zorganizowane grupy mieszkań i domów…

Gang w Gliwicach

Tę sprawę opisywał niedawno „Fakt". Siedmiu funkcjonariuszy komisariatu policji w Gliwicach regularnie okradało osoby starsze, schorowane, nieporadne życiowo. Właśnie rozpoczyna się ich proces.

Jak czytamy, działali dwutorowo. Typowali osoby starsze, niesamodzielne – nazywali to „spisem dementorów". Nawiązywali z nimi kontakt, okazywali zainteresowanie, oferowali pomoc, sprawdzali, czy seniorzy mają jedzenie, leki, a potem – przy okazji zakupów czy pomocy w drobnych sprawach – okradali ich.

Drugą grupę przestępstw stanowiły interwencje policyjne w sprawie zgonów w mieszkaniach. Umierała starsza, samotna osoba. Policjanci po jej śmierci plądrowali mieszkanie, licząc na to, że i tak nikt się nie dowie, co zniknęło. Potrafili się połasić i na 100 zł, i na 100 tys. zł. Skradzioną biżuterię sprzedawali w lombardach.

Jak zostali złapani? Aż trudno w tę historię uwierzyć. Otóż w okresie od lipca do listopada 2023 r. Maria G., nieżyjąca już seniorka z poważną demencją, regularnie wydzwaniała na komisariat. Najpierw, bo zaginął jej mąż. Okazało się, że nie zaginął, tylko był w szpitalu. Następnie Maria G. zgłosiła kradzież, a potem odnalezienie pieniędzy, które rzekomo do niej nie należały. Policjantom, którzy przyszli do jej mieszkania, pokazała tapczan, w którym znajdowało się 300 tys. zł w reklamówkach. Jak mówiła, to nie były jej pieniądze. Funkcjonariusze zrobili zdjęcie tapczanu pełnego pieniędzy i pokazywali je kolegom. W następnych tygodniach Maria G. próbowała odebrać sobie życie. Przewieziono ją do szpitala psychiatrycznego w Toszku. W tym samym czasie zmarł jej mąż.

I wtedy, skuszeni pieniędzmi z tapczanu, w jej mieszkaniu pojawili się dwaj policjanci: pojechali do szpitala w Toszku, ale nie w odwiedziny do Marii G., lecz do opiekującej się nią pielęgniarki, od której zażądali kluczy do domu seniorki, mówiąc, że potrzebują dowodu jej zmarłego męża; klucz dostali, weszli i wzięli 14 tys. zł. Sprawa klucza nie dawała jednak spokoju pielęgniarce, zwłaszcza że nie otrzymała od policjantów żadnego dokumentu kwitującego jego odbiór. Powiadomiła więc o sytuacji komisariat policji w Gliwicach i jego kierownictwo. Biuro Spraw Wewnętrznych Policji wszczęło dochodzenie. Policjantów okradających mieszkanie Marii G. zatrzymano. A oni złożyli obszerne wyjaśnienia, wskazując zamieszanych w proceder kolegów z komisariatu.

Policjanci złodzieje czuli się pewnie. I bezkarnie. Uważali, że osoby cierpiące na demencję nawet nie zauważą, że straciły pieniądze. A jeśli już, to nikt im nie uwierzy. Wspomnianą Marię G. odwiedzali więc regularnie, „sprawdzając" pieniądze w tapczanie. W ten sposób ukradli jej prawie 100 tys. zł.

Gorzów. Senior walczy z policjantami

Na szczęście nie brakuje też dobrych policjantów. Do 74-letniego mieszkańca podgorzowskiej miejscowości zadzwonił oszust, podający się za funkcjonariusza policji. Poinformował go, że policja rozpracowuje gang wyłudzający pieniądze i że jego środki są zagrożone, więc trzeba je przelać na inne konto. Był skuteczny. Starszy pan przelał prawie 100 tys. zł na konto oszustów. A ci poinformowali go, że gang wciąż działa i że jeszcze będą go prosić o pomoc.

Informacja o wyłudzeniu dotarła do policjantów z Komendy Głównej, którzy skontaktowali się z kolegami z Gorzowa, prosząc, by ostrzegli okradanego mężczyznę. Komenda gorzowska wysłała do seniora swoich funkcjonariuszy, którzy zjawili się u niego, wylegitymowali i poinformowali o całej sprawie. Ale starszy pan im nie uwierzył. Wszystkiemu zaprzeczył. Był przekonany, że pomaga w rozpracowaniu grupy przestępców, i wykonywał polecenia oszusta. Pojechał do banku, by dokonać kolejnego przelewu. Policjanci odnaleźli zatem syna starszego mężczyzny. Zadzwonili do niego z ostrzeżeniem, że ojciec jedzie do banku, by wpłacić pieniądze na konto oszustów. Ale syn też im nie uwierzył. Na szczęście zadzwonił jednocześnie na telefon alarmowy 112, by zgłosić próbę oszustwa. W końcu pojechał do banku, gdzie spotkał ojca i policjantów. Niemal w ostatniej chwili udało się zablokować kolejny przelew na prawie 100 tys. zł.

Rzeszów. Telefon z banku

To historia z Rzeszowa. Na komisariat zgłosił się 52-letni mężczyzna, informując, że jego ojciec padł ofiarą oszustwa internetowego. Najpierw

eprasa.pl 105d0f1123

Warszawa prowadzi wiele akcji ostrzegających seniorów przed oszustami. Nz. wspólna kampania Komendy Stołecznej Policji, Straży Miejskiej i Związku Banków Polskich „Seniorze, nie daj się!" z czerwca 2018 r.

otrzymał SMS z banku, w którym ma konto. „Z informacji wynikało, że bank zablokował próbę przelewu środków w wysokości 900 zł. Oczywiście ani senior, ani syn, który jest współwłaścicielem rachunku, nie wykonywali takiej operacji", przekazał rzecznik rzeszowskiej policji.

Po wysłaniu SMS-a oszust do starszego mężczyzny zadzwonił, podając się za pracownika działu bezpieczeństwa banku. I przekonał go, by zainstalował na swoim telefonie aplikację „zabezpieczającą". Było to złośliwe oprogramowanie, za pomocą którego oszuści uzyskali dostęp do bankowości internetowej starszego pana. W ten sposób stracił on 58 tys. zł. Oszuści próbowali też wziąć kredyt, wykorzystując jego dane.

•

Kolejna relacja: do mieszkania pani Anieli zapukały dwie kobiety. Powiedziały, że przyszły pomóc w wypełnieniu kwestionariusza, który jest niezbędny do otrzymania wsparcia finansowego. Twierdziły, że takie należy się pani Anieli. Poinformowały, że pojawił się problem z danymi, co powoduje trudności w wypłacie świadczenia. Pani Aniela wpuściła je i zaczęła gromadzić dokumenty, o które prosiły kobiety. Jedna z nich, wykorzystując nieuwagę seniorki, w tym czasie przeszukiwała mieszkanie. Po kilku dniach pani Aniela zorientowała się, że została okradziona.

Wrocław i gang trucicieli

Wszystkie te opowieści bledną jednak przy innego typu przestępstwach popełnianych na starszych osobach. Chodzi o przejmowanie mieszkań. Proceder ten dotyczy całej Polski.

Zacznijmy od Mazowsza i tzw. gangu trucicieli. W lutym br. zapadły w tej sprawie wyroki. Prokuratura oskarżała pięć osób, m.in. o pięć zabójstw i sześciokrotne usiłowanie zabójstwa. Ale według sądu oskarżenia te nie znalazły potwierdzenia w zebranym materiale dowodowym. Ostały się więc tylko zarzuty o przejmowanie podstępem mieszkań. Trzy osoby usłyszały wyroki od 8 do 15 lat więzienia, a dwie zostały uniewinnione.

Szczególnie ciekawy był modus operandi grupy. Przestępcy wybierali osoby samotne, schorowane, często uzależnione od alkoholu – i oczywiście posiadające nieruchomości. Nawiązywali z nimi kontakt, zaprzyjaźniali się pod pretekstem pomocy w trudnej sytuacji. Udzielali im pomocy w codziennych sprawach, w ten sposób zdobywając ich zaufanie. Potem uzyskiwali od tych osób pełnomocnictwa, w tym notarialne, do pełnego dysponowania ich nieruchomościami. „Następnie z takim pełnomocnictwem zbywali nieruchomość sobie lub innym osobom. Już na etapie zaprzyjaźniania się z ofiarami w celu pozbawienia ich życia, wykorzystując ich uzależnienie od alkoholu, systematycznie podawali im alkohol zawierający domieszkę izopropanolu, który w konsekwencji skutkował zgonem niektórych z pokrzywdzonych, a w dalszej konsekwencji, zgodnie z zamiarem sprawców pozwalał na zatarcie śladów przestępstwa", informowała prokuratura.

Stąd nazwa gangu – truciciele. Chociaż sąd uznał, że nie ma dowodów, aby oskarżeni celowo truli ofiary.

•

Podobnie wyglądała sprawa, o której w 2013 r. pisała „Gazeta Wrocławska". Warto ją przypomnieć, bo pokazuje mechanizm przejmowania nieruchomości od ludzi starszych i bezbronnych. „Są pierwsi podejrzani w śledztwie dotyczącym gangu pozbawiającego mieszkań osób starszych chorych i samotnych. Na razie zarzuty dotyczą oszustwa i składania fałszywych zeznań. (…) Mechanizm działania przestępców jest prosty. Na ofiary wybierają osoby starsze, bez bliskiej rodziny albo z nią skonfliktowane, niekiedy nadużywające alkoholu. Prowadzą je do notariusza. Tam podsuwają do podpisu dokument ustanawiający oszusta pełnomocnikiem. Później ten pełnomocnik może bez przeszkód sprzedać dom lub mieszkanie. Nawet sam sobie", pisał dziennik. Przypominamy, to był rok 2013.

„Gazeta Wrocławska" opisała historię wyłudzenia od staruszki Ewy J. domu przy ulicy Paderewskiego we Wrocławiu. Ewa J. już nie żyje. Nie miała we Wrocławiu żadnej bliskiej rodziny. Stan jej zdrowia był bardzo zły, kontakt z nią mocno utrudniony. W styczniu 2009 r. psychiatra stwierdził u niej „zaburzenia psychiczne z okresowym nasileniem dezorientacji". Napisał też, że powinna mieć stałą opiekę, i skierował ją do szpitala. Tymczasem na początku lutego pani Ewa pojawiła się w kancelarii notarialnej. Przyszła do niej z Tomaszem N., jednym z oskarżonych

eprasa.pl 105d0f1123

później o wyłudzenia tego typu. Tomasz N. na mocy aktu notarialnego został jej pełnomocnikiem. Założył dla niej nowe konto w banku. Podpisał też „umowę przedwstępną" na sprzedaż nieruchomości za 800 tys. zł. Jak potem wykazano w śledztwie, było to znacznie mniej, niż wynosiła cena rynkowa.

Jakim cudem Ewa J., która w styczniu cierpiała na zaburzenia psychiczne i kontakt z nią był „mocno utrudniony", i która wymagała stałej opieki, mogła w lutym stawić się przed notariuszem? Pytana o to w śledztwie notariusz Edyta N. zeznała, że Ewa J. była „kontaktowa, wnikliwa, wręcz ciekawska". Czy tak było naprawdę? Nie dowiemy się, ponieważ, jak czytamy w „Gazecie Wrocławskiej", Ewa J. „mimo obiecanego jej w akcie notarialnym dożywotniego prawa zamieszkiwania w swoim domu – została przesiedlona na ulicę Witebską. Tu zmarła w niewyjaśnionych okolicznościach. Kremacją ciała i błyskawicznym pogrzebem pani Ewy zajęła się właśnie Edyta N. Od wczoraj podejrzana. Póki co o fałszywe zeznania".

Metoda „na wnuczka"

To najsłynniejszy sposób oszukiwania starszych osób. Za jego pomysłodawcę uchodzi Arkadiusz Ł., pseudonim „Hoss". Praktykować go zaczął na przełomie wieków i – jak oceniają policjanci – wraz z rodzinną grupą przestępczą mógł oszukać ludzi na wiele milionów euro. „Hoss" prowadził wystawne życie, mieszkał w najdroższych hotelach, kupował luksusowe samochody. Ofiary wybierał z książki telefonicznej, na podstawie staroświeckich imion, koncentrując się na wieku i pozycji społecznej. Jego metodę przejęły kolejne grupy przestępcze. W zasadzie nie ma miesiąca, byśmy nie słyszeli o nowych próbach wyłudzenia tą metodą pieniędzy i o kolejnych oszukanych.

Oto jedno z takich wydarzeń z Krakowa, z ostatnich dni. Na telefon stacjonarny 76-letniej mieszkanki stolicy Małopolski zadzwoniła kobieta podająca się za jej córkę. Powiedziała, że miała wypadek, jest sprawczynią i potrzebuje pieniędzy na kaucję. Poprosiła więc o przygotowanie dla niej torby z rzeczami podręcznymi, ubraniami, butami, wśród których starsza pani miała ukryć koperty z gotówką, w sumie 17 tys. zł. Tak zapakowaną torbę miała znieść pod blok i wręczyć taksówkarzowi, który miał po nią podjechać. I wszystko by się udało, gdyby taksówkarz nie nabrał podejrzeń. Zaniepokoiło go, że starsza pani była zdenerwowana i nie wiedziała, gdzie ma być dostarczona torba. A także fakt, że „córka" zmieniała adresy, pod które torbę należało zawieźć. W końcu zadzwonił na numer alarmowy i poinformował o sprawie policję. Policjanci sprawdzili zawartość bagażu i znaleźli ukryte w nim 17 tys. zł. Potem, śledząc torbę, która była przekazywana z jednej taksówki do drugiej, dotarli do Wrocławia, gdzie przesyłkę miał odebrać „mąż" owej „córki". I został złapany na gorącym uczynku.

Policja w Łodzi przestrzega osoby starsze przed różnymi rodzajami oszustw, czerwiec 2022 r.

Plagi naszych czasów

Liczba osób starszych mieszkających w Polsce systematycznie rośnie. Tych powyżej sześćdziesiątki jest już prawie 10 mln – to więcej niż co czwarty Polak. Jedna trzecia tej grupy to seniorzy powyżej 70. roku życia. I właśnie na nich żerują wszelkiego rodzaju oszuści.

Dlaczego im tak łatwo? Plagą dotykającą osoby starsze jest samotność i postępująca nieporadność. Jeżeli więc pojawia się ktoś życzliwy, zainteresowany losem seniora, szybko wkrada się w jego łaski. Tak też działa mechanizm zachęcający osoby starsze do udziału w rozmaitych prezentacjach, podczas których namawia się je do zakupu rzeczy drogich i przeważnie mało potrzebnych. Po pierwsze, wykorzystuje się samotność ludzi starszych, to, że nikt się nimi nie interesuje. Oto przychodzi zaproszenie do udziału w atrakcyjnym wydarzeniu, a ta jego atrakcyjność jest tym większa, im częściej pada słowo zdrowie. Schorowani seniorzy siłą rzeczy interesują się wszystkim, co służy poprawie stanu zdrowia. Dlatego można im wcisnąć różnego rodzaju masażery, „cudowne" koce i inne tego typu wynalazki.

Ważnym hasłem jest również bezpieczeństwo. Osoby starsze wiedzą, że coraz gorzej radzą sobie z trudnościami życia codziennego, że mogą paść ofiarą przestępstwa, więc chętnie współpracują z policjantami, strażnikami, ochroną. Nie zawsze sprawdzając, czy to prawdziwi policjanci.

Ważna jest dla nich także rodzina. To nic, że najbliżsi mieszkają daleko i rzadko babcię czy dziadka odwiedzają. I tak są w ich pamięci idealizowani, a seniorzy zawsze są gotowi pomóc najbliższym w potrzebie…

eprasa.pl 105d0f1123

Te proste mechanizmy są przez oszustów wykorzystywane bez litości. Rocznie ofiarą przestępstw tylko na tzw. legendę, czyli „na wnuczka", „na policjanta", pada ponad 5 tys. seniorów. Okradani są na dziesiątki milionów złotych. A ile takich przestępstw w ogóle nie jest zgłaszanych? W samej Warszawie w pierwszym półroczu 2024 r. zanotowano 153 oszustwa „na wnuczka/policjanta". Pokrzywdzone osoby straciły prawie 7,5 mln zł.

•

O tym, że okradanie osób starszych to plaga naszych czasów, wiedzą w zasadzie wszyscy. Samorządy we współpracy z policją opracowują i drukują specjalne broszury przestrzegające przed oszustami. Opisują w nich metody działania przestępców i radzą, jak w takich sytuacjach postępować.

Niektóre samorządy, np. warszawskich Bielan, kładą silny nacisk na organizację klubów seniora w dzielnicy, by osoby starsze mogły się spotykać, organizować, wspierać, by nie czuły się samotne. Działa tu Centrum Wsparcia Seniora, organizowane są stałe imprezy, wycieczki, działa świetlica dla opiekunów i osób chorych na alzheimera.

Podobną funkcję pełnią powstałe jakiś czas temu warszawskie centra aktywności międzypokoleniowej, działające już na Muranowie, w Śródmieściu i na Białołęce. To miejsca, w których starsi warszawiacy mogą wymieniać się doświadczeniami, wspierać i edukukować, m.in. jak skutecznie bronić się przed coraz bardziej wymyślnymi oszustwami.

Bezpieczny senior

Swoje w kontekście zainteresowania losem seniorów zrobiła także afera Karola Nawrockiego z kawalerką, którą „pozyskał" od Jerzego Ż., osoby schorowanej, nieradzącej sobie w życiu. Media piszą: „pozyskał w niejasnych okolicznościach", choć sprawa niestety jest jasna. Jerzy Ż. miał kawalerkę – ale już jej nie ma. Dziś jej właścicielem jest Karol Nawrocki. Jerzy Ż. miał ją sprzedać za 120 tys. zł – w akcie notarialnym widnieje zapis, że ta suma została mu wypłacona. Tymczasem sam Nawrocki przyznał w mediach, że tych pieniędzy nie zapłacił, że formą ich wpłaty miał być regulowany przez niego czynsz. Innymi słowy, akt notarialny zawiera nieprawdę. Poza tym Nawrocki w osobnym akcie zobowiązał się opiekować Jerzym Ż. i utrzymywać go do końca życia. Okazało się to pustą obietnicą. Nawrocki przyznał, że stracił z panem Jerzym kontakt rok temu i nie wie, gdzie on się podziewa. Cóż to więc za opieka? Dziennikarze znaleźli Jerzego Ż. w publicznym DPS. To państwo utrzymuje teraz pana Jerzego, a nie Karol Nawrocki, właściciel jego kawalerki.

Dobrą, w pewnym sensie, stroną tej afery jest nagłośnienie problemów seniorów. Donald Tusk polecił minister ds. polityki senioralnej Marzenie Okle-Drewnowicz, by przygotowała zestaw propozycji, jak chronić ludzi starszych przed naciągaczami.

Złożenie swojej propozycji zapowiedziała już lewica – projekt ustawy „Bezpieczny senior" przewiduje m.in., że gmina będzie mogła podpisać umowę z osobą starszą i wypłaci jej część wartości mieszkania od razu, a drugą część w równych ratach przez 20 lat. „Najważniejsze jest to, że te osoby będą mogły w tym mieszkaniu mieszkać do końca życia, że zostaną uznane za lokatorów komunalnych, że będą mogły tym mieszkaniem dysponować tak długo, jak będą chciały i jak będą potrzebowały", mówiła Magdalena Biejat.

Coś więc w tej sprawie się dzieje. Polityka i jej rozgrywki, przynajmniej jeśli chodzi o seniorów, mogą na coś się przydać.

Robert Walenciak
r.walenciak@tygodnikprzeglad.pl

„PRZEGLĄD" Z NAGRODĄ **IKAR 2025**

W trakcie uroczystości otwarcia Międzynarodowych Targów Książki w Warszawie wręczono prestiżowe nagrody środowiska książki – Nagrodę Sezonu Wydawniczo-Księgarskiego Ikar. Uhonorowano ks. Adama Bonieckiego, wydawnictwo d2d.pl z Krakowa, wydawnictwo Literatura z Łodzi, Jerzego Kisielewskiego i nasz tygodnik.

„Przegląd" wyróżniono za „nieustanną obecność literatury na łamach pisma, za miejsce, w którym autorzy spotykają czytelników, za omówienia, recenzje, wywiady i fragmenty książek".

Wręczenie Ikarów 2025. Od lewej: przewodniczący Rady ZAiKS Janusz Fogler, prezes Polskiego Towarzystwa Wydawców Książek Rafał Skąpski, Robert Oleś (wydawnictwo d2d.pl), redaktor naczelny „Przeglądu" Jerzy Domański, Wiesława W. Jędrzejczykowa (wydawnictwo Literatura), Jerzy Kisielewski, dyrektor MTKW Jacek Oryl. Warszawa, 15 maja 2025 r.

FOT. PAP/LESZEK SZYMAŃSKI, PIOTR KAMIONKA/REPORTER, KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI

eprasa.pl 105d0f1123

Andrzej Sikorski

Do usług PiS

Wykorzystywanie służb specjalnych do celów partyjnych i przeciw konkurentom politycznym to metoda działania formacji Kaczyńskiego

Aby odwrócić kota ogonem i przykryć aferę z wyłudzeniem mieszkania przez Karola Nawrockiego, PiS przygotowało dla ciemnego ludu narrację, że ich obywatelski kandydat na prezydenta to kryształowy człowiek, który padł ofiarą intrygi służb specjalnych pracujących dla sztabu Rafała Trzaskowskiego. Wskazano nawet winnego.

„Kluczową postacią tu jest szef Departamentu Ochrony Informacji Niejawnych w Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego, płk Jarosław Szafrański. To trzeba bardzo wyraźnie powiedzieć. To, co na mieście huczy o tym człowieku, jest wręcz nieprawdopodobne. I wiadomo, że w gestii Jarosława Szafrańskiego znajdują się bądź znajdowały się materiały, o których tutaj mówimy. Nasi informatorzy mówią o tym, że na podstawie teczki postępowania sprawdzającego powstała notatka, jakiś rodzaj wyciągu informacji, co można na Karola Nawrockiego »odgrzać«", bajdurzył znany z opowiadania fantasmagorii Sławomir Cenckiewicz w TV Republika.

Politycy partii Jarosława Kaczyńskiego twierdzą, że o sprawie mieszkania wiedziała ABW, bo Nawrocki w 2021 r., obejmując stołek prezesa IPN, przeszedł postępowanie sprawdzające dopuszczające do tajemnic państwowych. I niczego nagannego wówczas się nie dopatrzono. Jeśli rzeczywiście tak było, to mamy do czynienia z niesłychanym skandalem. Służby odpowiedzialne za bezpieczeństwo państwa zatuszowały przestępstwo, którego dopuścił się Nawrocki, bo inaczej nie można nazwać przejęcia mieszkania komunalnego od schorowanego i prawdopodobnie niczego nieświadomego człowieka.

Krzysztof Wacławek zaczynał karierę w CBA, gdzie odegrał kluczową rolę w operacji „Krystyna" wymierzonej w Jolantę i Aleksandra Kwaśniewskich.

Tajemnicze samobójstwo w ABW

W czasie gdy przyklepywano Nawrockiemu poświadczenie bezpieczeństwa, w ABW doszło do dramatycznego wydarzenia. Z czwartego piętra centrali agencji w Warszawie wypadł 45-letni mjr Michał M., szef Samodzielnej Sekcji Wsparcia Operacyjnego w Departamencie Ochrony Informacji Niejawnych. Zdaniem prokuratury Michał M. popełnił samobójstwo. Wiadomo, że oficer był w konflikcie z przełożonymi, którzy naciskali na niego, aby wydawał certyfikaty dostępu do informacji niejawnych osobom związanym z PiS, choć osoby te nie dawały rękojmi zachowania tajemnicy – np. prezesowi Orlenu Danielowi Obajtkowi. Były wójt Pcimia nie mógł dostać takiego dokumentu, bo wzbogacił się w niejasnych okolicznościach, utrzymywał kontakty z przestępcami i, jak wiadomo, zasiadał na ławie oskarżonych pod zarzutem współdziałania w zorganizowanej grupie przestępczej, oszustwa i przyjęcia łapówki za ustawienie przetargu.

Ponieważ mjr Michał M. nie godził się na wydawanie certyfikatów osobom, które prowadziły podejrzaną działalność, był represjonowany przez przełożonych. Represje te polegały na nieustannych kontrolach pracy oficera i jego podwładnych. Sprawa śmierci mjr. Michała M. została przez PiS zamieciona pod dywan. Nie wyjaśniono nacisków ani szykan przełożonych. Faktem jest za to, że dwa dni po tragedii ze stanowiskiem pożegnał się płk Radosław Żebrowski, szef Departamentu

eprasa.pl 105d0f1123

Bezpieczeństwa Wewnętrznego i Audytu ABW. Gdy sprawa przycichła, Żebrowski wrócił do służby na stołek wiceszefa ABW. Moi informatorzy twierdzą, że Mariusz Kamiński chciał w ten sposób nagrodzić lojalność usłużnego funkcjonariusza.

Czy mjr Michał M. był też przeciwny wydaniu certyfikatu dostępu do informacji niejawnych Karolowi Nawrockiemu, bo wiedział o przekręcie z mieszkaniem? Oficer popełnił samobójstwo 21 maja 2021 r., a Nawrocki został wybrany przez PiS na prezesa IPN tydzień później. Być może zbieżność dat to przypadek, ale by przeciąć wszelkie spekulacje, minister Tomasz Siemoniak powinien zarządzić audyt w tej sprawie, a wnioski upublicznić.

Szefem ABW był wówczas Krzysztof Wacławek, zaufany człowiek Mariusza Kamińskiego. Wacławek karierę zaczynał w Centralnym Biurze Antykorupcyjnym, gdzie odegrał kluczową rolę w słynnej operacji „Krystyna" wymierzonej w Jolantę i Aleksandra Kwaśniewskich. Chodziło o rzekome ukrywanie majątku przez byłą parę prezydencką. Chociaż nie było ku temu żadnych przesłanek, CBA rozpoczęło śledztwo, w dodatku zaczęto fałszować dowody, aby wrobić Kwaśniewskich w przestępstwo. To na polecenie Wacławka w podległym mu Wydziale Analiz Departamentu Postępowań Kontrolnych CBA powstała analiza wyjściowa do wszczęcia operacji „Krystyna", zakończonej skandalem i kompromitacją.

Pegasusem w opozycję

Jeśli już ktoś ma na sumieniu wykorzystywanie służb do walki politycznej, nie są to Rafał Trzaskowski i Koalicja Obywatelska, ale Jarosław Kaczyński i jego pomagierzy. Wystarczy przypomnieć inwigilację Pegasusem przez CBA ówczesnego senatora Krzysztofa Brejzy, który w 2019 r. był szefem sztabu wyborczego Platformy Obywatelskiej przed wyborami do parlamentu. Jego telefon wielokrotnie hakowano za pomocą cyberbroni, a wykradzione wiadomości zostały zmanipulowane i upublicznione w prorządowych mediach, tak by skompromitować polityka opozycji. Czyli służby współpracowały z propisowskimi dziennikarzami, co też jest przestępstwem. Z telefonu Brejzy wykradziono kilkadziesiąt tysięcy wiadomości z okresu 10 lat, do tego zdjęcia, hasła kont bankowych, a nawet informacje o jego zdrowiu. Niewykluczone, że inwigilacja senatora miała wpływ na wynik wyborów, bo PiS wiedziało niemal wszystko o strategii wyborczej największej partii opozycyjnej.

W 2020 r. Wojciech Czuchnowski alarmował, że służby dostały polecenie, aby kompromitować przeciwników PiS.

Komisja Zgromadzenia Parlamentarnego Rady Europy badająca stosowanie Pegasusa stwierdziła w opublikowanym raporcie, że „polskie wybory parlamentarne w 2019 r. nie zostały przeprowadzone w sposób uczciwy", a „szpiegowanie polityków, dziennikarzy i obrońców praw człowieka w celach czysto politycznych jest wyraźnie sprzeczne z wartościami Rady Europy, prawami człowieka, praworządnością i zasadami demokracji".

Oprócz Brejzy za pomocą Pegasusa inwigilowani byli m.in. były dowódca wojsk lądowych gen. Waldemar Skrzypczak, pisarka i aktywistka Klementyna Suchanow, prokurator Ewa Wrzosek i mec. Roman Giertych.

Braterstwo władzy

Współpraca służb i reżimowych dziennikarzy nie była incydentalna. Przeciekami z CBA telewizja publiczna Jacka Kurskiego szkalowała prezydenta Gdańska Pawła Adamowicza i Romana Giertycha. Portal wPolityce.pl braci Karnowskich ujawnił, że znienawidzona przez PiS liderka protestów kobiet Marta Lempart i „jej ówczesna partnerka Katarzyna K." starały się w przeszłości – bez powodzenia – o pracę w ABW. Dane były bardzo precyzyjne, łącznie z przebiegiem rekrutacji. Ujawnienie takich informacji to nie tylko skandal, ale i przestępstwo. Stwarzało też niebezpieczny precedens, że w celach politycznych polskie służby specjalne są w stanie zdemaskować osoby zainteresowane współpracą. Wiadomo, że wyciek był z ABW, bo teczki kandydatów do służby są chronione – objęte klauzulą niejawności bez względu na to, czy ktoś został przyjęty do służby, czy nie.

Z kolei „Gazeta Polska" na podstawie przecieków z upolitycznionej prokuratury i Służby Kontrwywiadu Wojskowego atakowała trzech byłych szefów SKW gen. Janusza Noska i gen. Piotra Pytla oraz płk. Krzysztofa Duszę, oskarżając ich o zdradę Polski i współpracę z rosyjską Federalną Służbą Bezpieczeństwa, co oczywiście było kłamstwem.

W 2020 r. dobrze poinformowany Wojciech Czuchnowski alarmował na łamach „Gazety Wyborczej", że służby dostały polecenie, aby „kompromitować przeciwników PiS, zbierając dane ze wszystkich dostępnych baz – od policyjnych przez Krajowy Rejestr Karny, informacje operatorów telefonów (billingi), dane ZUS czy inspekcji pracy po tajną Centralną Ewidencję Zainteresowań Operacyjnych". W bazie tej rejestrowane są nazwiska nie tylko ludzi podejrzanych, „ale też przewijających się w sprawach, którzy nie popełnili żadnego przestępstwa, ale np. byli z osobą podejrzewaną w relacjach towarzyskich, partnerskich lub rodzinnych".

Z czwartego piętra centrali ABW w Warszawie wypadł 45-letni mjr Michał M. PiS zamiotło sprawę pod dywan. Nie wyjaśniono nacisków ani szykan przełożonych.

Serwis Służby Specjalne donosił o tajnej „operacji Hoover" (od nazwiska legendarnego szefa FBI

FOT. WOJCIECH OLKUŚNIK/EAST NEWS

eprasa.pl 105d0f1123

J. Edgara Hoovera): „Częścią działań wymierzonych w opozycję jest przekazywanie informacji z nielegalnych podsłuchów internetowym trollom działającym na zlecenie PiS. W ten sposób dystrybuowane są plotki i pomówienia. Konta internetowe, z których dystrybuowany jest tego rodzaju hejt, są zakładane na karty SIM będące w gestii Centralnego Biura Antykorupcyjnego". Tomasza Szwejgierta, wicenaczelnego portalu i byłego agenta CBA, też inwigilowano Pegasusem. Podpadł on PiS jako współautor demaskatorskiej biografii Mariusza Kamińskiego. Był dwukrotnie aresztowany, jak twierdzi – w wyniku pomówień, za to, że ujawnił liczne przestępstwa, w których ukrywanie byli zaangażowani szefowie służb Maciej Wąsik i Mariusz Kamiński.

Szwejgierta nie tylko inwigilowano i więziono. Reżimowa lustratorka Dorota Kania, korzystając z kwitów zgromadzonych prawdopodobnie w CBA i Instytucie Pamięci Narodowej, wzięła na tapet jego bliskich. Przyrodni brat Szwejgierta miał być funkcjonariuszem Stołecznego Urzędu Spraw Wewnętrznych, wuj – oficerem Korpusu Bezpieczeństwa Wewnętrznego, ojciec zaś jako oficer śledczy KBW brał udział w akcji likwidacyjnej Józefa Kurasia „Ognia".

Inwigilacja i szantaż

Polityków opozycji, aktywistów i działaczy antypisowskich śledzono nawet w hotelach państwowego Polskiego Holdingu Hotelowego. Miało się to odbywać na polecenie Macieja Wąsika i za wiedzą prezesa holdingu Gheorghe Cristescu, zaufanego człowieka Joachima Brudzińskiego. Inwigilacja polegała na obserwacji gości, zakładaniu podsłuchów w pokojach, przekazywaniu danych z kart kredytowych, a nawet przeszukiwaniu pokoi. Jednym z infiltrowanych w ten sposób miał być Bartosz Kramek, współzałożyciel opozycyjnej wobec PiS Fundacji Otwarty Dialog. Śledzeni byli też posłowie PO, którzy w hotelu Marriott przy warszawskim lotnisku Chopina spotkali się z liderką białoruskiej opozycji Swiatłaną Cichanouską.

Wiele wskazuje na to, że PiS nawet po przegranych wyborach w 2023 r. zamierzało wykorzystać służby specjalne, by utrzymać władzę. Jak ujawnił były szef CBA Paweł Wojtunik, w październiku 2023 r., dwa dni przed głosowaniem, w Ośrodku Konferencyjno-Szkoleniowym CBA w Lucieniu odbyła się tajna narada z udziałem kierownictwa Ministerstwa Spraw Wewnętrznych i Administracji oraz szefów służb, na której zapadła decyzja o inwigilacji polityków partii demokratycznych. Jarosław Kaczyński i spółka liczyli na to, że w wyniku założonych naprędce podsłuchów uda się zebrać kompromitujące materiały, które potem miały być użyte do szantażu lub przekazane zaprzyjaźnionym dziennikarzom. PiS chciało w ten sposób storpedować negocjacje pomiędzy KO, PSL, Lewicą i Polską 2050 dotyczące utworzenia rządu. Szczególną „opieką" ze strony służb mieli być otoczeni politycy partii Szymona Hołowni i PSL.

Andrzej Sikorski

eprasa.pl 105d0f1123

„Tragiczne okoliczności" zamiast mordu

Bez przełomu, czyli ekshumacja w cieniu kultu zbrodniarzy

Bohdan Piętka

Prace przy ekshumacji ofiar rzezi na terenie dawnej wsi Puźniki. Ukraina, obwód tarnopolski, 25 kwietnia 2025 r.

Na początku bieżącego roku ogłoszono przełom w stosunkach polsko-ukraińskich, którym miała być zgoda Ukrainy na przeprowadzenie ekshumacji ofiar ludobójstwa na Wołyniu i w Małopolsce Wschodniej. W kwietniu okazało się jednak, że ekshumacje odbędą się na razie tylko w Puźnikach, a ściślej w miejscu, gdzie do nocy z 12 na 13 lutego 1945 r. istniały Puźniki – polska wieś w dawnym powiecie buczackim województwa tarnopolskiego (obecnie rejon czortkowski obwodu tarnopolskiego). Prace poszukiwawcze w tym miejscu były prowadzone już w 2023 r. przez badaczy z Polskiej Bazy Genetycznej Ofiar Totalitaryzmów – Centrum Badawczego Pomorskiego Uniwersytetu Medycznego w Szczecinie pod przewodnictwem prof. Andrzeja Ossowskiego oraz Fundację Wolność i Demokracja.

Pod koniec kwietnia rozpoczęły się tam prace ekshumacyjne prowadzone przez polską Fundację Wolność i Demokracja oraz ukraińską Fundację Wołyńskie Starożytności. Przedstawicieli polskiego IPN dopuszczono tylko jako obserwatorów. 3 maja ukraiński wiceminister kultury Andrij Nadżos poinformował, że do tego czasu odnaleziono szczątki 30 osób, z których 20 zostało już ekshumowanych. „Rzeczywiście są tam szczątki zarówno kobiet, jak i mężczyzn", oświadczył Nadżos. Przyznał też, że „znaleziono szczątki kilkorga dzieci", jednak według niego „nie możemy mówić o przyczynie ich śmierci". Zanegował zatem fakt, że wśród ofiar zbrodni były dzieci.

Pomajdanowa Ukraina nie zrezygnuje z kultu zbrodniarzy z OUN i UPA.

Należy zwrócić uwagę, że ukraiński wiceminister nie wspomina o zbrodni ani o jej sprawcach, tylko mówi o „tragicznych wydarzeniach". Jakich? Miał tam miejsce zbiorowy wypadek komunikacyjny czy może uderzył meteoryt?

Były ambasador polski w Kijowie Bartosz Cichocki ujawnił, że jeden z postulatów strony ukraińskiej dotyczy wyłączenia z identyfikacji niemowląt i małych dzieci. To nie tylko zaniżyłoby liczbę ofiar, ale również zakłamało obraz zbrodni dokonanej przez OUN/UPA. W tym kontekście zrozumiała staje się wypowiedź ukraińskiego wiceministra, że nie można mówić o przyczynach śmierci ekshumowanych dzieci.

Andrij Nadżos wyraził przypuszczenie, że może dojść do poszukiwań szczątków Polaków pogrzebanych w innych miejscach na Ukrainie. Równocześnie dodał, że strona ukraińska oczekuje analogicznych działań w Polsce. Chodzi o ekshumację i upamiętnienie znajdujących się na terenie Polski pochówków członków UPA. W ten sposób Ukraina narzuca stronie polskiej swoją ocenę historii, w której mowa nie o ludobójstwie dokonanym na polskiej ludności cywilnej przez OUN/UPA, ale o „konflikcie polsko-ukraińskim"

eprasa.pl 105d0f1123

i symetrii ofiar. Prawda historyczna jest jednak taka, że tej symetrii ofiar nie było, nawet jeżeli weźmiemy pod uwagę dawno upamiętnione w Polsce ukraińskie ofiary cywilne z Sahrynia i Pawłokomy. Większość ofiar po stronie ukraińskiej stanowili uzbrojeni terroryści z UPA, którzy zginęli w walce (z NKWD, MO i KBW), natomiast ofiary polskie na Wołyniu i w Małopolsce Wschodniej to bestialsko zamordowani cywile. Tu nie ma symetrii.

Zanegowanie ludobójstwa wołyńsko-małopolskiego przez przyjęcie tezy o symetrycznym konflikcie polsko-ukraińskim i symetrii ofiar było pomysłem nacjonalistów ukraińskich. Głosiła to m.in. Sława Stećko (1920-2003), żona Jarosława Stećki (1912-1986), najpierw zastępcy Stepana Bandery, a od 1959 r. lidera Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów na emigracji. Po śmierci męża Sława Stećko stanęła na czele emigracyjnej OUN i współtworzonego przez nią Antybolszewickiego Bloku Narodów (do którego należała też Konfederacja Polski Niepodległej, co dzisiaj jest negowane). W 1991 r. powróciła na Ukrainę i założyła nawiązujący do tradycji OUN Kongres Ukraińskich Nacjonalistów, który aktywnie uczestniczył w pomarańczowej rewolucji 2004 r. i wszedł następnie w skład koalicji Nasza Ukraina-Ludowa Samoobrona Wiktora Juszczenki.

Wizje historii

Sława Stećko wielokrotnie twierdziła publicznie, że Polacy i Ukraińcy powinni traktować wspólną historię w taki sposób, w jaki Amerykanie podchodzą do wojny secesyjnej, tj. „z równym sercem do obydwu stron". Problem w tym, że to, co się stało w latach 1943-1945 na byłych Kresach Południowo-Wschodnich II RP, ma się nijak do amerykańskiej wojny secesyjnej, podczas której nikt nie dokonywał ludobójczych czystek etnicznych. Taka wizja symetrycznego konfliktu polsko-ukraińskiego i symetrii ofiar, jak to zaproponowała Sława Stećko, została przyjęta na Ukrainie po 2004 i 2014 r. przez państwową politykę historyczną, która neguje zbrodniczy charakter ideologii i działań OUN/UPA. Nastąpiło to przy całkowitej bierności polityków polskich, kurczowo trzymających się wyprowadzonego fałszywie z programu ULB (skrót od Ukrainy, Litwy i Białorusi) Jerzego Giedroycia dogmatu o bezwarunkowym wspieraniu Ukrainy i przez to bezradnych wobec ukraińskiej polityki historycznej.

Zbrodni w Puźnikach, w wyniku której zamordowano co najmniej 52 Polaków, dokonał kureń UPA pod dowództwem Petra Chamczuka „Bystrego".

Ukraińską racją stanu jest doprowadzenie do uznania przez Polskę tego, co miało miejsce w relacjach polsko-ukraińskich w latach 1943-1947, za konflikt symetryczny z symetrią ofiar. Czyli żeby strona polska zaakceptowała taką wizję historii,

KSIĄŻKA **PRZEGLĄDU**

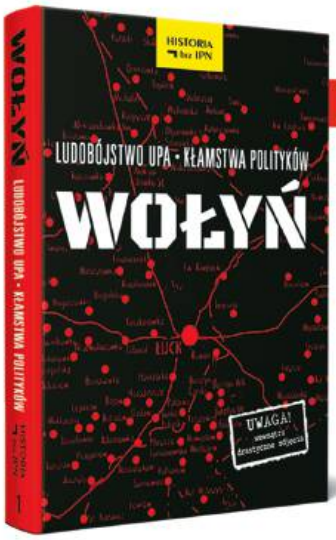

PRAWDZIWA DO BÓLU

Zbrodnie banderowców opisane przez tych, którym udało się przeżyć

44 zł

KULT BANDERY I SZUCHEWYCZA

Polsko-ukraiński spór o historię

50 zł

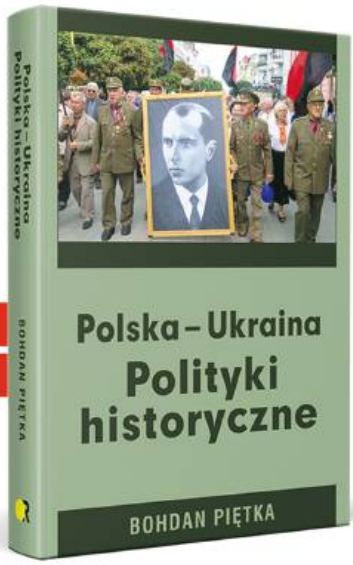

Dostępne także w formie e-booka

Zamów książki na **sklep.tygodnikprzeglad.pl** lub wpłać na konto: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821 Fundacja Oratio Recta, 03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7. **Darmowa wysyłka** listem nierejestrowanym Pocztą Polską.

eprasa.pl 105d0f1123

która uwalnia sprawców od winy za zbrodnie przeciw ludzkości i umożliwia Ukrainie heroizację OUN i UPA jako domniemanego ruchu wyzwoleńczego („armia bez skazy"). Wizję historii, w której nie było banderowskiego ludobójstwa, wynikającego z faszystowskiej ideologii OUN, były natomiast jakaś „wojna chłopska" i jakiś konflikt nie wiadomo o co, jak to przedstawił ponad dekadę temu negacjonista zbrodni wołyńskiej Wołodymyr Wjatrowycz.

Dlatego z ekshumacją ofiar ludobójstwa dokonanego przez OUN i UPA wiąże się jeden kluczowy problem, o którym milczą wiodące media w Polsce. Sama ekshumacja (zakładając, że do niej dojdzie na całych dawnych Kresach Południowo-Wschodnich II RP) niczego nie zmienia w historycznym rozliczeniu zbrodni wołyńskiej. Takie rozliczenie może mieć miejsce dopiero wtedy, gdy nastąpi zgodne z prawdą historyczną upamiętnienie ofiar, które będzie nazywać po imieniu zbrodnię i jej sprawców. Krótko mówiąc, żeby historię tę zamknęło pojednanie polsko-ukraińskie, Ukraina musi powiedzieć prawdę. Do tego strona ukraińska nie jest jednak zdolna, ponieważ oznaczałoby to wywrócenie całej pomajdanowej polityki historycznej.

Z przecieków docierających ze strony ukraińskiej wynika, że ewentualne upamiętnienia polskich ofiar będą wyglądać tak jak dotychczas. To znaczy będzie dopuszczona co najwyżej formuła, że ofiary zginęły w „tragicznych okolicznościach". Zresztą w Janowej Dolinie (obecnie Bazaltowe) nawet na tyle nie było przyzwolenia. W 1998 r. strona ukraińska usunęła z pomnika ufundowanego tam przez rodziny ofiar datę „23 kwietnia 1943" i pozwoliła jedynie na napis „Pamięci Polaków z Janowej Doliny". Natomiast niedaleko odsłonięty został pomnik upamiętniający UPA, czyli sprawców zbrodni, z inskrypcją negującą zbrodnię w Janowej Dolinie (podano tam fałszywe daty 21-22 kwietnia 1943 r. i informację o likwidacji przez UPA „bazy polsko-niemieckich okupantów Wołynia").

Pomnik Petra Chamczuka odsłonięty jesienią 2014 r. w Czortkowie, kilkanaście kilometrów od miejsca, gdzie do lutego 1945 r. istniała wieś Puźniki.

Pomnik zbrodniarza

Zbrodni w Puźnikach, w wyniku której według raportu NKWD zostało zamordowanych co najmniej 52 cywilnych Polaków, dokonał kureń Ukraińskiej Powstańczej Armii pod dowództwem Petra Chamczuka „Bystrego" (1919-1947 albo 1948). „Bystry" to jeden z pomniejszych watażków UPA, który po przewrocie politycznym w 2014 r. (drugim Majdanie) został włączony do panteonu bohaterów narodowych Ukrainy na równi ze Stepanem Banderą, Romanem Szuchewyczem, Dmytrem Kłaczkiwskim i innymi przywódcami OUN i UPA.

Okazały pomnik Chamczuka odsłonięto jesienią 2014 r. w Czortkowie, kilkanaście kilometrów od miejsca, gdzie do lutego 1945 r. istniała wieś Puźniki. Informacja o tym przedostała się do niszowych polskich mediów dopiero w połowie 2018 r. dzięki temu, że fakt gloryfikacji Chamczuka na pomajdanowej Ukrainie nagłośniły tamtejsze organizacje żydowskie. Chamczuk bowiem brał też udział w zagładzie Żydów. Protest społeczności żydowskiej na Ukrainie został zignorowany i gloryfikacja kurinnego „Bystrego" w rejonie czortkowskim trwa.

Miejsce gloryfikacji nie jest przypadkowe, ponieważ Chamczuk pochodził z powiatu czortkowskiego i przed 1939 r. uczył się w polskim gimnazjum. Od 1941 r. służył w Armii Czerwonej i dostał się do niewoli niemieckiej (prawdopodobnie zdezerterował na stronę niemiecką). Potem jego droga była identyczna jak większości mniejszych i większych dowódców UPA. Najpierw służba w Schutzmannschaften – ochotniczych oddziałach policji pomocniczej działających na okupowanych przez Niemcy terenach ZSRR i przeznaczonych do wykonywania akcji pacyfikacyjno-eksterminacyjnych, w tym eksterminacji Żydów – następnie dezercja do UPA. Początkowo dowodził sotnią UPA „Szare Wilki", a później kureniem „Bystry". Na przełomie 1944 i 1945 r. Chamczuk kierował czystką etniczną ludności polskiej na terenie dawnych powiatów buczackiego, czortkowskiego i zaleszczyckiego. W nomenklaturze ukraińskiej polityki historycznej nazywa się to, że walczył o niepodległość Ukrainy.

Najbardziej znaną zbrodnią popełnioną przez kureń UPA pod dowództwem Chamczuka był mord w Baryszu w powiecie buczackim (obecnie rejon czortkowski). Napad na zamieszkane przez Polaków osiedle Mazury w miasteczku Barysz miał miejsce w nocy z 5 na 6 lutego 1945 r. Miejscowości tej broniło ▸

Kat Polaków zamordowanych w Puźnikach jest czczony od 2014 r. tuż obok miejsc, gdzie bezimiennie pogrzebano jego ofiary.

FOT. WOJCIECH OLKUŚNIK/EAST NEWS, WIKIPEDIA

eprasa.pl 105d0f1123

tylko 10 żołnierzy z istriebitielnych batalionów, ponieważ większość z nich dzień wcześniej wezwano do Buczacza (był to prawdopodobnie podstęp ukraiński). Osiedle Mazury zostało całkowicie spalone, a po stronie polskiej zginęło ok. 120 osób. „Mordy dokonane ze znacznym bestialstwem", raportował o zbrodni w Baryszu oficer organizacji NIE (czyli rozwiązanej Armii Krajowej).

Krewni zamordowanych Polaków ufundowali w 2012 r. skromny pomnik na zbiorowej mogile ofiar, która znajduje się na cmentarzu w Baryszu. Władze ukraińskie nie pozwoliły podać, z czyjej ręki zginęły te ofiary. Jest tam napis, że spoczywający w mogile „zginęli tragicznie w nocy z 5 na 6 lutego 1945 roku". W wyniku powodzi czy trzęsienia ziemi?

W nocy z 2 na 3 lutego 1945 r. kureń pod dowództwem Chamczuka dokonał napadu na Czerwonogród w powiecie zaleszczyckim (obecnie rejon czortkowski). Wsi, w której schroniło się ok. 1,5 tys. osób z okolicznych miejscowości, bronił 100-osobowy oddział IB. Upowcy w białych ubraniach maskujących wdzierali się do domów, gdzie nożami i siekierami zabijali napotkane osoby, bez względu na płeć i wiek. Drewniane zabudowania podpalali. Zginęło od 49 do 60 Polaków i siedmiu żołnierzy IB. Straty UPA wyniosły dwóch zabitych i czterech rannych.

Spalone domy

7 lutego 1945 r. kureń Chamczuka dokonał zbrodni we wsi Zalesie Koropieckie w powiecie buczackim (obecnie rejon czortkowski). Przed wojną mieszkało w niej ok. 200 Polaków i 450 Ukraińców. Kilka godzin przed zbrodnią we wsi pojawili się umundurowani oficerowie radzieccy, którzy przekazali mieszkańcom, że mogą się czuć bezpiecznie i spać w domach. Najprawdopodobniej byli to przebrani upowcy.

Po zajęciu wsi przez UPA nikogo z niej nie wypuszczono. Polaków przejeżdżających przez Zalesie bądź przybyłych do miejscowego młyna zatrzymywano. Polskie kobiety z dziećmi zamknięto w jednym z domów i poddano przesłuchaniu połączonemu z torturami. Chciano od nich wydobyć informacje o polskiej samoobronie w Puźnikach. Po przesłuchaniu ofiary zamordowano siekierami. Według innej relacji zostały one spalone żywcem w miejscowej suszarni tytoniu. Zginęło od 60 do 70 Polaków, w tym siedem osób z Puźnik. Domy zamordowanych Polaków upowcy spalili. Uprowadzili też właściciela młyna, Ukraińca Sławomira Danielewicza, który sprzeciwił się udziałowi w mordzie na Polakach. Jego zmasakrowane ciało odnaleziono kilka dni później.

Większość ofiar po stronie ukraińskiej stanowili terroryści z UPA, ofiary polskie na Wołyniu i w Małopolsce Wschodniej to bestialsko zamordowani cywile.

Kolejne zbrodnie kureń Chamczuka popełnił w Puźnikach (12/13 lutego 1945 r., od 52 do 120 ofiar) i w Byczkowcach w powiecie czortkowskim (14 lutego 1945 r., ok. 100 ofiar). Ogółem w lutym 1945 r. UPA i wspierająca ją ludność ukraińska wymordowały na terenie byłego województwa tarnopolskiego ponad 1 tys. Polaków, paląc ponad 50 zamieszkanych przez nich wsi. Zbrodnie dokonane przez kureń Chamczuka były jednymi z ostatnich antypolskich działań UPA na terenie dawnej Małopolski Wschodniej. Można zatem powiedzieć, że Chamczuk kończył ludobójczą czystkę etniczną zapoczątkowaną na Wołyniu przez sotnię UPA Hryhorija Perehijniaka, która 9 lutego 1943 r. wymordowała co najmniej 149 mieszkańców Parośli Pierwszej.

Informacji o udziale Chamczuka w zbrodniach przeciw ludzkości, popełnionych na Polakach i Żydach, nie znajdziemy w jego notce biograficznej zamieszczonej w ukraińskiej Wikipedii. Znajdziemy tam natomiast zupełnie fantastyczne opowieści o rzekomych bitwach sotni Chamczuka „Szare Wilki" z Niemcami (w jednej z nich miało zginąć aż 300 Niemców). Tak wygląda fałszowanie historii na pomajdanowej Ukrainie, o czym politycy i media w Polsce dobrze wiedzą.

Wspomniany Bartosz Cichocki, komentując dla RMF24 ekshumacje w Puźnikach, stwierdził: „Przeciwników porozumienia polsko-ukraińskiego na gruncie historycznym jest bardzo wielu. Oni są nie tylko w Rosji, oni są także w Polsce, oni są także na Ukrainie". Ale przecież ci wrogowie porozumienia polsko-ukraińskiego nie mieliby żadnego pola do popisu, gdyby nie polityka historyczna Ukrainy. To jest pierwotna i najważniejsza przyczyna problemów z zamknięciem historycznych rozliczeń polsko-ukraińskich. Tego politycy polscy dyskretnie nie zauważają, chociaż to wiedzą.

Kat Polaków zamordowanych w Puźnikach i innych miejscowościach obecnego rejonu czortkowskiego jest czczony od 2014 r. tuż obok miejsc, gdzie pogrzebane są bezimiennie jego ofiary. I nadal będzie czczony, ponieważ pomajdanowa Ukraina nie zrezygnuje z kultu zbrodniarzy z OUN i UPA. Na tym kulcie zbudowała swoją tożsamość narodowo-polityczną przy bierności lub bezradności wspierających ją polityków polskich. Jak zatem politycy polscy wyobrażają sobie zapowiedziany przełom w sprawie historycznego rozliczenia zbrodni wołyńskiej?

Przełomu tego nie będzie, skoro w przestrzeni publicznej Ukrainy funkcjonuje historyczne kłamstwo w postaci negowania zbrodni OUN i UPA. Negowania poprzez przypisywanie sprawcom tych zbrodni roli bohaterów walki narodowowyzwoleńczej i używanie eufemizmu o „tragicznych okolicznościach" śmierci ich ofiar. Jeśli ten negujący zbrodnię eufemizm zostanie powtórzony przy upamiętnieniu ekshumowanych ofiar ludobójstwa OUN/UPA na ludności polskiej, to zamiast przełomu będzie niestety nadal kłamstwo historyczne i otwarta rana.

Bohdan Piętka

eprasa.pl 105d0f1123

CENY W GÓRĘ, NASTROJE W DÓŁ

Czy drożyzna za rządów PiS była większa niż dziś?

Grzegorz Rudnik

Premier Morawiecki, chcąc uzasadnić rekordowo wysoką inflację w latach 2022-2023, posługiwał się terminem „putinflacja" i zwalał winę na wojnę toczącą się w Ukrainie oraz na Komisję Europejską, która obłożyła Polskę horrendalnymi opłatami za emisję dwutlenku węgla, czego następstwem był wzrost cen energii elektrycznej, a tym samym towarów i usług.

Inaczej widział problem były lider partii Porozumienie Jarosław Gowin. Mówił o „trzech ojcach »Polskiego Ładu« i polskiej drożyzny", czyli premierze Mateuszu Morawieckim, prezesie Jarosławie Kaczyńskim i prezesie NBP Adamie Glapińskim, obarczając ich winą za wszystkie nieszczęścia. Ówczesna opozycja oskarżała o to samo rząd i PiS. Dziś, gdy władzę sprawuje Koalicja 15 Października, to liderzy PiS mówią o „tuskodrożyźnie" i zarzucają urzędującemu gabinetowi nieudolność oraz „zdradę Polaków". Jak jest naprawdę? Czy w roku 2025 ceny towarów i usług rosną szybciej niż w latach 2021, 2022 i 2023?

Reakcje społeczne na wzrost cen mogą się różnić w zależności od regionu. Nz. sklep w Rucianem-Nidzie, kwiecień 2025 r.

Mateusz, który inflacją się nie przejmował

Przez pierwsze dwa lata rządów PiS mieliśmy do czynienia z deflacją. Ceny towarów i usług spadały, rosła zaś siła nabywcza pieniądza. Ówczesny rząd premier Beaty Szydło nie musiał z niczego się tłumaczyć. W 2015 r. ceny spadły o 0,9%, w 2016 r. o 0,6%, by w 2017 r. wrócić na normalne tory – wzrosły o 2% w stosunku do roku poprzedniego, co było świetnym wynikiem. W tamtym czasie trudno było wskazać produkty, których cena znacząco by wzrosła.

Mimo ostrzeżeń tzw. niezależnych ekspertów ekonomicznych, że wprowadzenie 500+ wywoła wysoką inflację, nic takiego się nie stało, choć w latach 2017-2023 w ramach tego programu do polskich rodzin trafiło 223 mld zł.

O dziwo między rokiem 2018 a 2020 ceny pozostawały stabilne. Ich wzrost zamknął się w przedziale 1,6-3,4%, co na tle innych państw Unii Europejskiej było bardzo dobrym wynikiem.

Wszystko zmieniło się wraz z pandemią COVID-19. Rząd Morawieckiego wzorem innych krajów podjął bezpośrednią interwencję na ogromną skalę, sponsorując w tym czasie przedsiębiorstwa. Można powiedzieć, że w latach 2020-2022 pieniądze rozrzucano nad Polską z helikopterów.

Pierwszy pakiet antykryzysowy, ogłoszony przez Morawieckiego w marcu 2020 r., miał szacunkową wartość 212 mld zł, co stanowiło prawie 10% PKB. Miesiąc później rząd zdecydował o uzupełnieniu go o 100 mld zł, w ramach tzw. tarczy finansowej, która była skierowana do ok. 670 tys. firm. Jej celem było ratowanie miejsc pracy. Program przewidywał wsparcie dla mikrofirm w wysokości 25 mld zł, dla firm zatrudniających do 249 pracowników – 50 mld zł, a największe spółki mogły liczyć na miliardowe wsparcie kapitałowe.

Na tym się nie skończyło. Pod koniec 2020 r. ogłoszono Tarczę Finansową Polskiego Funduszu Rozwoju 2.0, którą szacowano na 35-40 mld zł. Z tej puli mikrofirmy miały otrzymać do 3 mld zł. Małe przedsiębiorstwa – do 5 mld. Średnie i duże firmy – 25-27 mld zł. Tym razem tzw. niezależni eksperci milczeli, gdyż identycznie postępowały rządy takich państw jak Stany Zjednoczone, Niemcy czy Wielka Brytania. Choć dla wszystkich było też jasne, że tak ogromna masa pieniędzy musi spowodować wzrost cen i usług.

Premiera Morawieckiego to nie martwiło. Jego szczęśliwe numerki: 24, 02, 2022 oznaczały dzień, w którym rosyjskie kolumny pancerne wjechały na terytorium Ukrainy. A wojna, jak wiadomo, kasuje wszystko. Rządzący nazwali wzrost cen „putinflacją"

FOT. ERYK STAWIŃSKI/REPORTER

eprasa.pl 105d0f1123

i oskarżyli o nią głównego lokatora Kremla.

Inflacja w 2022 r. w Polsce sięgnęła 14,4%, co było najgorszym wynikiem od lat 90. XX w. Rok wyborczy 2023 także okazał się trudny – poziom inflacji sięgnął 11,4%. Jakie towary zdrożały najbardziej? W czerwcu 2022 r. średnia krajowa cena popularnej benzyny Pb95 wyniosła 6,64 zł za litr. Rekord należał do stacji paliw Orlen w Lędzinach w województwie śląskim, na której za litr benzyny VERVA 98 przyszło zapłacić 8,39 zł! Narodowy producent i dostawca paliw tłumaczył wzrosty wysoką ceną baryłki ropy naftowej na międzynarodowych rynkach. W pewnym momencie kosztowała ona 130 dol.!

Wzrost cen ropy naftowej oznaczał, że i cena gazu ziemnego pójdzie w górę. Jeśli w 2021 r. za 1 tys. m sześc. gazu płacono od 250 do 600 dol., to w styczniu 2022 r. cena oscylowała wokół 1 tys. dol.

Rekord padł w marcu 2022 r., gdy 1 tys. m sześc. gazu kosztował 3892 dol. Był to namacalny dowód paniki, która ogarnęła Europę. Całkiem poważnie zastanawiano się, czy aby zimą 2022/2023 mieszkańcy wielkich europejskich miast nie zaczną zamarzać na śmierć.

W tym czasie w Polsce bardzo zdrożały produkty spożywcze. Najbardziej spektakularny wzrost dotyczył kilograma chleba pszenno-żytniego, którego cena w 2015 r. wynosiła 4,40 zł, a w 2022 r. – 8,32 zł.

Z danych GUS wynika, że wzrosty cen nośników energii i żywności najbardziej wycieńczyły emerytów i rencistów oraz skromniej zarabiających Polaków. W ostatnich latach rządów PiS to oni najsilniej odczuwali wzrost cen, gdyż nie sposób uniknąć codziennych zakupów podstawowych produktów spożywczych. Opozycja chłostała ministrów, lecz nic z tego nie wynikało.

Ale i tak wobec inflacji, która panowała w Polsce w latach 80. i na początku lat 90., nie było to nic poważnego. Ci, którzy pamiętają tamte czasy, na obecny wzrost cen reagują z uśmiechem. Fakt, ceny rosną, lecz nie tak jak kiedyś. No i półki są pełne towarów, a 40 lat temu były puste. Dlatego uważam, że dziś zarzuty wobec rządzących o zbyt szybki wzrost cen i panoszącą się drożyznę są przesadzone. W ubiegłym roku średnioroczny poziom inflacji wyniósł 3,6%, co oznacza, że nie mieliśmy do czynienia z gwałtownym wzrostem cen np. żywności czy nośników energii. Pod tym względem sytuacja jest lepsza niż za rządów PiS.

Obecnie inflacja jest na poziomie 4,9%, więc nie wydaje się, że polską gospodarkę spotka coś dramatycznego. Na pewno nie będziemy się rozwijali w tempie 7-9% rocznie, ale nie można mieć wszystkiego.

Najbardziej spektakularny wzrost dotyczył kilograma chleba pszenno-żytniego, którego cena w 2015 r. wynosiła 4,40 zł, a w 2022 r. – 8,32 zł.

Ceny? To kwestia wiedzy i samopoczucia

Nasza reakcja na ceny towarów i usług wynika z indywidualnych odczuć, które są związane z rosnącymi kosztami życia i różnymi strategiami radzenia sobie z tym problemem, takimi jak ograniczanie zakupów, wybór tańszych zamienników czy zmiana nawyków konsumenckich.

Reakcje społeczne na wzrost cen mogą się różnić w zależności od regionu, w którym żyjemy, przynależności do grupy osób o określonych dochodach, sytuacji zawodowej i rodzinnej, zdolności do analizy sytuacji, w jakiej się znaleźliśmy, oraz wieku. Czynników mających wpływ na ocenę sytuacji jest znacznie więcej.

Badania prowadzone przez socjologów wskazują, że Polacy dość poprawnie orientują się w sytuacji gospodarczej kraju i rozumieją zachodzące procesy ekonomiczne. Na przykład z badań prowadzonych w 2022 r. na zlecenie dziennika „Rzeczpospolita" wynikało, że głównym odpowiedzialnym za wzrost cen jest rząd. Aż 40,4% respondentów uznało politykę władz za główną przyczynę podwyżek cen energii i gazu. Trudno temu się dziwić, cała energetyka, sprzedaż gazu ziemnego, czyli PGNiG, i rzecz jasna nasz narodowy skarb, Orlen, są kontrolowane przez rząd, czyli polityków.

W literaturze cytowane są też wyniki badań prowadzonych przez Centrum im. Adama Smitha: 57% osób z wyższym wykształceniem i 43% z podstawowym obarczało rząd odpowiedzialnością za wysoką inflację w 2022 r. Rosyjska inwazja na Ukrainę i związane z nią zaburzenia na rynkach surowców zajmowały dalsze miejsca w hierarchii czynników odpowiedzialnych za wzrost cen.

W 2022 r. jedynie 22,4% ankietowanych Polaków uznało Władimira Putina za współwinnego. W 2023 r. odsetek ten wyniósł 16%. Oznacza to, że lansowana przez PiS „putinflacja" nie przyjęła się i jako społeczeństwo skłonni jesteśmy szukać winnych wzrostu cen we własnych szeregach.

Jeszcze gorzej wypadła propagowana przez polityków teza

ŚREDNIOROCZNE DYNAMIKI WZROSTU CEN

Kategoria	2022 r.	2023 r.
Nośniki energii	+32,5%	+17,5%
Żywność i napoje	+15,4%	+15,1%
Restauracje i hotele	+15,6%	+9,9%
Transport	+19,9%	–2,8%
Usługi komunalne	+22,8%	+8,5%
Artykuły RTV i AGD	+7,8%	+4,1%

Źródło: Główny Urząd Statystyczny

eprasa.pl 105d0f1123

o odpowiedzialności Komisji Europejskiej za „unijną politykę klimatyczną", prowadzącą do wzrostu cen prądu i gazu, a w konsekwencji do podwyżek cen podstawowych produktów żywnościowych. W 2022 r. tylko 15,1% badanych uznało tę tezę za kluczową kwestię. W późniejszych badaniach odsetek ten spadł do 9,6%. W przypadku mieszkańców dużych miast ta teza jest niemal całkowicie odrzucana.

Za to w roku 2022 aż 31,3% ankietowanych obwiniało o wzrost cen prezesa NBP, prof. Adama Glapińskiego. 20% badanych wskazywało błędną politykę monetarną banku centralnego. Wśród wyborców opozycji odsetek krytyków prezesa Glapińskiego sięgał 41%.

Z przeprowadzonych w 2023 r. przez UCE Research badań wynika, że aż u 80% ankietowanych rodaków wzrost cen wywołuje negatywne emocje skierowane w stronę polityków. Dotyczy to głównie osób w wieku 18-24 lata oraz 45-54 lata, mających wykształcenie zasadnicze zawodowe bądź średnie, o miesięcznych dochodach netto w wysokości 1000-2999 lub 3000-4999 zł, mieszkających w małych i średnich miejscowościach.

Co ciekawe, badania wskazują, że jedynie 4,6-6,6% ankietowanych jest skłonnych obarczyć winą za wzrost cen producentów, dostawców i sieci handlowe. A prawda jest taka, że to oni jako uczestnicy obrotu handlowego kształtują ceny końcowe.

Odpowiedzi na pytanie, dlaczego skłonni jesteśmy obarczać polityków odpowiedzialnością za wzrost cen i inflację, szukali pracownicy CBOS w roku 2022. Z prowadzonych przez nich badań wynikało, że sympatycy PiS w 84% przypadków przypisywali wzrost cen czynnikom zewnętrznym (wojna w Ukrainie, pandemia), podczas gdy 73% zwolenników lewicy wskazywało politykę krajową.

Ten podział utrzymywał się w kolejnych latach: w 2025 r. 69% elektoratu PiS nadal utożsamia inflację z geopolityką, podczas gdy 58% wyborców opozycji obarcza winą rząd i NBP. Mechanizm ten wynika z podświadomego dostosowywania przez wyborców interpretacji faktów do przekonań politycznych, aby utrzymać spójność oglądu świata.

Z kolei badania prowadzone przez naukowców z USWPS pokazują, że jesteśmy skłonni przeceniać wpływ jednostek (czyli polityków) na rzeczywistość, przy niedocenianiu czynników strukturalnych. Poszukujemy też prostych wyjaśnień złożonych zjawisk. Wystarczy stwierdzenie: „Rząd źle rządzi" i nie musimy zagłębiać się w złożone analizy łańcucha przyczyn i skutków.

W przeprowadzonym w grudniu 2024 r. sondażu 52% respondentów obarczało premiera Donalda Tuska odpowiedzialnością za wysokie ceny masła, mimo że 78% wzrostu wynikało ze światowych cen mleka w proszku, a z tym premier polskiego rządu na pewno nie miał nic wspólnego. Opisany przykład to argument za tym, że obecność polityków w środkach masowego przekazu sprawia, iż stają się oni łatwym celem dla społecznej frustracji.

W badaniach z roku 2023 aż 61% Polaków deklarowało, że media są ich głównym źródłem wiedzy o inflacji. Dlatego warto przyjrzeć się materiałom poświęconym temu tematowi. W podejściu do niego możemy wyróżnić trzy wiodące narracje.

Publicyści kojarzeni z władzą – nie ma znaczenia, czy z obecną, czy z minioną – skłonni są winić za wzrost cen czynniki zewnętrzne (dominuje teza, że rząd walczy z wrogami wewnętrznymi i zewnętrznymi), pomijając bądź lekceważąc czynniki systemowe.

Zjawisko inflacji jest personalizowane, stąd hasła „putinflacja", „tuskodrożyzna" czy „wina Glapińskiego, Kaczyńskiego, Morawieckiego i innych".

Lansowana przez PiS „putinflacja" nie przyjęła się i jako społeczeństwo skłonni jesteśmy szukać winnych wzrostu cen we własnych szeregach.

Popularna jest też uproszczona retoryka przyczynowo-skutkowa. Tłumaczy się odbiorcom, że wystarczy podjąć kilka prostych decyzji, by ceny spadły. Klasycznym przykładem były decyzje rządów Mateusza Morawieckiego i Donalda Tuska o zamrożeniu cen energii elektrycznej dla odbiorców indywidualnych. Dowód na to, że można.

Dziś wzrost cen i jego konsekwencje są czymś innym niż w ubiegłym wieku. Starsi Polacy dobrze pamiętają puste półki sklepowe. Młode pokolenie nie jest w stanie sobie tego wyobrazić. Ceny mogą wzrosnąć, lecz towarów nie zabraknie. Prawdziwym wyzwaniem staje się zdobycie dobrej pracy z wysokim wynagrodzeniem. Bo jak są pieniądze, to żadna inflacja nie jest straszna.

Grzegorz Rudnik

PRENUMERATA POCZTOWA PRZEGLĄDU 2025

Jeden egzemplarz w prenumeracie 7,50 zł

• 97,50 zł – III kwartał • 195 zł – II półrocze

Zamówienia są przyjmowane do 25 maja 2025 r.
we wszystkich placówkach pocztowych lub u listonoszy
albo drogą elektroniczną pod adresem: sklep.poczta-polska.pl

eprasa.pl 105d0f1123

Koszty edukacji domowej

Rośnie odsetek uczniów przechodzących na naukę w domu. Wiele podmiotów zwietrzyło w tym biznes

Kornel Wawrzyniak

W teorii edukacja domowa nic nie kosztuje. Dziecko musi być zapisane do szkoły, w której jest przyjmowane jako „uczeń z nauczaniem domowym". Raz w roku zdaje egzaminy klasyfikacyjne z podstawy programowej. Cały ciężar edukacji spada na rodziców, którzy są odpowiedzialni za realizację podstawy – tak samo jak w zwykłej szkole odpowiedzialne jest za to całe grono pedagogiczne.

Powodów, dla których dziecko przechodzi na edukację domową, można wymienić kilka. Najczęściej są to kwestie zdrowotne, np. gdy dziecko jest przewlekle chore. Inne przypadki to dziecko ponadprzeciętnie uzdolnione, które w związku z tym potrzebuje osobnej ścieżki edukacji, albo wybitne w sporcie, wobec czego grafik włącznie z planem lekcji musi być elastyczny. Na końcu tej listy mamy jeszcze dziwną modę, będącą pokłosiem tego, że od lat część rodziców decyduje się na edukację domową, ponieważ szkoła nie spełnia ich standardów. Uważają oni, że sami nauczą lepiej niż kilku tzw. przedmiotowców z podstawówki.

Oczywiście zdarzają się domy z odpowiednim kapitałem kulturowym, gdzie rodzice są w stanie udźwignąć rolę nauczycieli. Najczęściej jednak dzieje się inaczej i wyobrażenie bardzo szybko rozmija się z rzeczywistością. Wtedy przychodzi sięgnąć po wszelką pomoc zewnętrzną. A ta kosztuje, i to słono.

Szara strefa

Według danych Fundacji Edukacji Domowej z początku 2025 r. obecnie z edukacji w takiej formule korzysta 62 917 uczniów. Liczba dzieci kształcących się w ten sposób konsekwentnie rośnie od lat. Jeszcze w 2021 r. wynosiła 19 947. Rok później było to już 31 770 dzieci. W 2023 r. znowu nastąpił przyrost, do 42 329 uczniów. W 2024 r. w domach uczyło się prawie 54 tys. osób. Na ten dynamiczny wzrost złożyło się kilka czynników.

Po pierwsze, pandemia siłą rzeczy spopularyzowała formułę nauki zdalnej. Zarówno uczniowie, jak i rodzice przekonali się, że obowiązek szkolny może mieć dużo luźniejszą formułę niż codzienne przychodzenie do szkoły na lekcje w formacie 45 minut itd. Przy czym warto zastrzec, że zupełnie osobną kwestią jest ocena efektywności takiej edukacji.

Po drugie, w 2021 r. zniesiono obowiązek przypisywania ucznia do szkoły w jego województwie. W tym samym czasie przy edukacji zdalnej zrezygnowano również z wymogu uzyskania opinii z poradni psychologiczno-pedagogicznej, że taki tryb nauki jest uczniowi potrzebny. Nowelizację wprowadziła ekipa Zjednoczonej Prawicy.

Państwo zatem samo stworzyło szarą strefę w edukacji. O dziwo, chciał się z niej wycofać ówczesny minister edukacji Przemysław Czarnek, opowiadający wtedy

Wielu edukatorów, którzy porzucili pracę w szkole, żyje wyłącznie z korepetycji. Niektórzy pracują głównie z dziećmi z edukacji domowej.

eprasa.pl 105d0f1123

o „mafiach oświatowych", które miały żerować na nieszczelnych przepisach dotyczących edukacji domowej. Były już szef resortu edukacji chciał jednak upiec dwie pieczenie na jednym ogniu i przy okazji dobrać się do szkół niepublicznych. Wszystkie pomysły zawarł zaś w dwukrotnie zawetowanym lex Czarnek.

Na to, że z nauczaniem domowym realizowanym przez placówki specjalizujące się w edukacji na odległość jest coś nie tak, wpadła również obecnie panująca w Ministerstwie Edukacji Narodowej Barbara Nowacka. Wszystko za sprawą różnic pomiędzy wynikami egzaminów klasyfikacyjnych przeprowadzanych przez te jednostki a wynikami matur. „Mamy sygnały, że oceny końcowe uczniów były wyjątkowo wysokie i nie przekładają się na wyniki egzaminów maturalnych", stwierdziła w mediach ministra Nowacka.

Najgłośniejszym echem odbiły się, określane przez media jako marne, wyniki maturzystów uczęszczających do Szkoły w Chmurze. Rzeczywiście sukcesy absolwentów tej placówki były niższe od średniej krajowej. Zdawalność matury w Polsce w roku 2023 wynosiła 94%. Wśród uczniów, którzy odbywali edukację w Szkole w Chmurze, ten odsetek wynosił 86%. W roku 2024 sprawy wyglądały podobnie. Szkoła w Chmurze przeprowadziła wtedy egzaminy w Warszawie i Poznaniu. W stolicy odsetek zdanych matur wyniósł 83%, a w Poznaniu 80%. Średnia dla całego kraju wynosiła 89,3%. Zeszłoroczny uśredniony wynik matury podstawowej z języka polskiego wynosił w skali kraju 61%, w Szkole w Chmurze w Warszawie było to 62%, w Poznaniu zaś 58%. Matematyka absolwentom Szkoły w Chmurze poszła poniżej krajowej średniej w obu lokalizacjach. Średnia dla kraju wynosiła 63%. Średni wynik w Poznaniu to 49%, w Warszawie zaś 52%.

Plusem edukacji domowej jest większa możliwość rozwijania indywidualnych predyspozycji uczniów i swoboda organizowania czasu na edukację.

W szkole czy w domu, i tak pójdą na korki

Przytoczone dane być może nie wyglądają jeszcze alarmująco. Jednak wyniki ok. 10% poniżej krajowej średniej sugerują, że coś w uprzemysłowionej edukacji domowej nie działa.

Być może dlatego resort edukacji zlecił kontrole w 41 szkołach podstawowych, w których co najmniej pięćdziesięcioro uczniów spełnia obowiązek szkolny w systemie edukacji domowej. Kuratorzy wykazali wiele nieprawidłowości w kontrolowanych szkołach. Najistotniejsze spośród nich to:

- brak określenia w statucie szczegółowych warunków i sposobu oceniania wewnątrzszkolnego uczniów, w tym przeprowadzania egzaminów klasyfikacyjnych;
- niezorganizowanie w szkołach konsultacji umożliwiających osobom uczącym się poza szkołą przygotowanie do rocznych egzaminów klasyfikacyjnych;
- nieuzgodnienie przez dyrektora zakresu podstawy programowej obowiązującej na danym etapie edukacyjnym w danym roku szkolnym.

Ponadto wykazano, że przewodniczący komisji często nie uzgadniali z uczniami na edukacji domowej terminów egzaminu klasyfikacyjnego. Skutkiem było kumulowanie się kilku egzaminów w jednym terminie. Dodatkowo w toku kontroli okazało się, że w co czwartej kontrolowanej placówce nauczyciele przeprowadzający egzaminy nie mieli stosownych kwalifikacji do przeprowadzania egzaminów klasyfikacyjnych z danego przedmiotu.

LIST

„Przegląd" pamięta o Ślązakach

Dotarł do mnie 20. numer „Przeglądu", a w nim jak zawsze coś ciekawego dla każdego myślącego czytelnika. Dla nas z Towarzystwa Przyjaciół Śląska w Warszawie sympatyczna wzmianka o naszych dorocznych wyróżnieniach („Ślązacy z nagrodami"). Tym razem dzięki uprzejmości rektora Błażeja Ostoi Lniskiego uroczystość ich wręczenia po raz pierwszy odbyła się we wspaniałej Auli Akademii Sztuk Pięknych przy Wybrzeżu Kościuszkowskim w Warszawie.

Dodajmy, że nasze Towarzystwo, które dzięki pomocy i wsparciu wybitnych Ślązaków rzuconych przez los do stolicy udało mi się założyć pod koniec lat 80., ma na celu ukazywanie prawdy o Śląsku, dramatycznej historii ludzi tej ziemi, jej dorobku gospodarczego, naukowego czy artystycznego. Organizujemy też otwarte spotkania, będące szansą na poznanie i porozumienie dwóch ważnych regionów: Warszawy i Śląska. Wydaliśmy również kolejną swoistą encyklopedię, „Twarze Śląska" – przybliżamy w niej region poprzez ludzi, których dorobek wykracza daleko poza Śląsk, a nawet kraj.

Muszę jednak dodać małe sprostowanie. W notce podano, że nagrodę prof. Anieli Kuenne-Müller wręczył Ryszard Musioł, syn Józefa Musioła. Otóż nasz sekretarz, dr Ryszard Musioł, nie tylko nie jest moim synem, ale nawet moim krewnym. Mam jednego syna, Marka, też Musioła. Nazwisko Musioł – nie Musiał, jak często się podaje – jest na Śląsku dość popularne, o czym pozwalam sobie poinformować i przekazać serdeczne podziękowanie „Przeglądowi" za to, że na jego łamach nie zapomina się o nas.

Z wyrazami szacunku

Józef Musioł,
syn Franciszka Musioła, uczestnika trzech powstań śląskich, i bliski krewny też Musioła, nazywanego Polskim Królem z Marklowic, Pawła Musioła I, posła do Sejmu Dzielnicowego w Poznaniu 1918

FOT. SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 105d0f1123

Jak wspominaliśmy, przejście na edukację domową oznacza, że to rodzice mają obowiązek zapewnić dziecku warunki do nauki. I tutaj zaczyna się prawdziwy biznes. Tam, gdzie rodzicom brakuje kompetencji lub chęci do edukowania swoich pociech samodzielnie, potrzebni są… nauczyciele. Na łamach „Przeglądu" („Korepetycje spółka z o.o.", nr 12/2023) pisaliśmy, że rynek korepetycji już w 2022 r. przekroczył wartość 7,5 mld zł. Średnio polscy rodzice na korepetycje wydają ok. 300 zł miesięcznie. Według danych CBOS za 2023 r. z korepetycji korzysta 26% uczniów.

Rynek jest spory i konsekwentnie rośnie. Funkcjonuje na nim wielu edukatorów, którzy już dawno porzucili pracę w szkole i żyją wyłącznie z dawania korepetycji. Niektórzy pracują głównie z dziećmi z edukacji domowej. Popularne centrum korepetycji EDUN ma specjalną ofertę skierowaną do uczniów wypełniających obowiązek szkolny poza szkołą. W ofercie jest dziś nie tylko wsparcie pedagogiczne – w kilku miejscach w Polsce w placówkach EDUN są również organizowane grupowe zajęcia z wybranym specjalistą. Koszt takich spotkań to 450 zł miesięcznie. Można też postawić na ofertę spotkań indywidualnych, które kosztują 750 zł na miesiąc.

W sieci znajdziemy ponadto kursy przygotowawcze dla uczniów w edukacji domowej. Dużą popularnością cieszy się strona Talentum.pl. Portal oferuje m.in. roczne kursy przygotowujące do egzaminu ósmoklasisty. Takie zajęcia z jednego przedmiotu kosztują 1980 zł i obejmują 30 spotkań. 45 minut korepetycji kosztuje na Talentum.pl między 100 a 130 zł za zajęcia indywidualne lub 60-80 zł za grupowe.

Kolejnym dużym graczem jest Centrum Nauczania Domowego, które proponuje różne pakiety subskrypcji. Ceny wahają się od 2049 zł do 2449 zł rocznie. W zestawie znajdziemy m.in. testy, filmy edukacyjne i arkusze egzaminacyjne.

Dobra strona szkoły

„Jedynym sposobem na zahamowanie odpływu uczniów z systemu publicznego jest poprawa jakości edukacji. Rozbieżność między ocenami bieżącymi a wynikami egzaminów standaryzowanych wskazuje na brak kontroli w systemie", twierdzi na łamach „Dziennika Gazety Prawnej" badaczka oświaty z Uczelni Korczaka, dr Iga Kazimierczyk.

Plusem edukacji domowej jest większa możliwość rozwijania indywidualnych predyspozycji uczniów i swoboda, z jaką można organizować czas na edukację. Jeśli dziecko nie chce w danym momencie uczyć się historii, to zajmuje się matematyką itd. Niektórzy duży plus widzą w fakcie, że przy realizowaniu obowiązku szkolnego poza placówką nie ma konieczności zamieszkania w jednym miejscu na dłużej.

Gdyby słuchać wyłącznie PR-owców związanych z firmami zajmującymi się edukacją domową, to właściwie nie ma ona żadnych wad, a jej przeciwnicy jedynie „powielają mity o aspołeczności". Odpowiedzią na problemy z socjalizacją mają być m.in. cykliczne zjazdy dzieci uczestniczących w edukacji domowej, co ma zastępować codzienny kontakt z rówieśnikami. Ale nawet dzieci widujące się na co dzień w szkole mają dzisiaj swoje problemy. Z badania Health Behaviour in School-aged Children (HBSC) zleconego przez Światową Organizację Zdrowia (WHO) w 2022 r. wynika, że Polska jest na pierwszym miejscu pod względem poczucia samotności u dzieci.

„Edukacja domowa może się wiązać z pewnymi wyzwaniami i potencjalnymi negatywnymi skutkami. Jednym z nich jest ograniczenie możliwości socjalizacji z rówieśnikami. Brak codziennego kontaktu z rówieśnikami może wpływać na rozwój umiejętności społecznych, takich jak komunikacja, rozwiązywanie konfliktów czy empatia", mówi „Dziennikowi Gazecie Prawnej" psycholożka dzieci i młodzieży Roksana Benedykciuk.

W Niemczech obowiązuje zakaz edukacji domowej, ponieważ szkoła ma być miejscem spajania się społeczeństwa.

Rozpowszechnienie się edukacji domowej może mieć też negatywne skutki społeczne. Znamiennym przykładem jest tutaj bardzo popularny w Stanach Zjednoczonych *homeschooling*, który wbrew pozorom nie jest manifestacją typowego dla USA indywidualizmu i skupienia na jednostce. Za oceanem domowa edukacja jest motywowana światopoglądowo. Między innymi religijni konserwatyści chcą wychowywać dzieci w domu, z dala od teorii ewolucji i „liberalnego zepsucia". Edukacja domowa jest w Ameryce pewnym symbolem polaryzacji społecznej. Na drugim biegunie znajdują się zaś nasi zachodni sąsiedzi. W Niemczech obowiązuje zakaz edukacji domowej, ponieważ szkoła ma być miejscem spajania się społeczeństwa. Uczestniczenie w życiu szkolnym jest więc kwestią budowania demokracji i różnorodnego społeczeństwa.

Kornel Wawrzyniak
k.wawrzyniak@tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 105d0f1123

Z Galicji

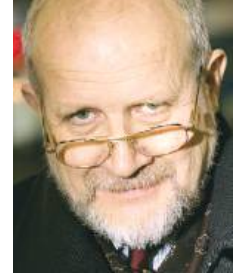

Jan Widacki

Dwa brutalne morderstwa

W ostatnich tygodniach Polska żyła głównie watykańskim konklawe i tutejszymi wyborami prezydenckimi. Poza wyborami zaś ze spraw lokalnych opinię publiczną poruszyły dwa zabójstwa: lekarza w Szpitalu Uniwersyteckim w Krakowie i portierki na Uniwersytecie Warszawskim. Obydwa mordy okrutne, a przez swoje okrucieństwo i miejsce popełnienia – swoiście spektakularne.

Zginęli oczywiście niewinni ludzie, lubiani i szanowani w swoich środowiskach. Nic dziwnego, że ich śmierć poruszyła tak bardzo opinię publiczną i przyciągnęła uwagę mediów. Jak to zwykle bywa, jedni szczerze współczuli ofiarom i ich rodzinom, drugich podniecała tylko sensacja, inni znaleźli okazję, aby trochę się powymądrzać. A tu obowiązuje taka reguła, że im ktoś na jakiś temat wie mniej, tym chętniej się wymądrza. Dyskutowano więc w mediach nad pomysłem, aby do każdej placówki medycznej wstawić bramki, takie jak przy wejściu do sądu albo na lotnisko. Ubolewano też nad bezbronnością ochrony na wyższych uczelniach. Były także pomysły, aby do Kodeksu karnego wprowadzić osobne przestępstwo: „zabójstwo lekarza lub innego pracownika służby zdrowia". Gdyby wybory tak bardzo nie pochłonęły uwagi polityków, już pewnie mielibyśmy kilka projektów nowych ustaw, które w przekonaniu ich twórców zapobiegłyby takim zabójstwom w przyszłości.

Spróbujmy spojrzeć chłodno na te dwa nagłośnione dramaty. Dramaty prawdziwe. Jak podobnym zapobiegać na przyszłość? Nie bardzo się da, szczerze mówiąc. W Polsce w ostatnich latach każdego roku mamy ponad 500 zabójstw. Media informują z zasady o tych najbardziej spektakularnych, a więc nietypowych. Mamy więc rocznie ponad 500 dramatów. Każdy zamordowany miał jakiś zawód, pozycję społeczną, jakąś rodzinę, kogoś, kto go kochał i potrzebował. Miał jakieś plany i marzenia, i przede wszystkim – chciał żyć. Co więcej – każde zabójstwo to także dramat dla bliskich zabójcy. Kimkolwiek by był – jego najbliżsi na ogół nie byli niczemu winni, a teraz doświadczają traumy bycia matką, żoną czy dzieckiem mordercy i z tym piętnem muszą żyć. Tracą na lata osobę, którą może kochali, od której byli zależni. Tracą być może swojego jedynego żywiciela. Trudno – muszą stracić, tego wymaga prawo. Ale to nie znaczy, że i oni nie cierpią, w dodatku nie za swoje winy. O nich na ogół się nie pamięta.

Tych ponad 500 zabójstw to dużo, choć i tak o ponad połowę mniej, niż było na początku lat dwutysięcznych, a kilka razy mniej niż przed wojną. Popełniane są z różnych motywów. Najwięcej – z szeroko pojętych motywów ekonomicznych, znacznie mniej – z motywów emocjonalnych, czasem seksualnych, a niekiedy z motywów psychotycznych. W Polsce na szczęście nie ma praktycznie zabójstw z motywów politycznych. Zabójstwa z motywów seksualnych stanowią zaledwie kilka procent wszystkich zbrodni, podobnie jak te z motywów psychotycznych. Są za to na ogół bardzo okrutne i już przez to spektakularne, a w konsekwencji chętnie opisywane w mediach.

Wygląda na to, że omawiane dwa przypadki należały właśnie do tej ostatniej kategorii. Czy tak było? Zadecydują biegli. Czy można takim morderstwom zapobiec? Niestety, tylko w niewielkim stopniu. Zabójstw z motywów psychotycznych, a więc popełnianych przez osoby chore psychicznie, byłoby zapewne nieco mniej, gdyby lepsza była w Polsce opieka psychiatryczna, a korzystanie z pomocy psychiatry nie było wciąż stygmatyzujące.

Zabójstw popełnianych przez osoby chore psychicznie byłoby mniej, gdyby opieka psychiatryczna w Polsce była lepsza.

Pomysł z bramkami do szpitali i przychodni jest absurdalny. Nie wystarczyłoby przecież wyposażyć w takie bramki kilkadziesiąt tysięcy placówek opieki zdrowotnej, trzeba by jeszcze do ich obsługi zatrudnić ogromną rzeszę ochroniarzy. Budżet ochrony zdrowia nie jest nieograniczony, więc te bramki kupowano by kosztem aparatury medycznej, a zamiast lekarzy, ratowników czy pielęgniarek – należałoby zatrudnić tysiące ochroniarzy! Czy w ten sposób zapobieżono by wszystkim potencjalnym aktom przemocy na terenie tych placówek? Oczywiście, że nie. Nie trzeba również zmieniać prawa, wpisując do kodeksu osobne przestępstwa z uwagi na zawód i pozycję ofiary. Za każde zabójstwo, każdego człowieka, sąd może orzec karę dożywotniego pozbawienia wolności.

Nie jest też prawdą, że uczelnie nie mogą mieć uzbrojonej ochrony – tu także nie trzeba zmieniać prawa. Obowiązująca ustawa o ochronie osób i mienia pozwala uczelni albo zorganizować sobie własną służbę ochrony wyposażoną w środki przymusu bezpośredniego, a nawet w broń palną, albo wynająć taką ochronę w licencjonowanej firmie ochroniarskiej. Jeśli uczelnie tego nie robią, to tylko ze skąpstwa, a nie z braku podstawy prawnej. ■

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 105d0f1123

Kopalnia w Jastrzębiu-Zdroju.

Bal na węglowym Titanicu

W Jastrzębiu-Zdroju, które na węglu wyrosło i z węgla miało żyć, już tylko 4 tys. mieszkańców zarabia na chleb w kopalniach

Józef Romanowski

– Anna Hetman, nauczycielka, kobieta wykształcona, w bajki wierzyć nie powinna. Nawet w te, które sama wymyślała – piekli się emeryt z kopalni Borynia. – A nawijała, panie, i to serio, że przenicuje górnicze Jastrzębie-Zdrój na turystyczny raj, do którego zjeżdżać będzie reszta świata, żeby podziwiać... duchy. Duchy jastrzębskiej przeszłości.

Przez cały 2023 r. jastrzębianie nie zaznali spokoju. Czy mżył deszcz, czy dął wiatr, w trąby dęła orkiestra górnicza. Rozpruł się wór z imprezami ku czci, a magistrat, nie bacząc na 100-milionowy deficyt budżetu miasta, zafundował jastrzębskim noworodkom A.D. 2023 ciepłe kocyki i body z dedykacją, że są skarbem. Co to był za bal! Dęty i nadęty, jak na jubileusz 60-lecia górniczej sypialni przystało, choć w mieście, które na węglu wyrosło i z węgla żyć miało po wsze czasy, już tylko 4 tys. mieszkańców zarabia na chleb w kopalniach.

– Bal na węglowym Titanicu – kwituje sentencjonalnie, bo po drugim już kuflu piwa, emeryt z Boryni, który pół wieku temu (z żoną, podkreśla, i bajtlem w kołysce) pożegnał rodzinne zadupie na Lubelszczyźnie i jak tysiące podobnych mu „łapańców" z setek biedaprzysiółków przyjechał budować górniczą potęgę Jastrzębia-Zdroju.

Miasto na węglu, kopalnie na aut

A na jastrzębski węgiel koksowy, o czym w aurze niedawnej fety warto przypomnieć, ostrzyła sobie zęby nie tylko ludowa ojczyzna. Już w połowie XIX w. baron Emil von Schlieben, a 40 lat później hrabia Heinrich Larisch w biznesowym duecie z firmą Westböhmische Gesellschaft instalowali na okolicznych polach badawcze wiertnie. Schlieben dokręcił się tylko do źródeł solanki, na których niejaki Felix Silvius Ferdinand von Königsdorff zbudował kurort swojego imienia – Bad Königsdorff-Jastrzemb (późniejsze, już pod polskim zarządem, Uzdrowisko Jastrzębie). Jeszcze mniej fartu mieli Larisch & WG. W 1903 r. wybuch metanu widowiskowo zmiótł ich wiertnię, a potężny słup ognia przez kilka nocy nie pozwalał zasnąć mieszkańcom. Trzy lata później, kiedy metan wysadził w powietrze kolejną wieżę wiertniczą, Larisch i spółka wywiesili białą flagę.

W 1951 r., 100 lat po eksperymencie von Schliebena, na polach okalających zdrojową osadę po raz kolejny zainstalowały się ekipy wiertnicze. W kontrze do poprzedników nie szukały węgla, bo jego zaleganie nie budziło już wątpliwości, a technika górnicza na tyle okiełznała wybuchową naturę metanu, że złoża uznano za bezpieczne do eksploatacji – najnowsze wiercenia miały określić zasobność pokładów i przesądzić o miejscu budowy kopalń. A plany były ambitne, niczym przekop Mierzei Wiślanej i CPK razem wzięte. W ciągu 25 lat, zakładali węglowi planiści, w rejonie miało fedrować 27 kopalń, przewidywano też, że Jastrzębie-Zdrój jako górniczą sypialnię zasiedli 200 tys. mieszkańców. Łącznie z przyległymi

eprasa.pl 105d0f1123

gminami, gdzie również planowano budowę blokowisk dla górników, jastrzębska metropolia miała liczyć 400 tys. dusz.

– Zajechałem kiedyś na jeden z odwiertów – opowiadał mi 30 lat później doc. dr Józef Paździora, szef Głównego Instytutu Górnictwa, który nadzorował pracę wiertaczy – a tam cała ekipa leżała pokotem narąbana jak helikoptery. Przewiercili trzymetrowy pokład węglowy i nawet go nie zauważyli. Efekt jest taki, że górniczą sypialnię zbudowano na najgrubszych pokładach, a kopalnie tam, gdzie złoża są już mniej zasobne. Dziś opłacałoby się wyburzyć miasto, by wybrać zalegający pod nim węgiel.

Alkoholowe ciągoty wiertaczy trochę w planach namieszały. Na węglu stanęło miasto, ale nie bądźmy drobiazgowi. W dzień św. Barbary 1962 r. z podziemi kopalni Jastrzębie wyjechał pierwszy wagonik z węglem. A potem było już z górki. W 1965 r. z fedrunkiem ruszyła kopalnia Moszczenica, w 1969 – Manifest Lipcowy (znana z podpisanego w jej cechowni porozumienia jastrzębskiego i przechrzczona po upadku PRL na Zofiówkę), w 1971 – Borynia, a trzy lata później XXX-lecia PRL (przemianowana na Pniówek).

Módl się, pracuj i jedź do Jastrzębia

Razem z kopalniami, bez urbanistycznego ładu i składu, wyrastały tzw. osiedla awaryjne. Ale mimo głodu mieszkaniowego wokół nowo budowane sypialnie dla górników w większości ziały pustką. W latach 60. i 70. chętnych do pracy pod ziemią brakowało we wszystkich śląskich kopalniach, a w jastrzębskich szczególnie, z powodu famy o zagrożeniu metanowym.

Wtedy do akcji przystąpili kopalniani werbownicy. Rozjechali się po najbiedniejszych regionach kraju, zachodzili na plebanie i pytali: No i jak tam, księże farorzu, finanse parafii? Oj, niedobrze – biadolił zazwyczaj proboszcz – dach na kościele przecieka, dzwonnica się sypie, ale remontować nie ma za co. To my, werbownicy, złożymy na to ofiarę, która wystarczy i na dach, i na dzwonnicę, a ksiądz zachęci parafian do podejmowania pracy w jastrzębskich kopalniach. I wręczali plebanowi grubą kopertę, a ten w najbliższą niedzielę grzmiał z ambony: Przykazań mamy 10, ale prawdziwy chrześcijanin przestrzega też 11. – módl się i pracuj. A praca, przed którą warto się pomodlić, jest w kopalniach Jastrzębia-Zdroju...

Od proboszcza werbownicy szli do sołtysa, ze śląską gorzołą. I ten już wieczorem agitował kumów i swatów: Ty, Wojtuś (Antek, Maniuś, Franek), niczego się tu na wsi nie dorobisz. Bierz babę i dzieci, jedź do Jastrzębia. W kopalni dobrze płacą, mieszkanie dają od razu.

Po takich zachętach młodzi żonkosie ruszyli tak wielką falą, że w szczytowym okresie trzytysięczna osada zdrojowa rozrosła się do ponad 100 tys. mieszkańców.

– I wtedy zaczął się problem – opowiadał mi szef kopalnianego działu mieszkaniowego. – Dla wielu przyjezdnych, którzy do niedawna gnieździli się z rodzicami i babcią w jednej izbie, dwa pokoje z kuchnią to był Wersal. Na większe mieszkania, a takich w naszych zasobach mieliśmy sporo, nie było chętnych. W końcu zaczęliśmy przydzielać je za karę. Jak któryś z nowo przyjętych za mocno dał w czad i nie zjechał na szychtę, dostawał przydział na M-4. Za trzy nieobecności w pracy kara była jeszcze większa: klucze do M-5. Jak oni się przed tym bronili! Ale my byliśmy konsekwentni: podpadłeś, kolego, to i kara być musi. Dostajesz przydział na czteropokojowe mieszkanie. Bez możliwości odwołania.

I tak Jastrzębie-Zdrój rosło w siłę, a górniczym „łapańcom" z Gwiździanowa, Pcimia i Wąchocka żyło się dostatnio. Tuż przed wakacjami 1963 r. Rada Ministrów sprezentowała osadzie prawa miejskie, by kilkanaście lat później wykreślić ją z listy uzdrowisk. Bo w Jastrzębiu-Zdroju niepodzielnie rządził teraz węgiel. Przez dziesięciolecia górniczy bonzowie pociągali za najważniejsze w mieście sznurki, ale też, co uczciwie trzeba przyznać, zaspokajali niemal wszystkie jego potrzeby. Budowali mieszkania, obiekty kulturalne i sportowe, infrastrukturę rekreacyjną i wypoczynkową, utrzymywali to wszystko i finansowali działalność. Dopełniające szczęścia milionowe opłaty wnoszone przez kopalnie do budżetu miasta sprawiały, że kolejne ekipy samorządowe niczym tłuste koty zapadały w drzemkę w przekonaniu, że eldorado trwać będzie w nieskończoność.

Para w gwizdek

A wichry niespokojne nadciągnęły nad królestwo węgla na przełomie XX i obecnego stulecia. Najpierw zmiotły kopalnie Zagłębia Wałbrzyskiego, by następnie równać z ziemią kolejne zakłady wydobywcze Górnego Śląska. Eksperci bili na alarm: górnicze ośrodki muszą się przebranżowić. Kołem ratunkowym w czasie tsunami likwidacji miejsc pracy „na węglu" miała być – i dla wielu gmin była – utworzona w 1996 r. Katowicka Specjalna Strefa Ekonomiczna, z wydzieloną Jastrzębsko-Żorską Podstrefą KSSE jako antidotum na ujawniający się regres jastrzębskiego górnictwa. Szkopuł w tym, że samorządowych VIP-ów Jastrzębia-Zdroju ani to ziębiło, ani grzało. Nasza chata z kraja, bo mamy węgiel koksowy, bez którego Polska i Europa sobie nie poradzą, ergo Jastrzębie-Zdrój jest skazane na górnicze eldorado.

– To u nas miało funkcjonować biuro Jastrzębsko-Żorskiej Podstrefy KSSE – nie pozostawia wątpliwości Marian Jarosz, dawny prezydent Jastrzębia-Zdroju i były wicemarszałek Sejmiku Województwa Śląskiego. – Ale nasz samorząd zlekceważył tę szansę, w przeciwieństwie do Żor, które po likwidacji jedynej w mieście kopalni ocierały się o bankructwo.

Żory przygarnęły administrację podstrefy, forsując przy okazji na wiceprezesa KSSE swojego wiceprezydenta. Z marszu też, wykorzystując ówczesną koniunkturę, wydzieliły tereny przemysłowe, uzbroiły w niezbędne media i podały na tacy inwestorom. Dziś żorski samorząd zbiera laury za dzielnicę przemysłową, która skutecznie zamortyzowała gigantyczne w skali miasta „pokopalniane" bezrobocie. W tym samym czasie władze Jastrzębia-Zdroju nonszalancko, z pełną świadomością, że na

eprasa.pl 105d0f1123

taką ofertę nikt się nie skusi, wytypowały pod inwestycje w ramach KSSE tereny ze szkodami górniczymi, bez dojazdu i infrastruktury technicznej. W mieście funkcjonowało wówczas pięć kopalń, które zapewniały pracę oraz wpływy do budżetu gminy. Władze sądziły, że tak będzie zawsze.

Branżowi eksperci nie pozostawiają złudzeń: nie będzie, choć sekcja węgla hutniczego ciągle balansuje w strefie ochronnej. Nawet fanatycznie dekarbonizacyjna Komisja Europejska na przekór drastycznym obostrzeniom nałożonym na branżę wydobywczą udzieliła kopalniom węgla koksowego ekologicznej dyspensy. Problem w tym, że – po pierwsze – unijne ustępstwo ma ograniczenie czasowe. Po drugie, już w 2021 r. w szwedzkiej hucie SSAB wytopiono partię stali bez użycia koksu, a na przemysłowe zastosowanie tej metody firma typuje rok 2026. Po trzecie, skupione wokół Jastrzębia-Zdroju górnictwo węgla koksowego nieuchronnie zmierza ku ścianie.

spółka wydrenowała już z konta SFI 1,75 mld zł i jeśli tempo przejadania tych środków nie zmaleje, w najbliższych miesiącach w kasie funduszu pokaże się dno, choć w założeniach miał on stabilizować finanse JSW do końca 2027 r. Tymczasem lawinowo rosną koszty wydobycia, roszczenia płacowe związków zawodowych oraz konkurencja na światowym rynku koksu (przy jednoczesnej redukcji czynnych pieców hutniczych w Europie). Kończą się też zasoby węgla w rejonie Jastrzębia-Zdroju, a okoliczne gminy Żory i Pawłowice skutecznie blokują przygotowanie na ich terenie nowych pól eksploatacyjnych.

Kto tu rządzi?

Ucieczką od zapaści miała być nowa kopalnia w Bziu, wiejskiej enklawie Jastrzębia-Zdroju. Jesienią 2019 r. na grząskie pola, gdzie drążono pierwszy szyb kopalni Bzie-Dębina, zjechał tabun oficjeli z premierem Morawieckim na szpicy. Biskup święcił budowę, wiatr wył, orkiestra górnicza dęła, a premier mówił: – To ogromna duma, że tu, na Śląsku, Bzie-Dębina będzie kopalnią XXI w., bardzo potrzebną nowoczesnej gospodarce. Dostajemy kolejnego napędu, włączamy kolejny bieg w budowie nowoczesnego przemysłu.

Oficjele włączyli bieg i odjechali, a w ślad za nimi odjechała w niebyt kopalnia Bzie-Dębina. Wkrótce po dętej inauguracji fachowcy orzekli, że jej budowa nie ma ekonomicznego uzasadnienia. Nie ma złoża, nie ma węgla, jak podsumował fiasko kosztownego falstartu Tomasz Cudny, były prezes JSW. Nowo wydrążony szyb w Bziu przypisano do połączonych już wcześniej kopalń Borynia i Zofiówka, tworząc jeden (i jedyny dziś w Jastrzębiu-Zdroju) zakład górniczy o ciut przydługiej nazwie Kopalnia Węgla Kamiennego Borynia-Zofiówka-Bzie.

A tymczasem po jastrzębskich opłotkach krąży anegdota o dwóch plagach, które w pakiecie z XXI w. spadły na miasto. Pierwsza już na rozbiegu stulecia wstrząsnęła węglową krainą szczęśliwości: na straty spisano kopalnie Moszczenica i Jastrzębie. Drugi dopust boży sięga roku 2002, kiedy to do gabinetu prezydenta na całe trzy kadencje wprowadził się Marian Janecki, „pan od historii" w Zespole Szkół Górniczo-Elektrycznych. Zaczęła się prawie ćwierćwiekowa epoka belferskich rządów w górniczym mieście, bo w 2014 r. Janeckiego zdetronizowała koleżanka po fachu Anna Hetman, dyrektorka Zespołu Szkół nr 10. I to ona przez 10 ostatnich lat zarządzała miastem na węglu. Na finiszu w duecie z szefem rady miejskiej Piotrem Szeredą. Nabzdyczeni na siebie – Hetman gustuje w PO, a Szereda skręcił ku PiS – niczym Paweł i Gaweł. Albo jeszcze gorzej. Jak jastrzębscy posłowie Grzegorz Matusiak, znany jako „kadrowy JSW", i Krzysztof Gadowski, ksywa „gumkowy"*.

Emeryt z kopalni Borynia wyłuszcza: – Hetman umyśliła sobie, że obudzi w narodzie tęsknotę za bezpowrotnie zaoranym uzdrowiskiem, choć po jastrzębskim kurorcie uchowało się jedynie parę budynków przejętych pod komercję lub na siedziby instytucji. No i park, o którym złego słowa nie da się powiedzieć ponad to, że równie atrakcyjnych – a nawet bardziej, bo okalających zabytkowe rezydencje – mamy w kraju 100 albo i więcej. I żaden nie zarabia na własne utrzymanie, o zasilaniu budżetu gminy już nie wspominając. Jakim sposobem park wciśnięty między kopalniane hałdy miałby znęcić turystów i zasilić kasę miasta, wie tylko autorka pomysłu.

Weteran od węgla punktuje dalej: – Psu na budę zda się też kosztowna próba odgrzewania fascynacji górniczymi strajkami z 1980 r. i podpisanym w kopalni Manifest Lipcowy porozumieniem jastrzębskim. Dla mnie, uczestnika tamtych protestów, to była wielka sprawa, ale dla dzisiejszych 20-, 30-latków, którzy PRL znają z książek, filmów i opowieści dziadków, to wydarzenie równie historyczne jak bitwa na Psim Polu. A nie słyszałem, żeby z powodu łupnia, jaki Polacy dali Germańcom, turyści zadeptywali tę wrocławską

Hurtowo, za pracą i mieszkaniem, wyjeżdżają młodzi. Ci, co budowali górniczą potęgę miasta, również.

Po niedawnym wyjazdowym posiedzeniu w Jastrzębiu-Zdroju parlamentarnego zespołu ds. energetyki, transformacji energetycznej i górniczej poseł Jacek Sasin, były minister aktywów państwowych, miał dla dziennikarzy taki news: – Jastrzębska Spółka Węglowa zakończyła miniony rok gigantyczną stratą 7,3 mld zł i brak dziś perspektyw na zmianę tej sytuacji. Obawiamy się, że grozi to upadłością JSW. Wiemy już, że JSW Koks, strategiczna spółka córka JSW SA, spełnia wszystkie kryteria do ogłoszenia upadłości (…), ale też cała JSW stoi w obliczu upadłości.

– Mam obawy – wtórował mu jastrzębski poseł Grzegorz Matusiak – czy w czerwcu znajdą się pieniądze na wypłaty dla górników.

I nie jest to alarm wydumany ani przedwczesny. Jastrzębską Spółkę Węglową utrzymuje na powierzchni finansowa kroplówka ze Stabilizacyjnego Funduszu Inwestycyjnego, utworzonego w latach koniunktury. Od początku bieżącego roku

eprasa.pl 105d0f1123

Górnicy z kopani Zofiówka, 2013 r.

dzielnicę. Do pogórniczego Jastrzębia-Zdroju też nie zlecą się tylko dlatego, że tu kilkadziesiąt lat temu górnicy podpisali z rządem umowę społeczną.

Miasto zapisało się w historii i na miarę swoich możliwości upamiętniło tamte wydarzenia, przyznaje mój rozmówca. – Przygodny pasjonat jastrzębskiego Sierpnia '80 (bo tłumu ciekawskich nie ma i nie będzie) bez problemu znajdzie w mieście jego ślady i źródła informacji. Nie rozumiem więc – podkreśla z naciskiem – i większość jastrzębian też zachodzi w głowę, czemu miała służyć inwestycyjna wolta prezydent Hetman. Dziesiątki milionów złotych wpompowanych w budowę kuriozalnego deptaka, który mieszkańcy nazywają betonozą za 25 mln zł, w wystawne Carbonarium, kiedy nasze kopalnie idą w rozsypkę, oraz w Centrum Porozumienia Jastrzębskiego to w aktualnej sytuacji gospodarczej miasta i przy deficytowym od lat budżecie gminy bezsensowne, by nie powiedzieć karygodne, przypinanie kosztownych kwiatków do wyliniałego kożucha.

Nowa władza w starych kapciach

W ubiegłorocznych wyborach samorządowych o kolejną prezydencką pięciolatkę szefowa jastrzębskiego magistratu zabiegała pod hasłem: „Prezydent Anna Hetman – gwarancja rozwoju miasta", co emeryta z Boryni do dziś doprowadza do pasji. – O jakim rozwoju ta pani mówi?! (Panie kelner, jeszcze dwa piwa). Od dwudziestu paru lat, kiedy rządy w mieście przejęli spece od kredy i tablicy, Jastrzębie-Zdrój się zwija.

I wylicza: – Z pięciu kopalń została jedna sklecona z resztek po Boryni i Zofiówce, coraz więcej mieszkańców dojeżdża do pracy w Czechach. PKP, nie bacząc, że Jastrzębie-Zdrój to ciągle za sprawą węgla koksowego znaczący ośrodek gospodarczy, a i wiek mamy XXI, odcięły miasto od połączeń kolejowych. Z pomnażaniem inteligencji pracującej też nam nie wyszło. Tworzone z wielkim zadęciem jastrzębskie ośrodki Akademii Wychowania Fizycznego, Uniwersytetu Śląskiego i Akademii Górniczo-Hutniczej szybko zwinęły żagle, choć w pobliskim Rybniku czy Cieszynie filie uczelni mają się całkiem nieźle. Ba, nawet placówki sanepidu i ZUS wyprowadziły się do mniejszego Wodzisławia Śląskiego.

Miasto się wyludnia. – Hurtowo, za pracą i mieszkaniem, po które ich dziadkowie i rodzice ciągnęli przed laty do Jastrzębia-Zdroju, wyjeżdżają młodzi – stwierdza emeryt. – Ci, co budowali górniczą potęgę miasta, również. Wracają tam, skąd przybyli: na Podlasie, Warmię, Kielecczyznę, gdzie woda jeszcze czysta, trawa zielona, a górniczymi emeryturami mogą kłuć w oczy zawistnych sąsiadów. Tym, co zostali w Jastrzębiu-Zdroju, funduje się księżycową wizję przemeblowania górniczego grajdoła na turystyczny samograj.

Tak mówi skaperowany ongiś z Lubelszczyzny weteran jastrzębskiego węgla i nie jest w rozgoryczeniu odosobniony. W ubiegłorocznych wyborach szefa magistratu jastrzębianie wymienili Annę Hetman na sołtysa podmiejskiego Bzia, Michała Urgoła, kandydata z rekomendacji PiS. – I z prokuratorem na karku – doprecyzowuje emeryt. – Z doniesienia, jak podawały media, Jastrzębskiej Spółki Węglowej, gdzie Urgoł był wiceprezesem jednej ze spółek córek JSW – dodaje.

A nowy prezydent, choć w kampanii wyborczej nie zostawiał na pomysłach Anny Hetman suchej nitki, po zasiedleniu najważniejszego w magistracie gabinetu bez odrazy wzuł kapcie poprzedniczki. I na starcie obiecał jastrzębianom kolejny kwiatek do kożucha – zafunduje im aquapark. W ślad za Michałem Urgołem powyborcze prezenty zapowiedział jego zastępca Grzegorz Dulemba. Dociskany przez radną Agatę Pałys wyjawił, że w Jastrzębiu-Zdroju, po przeszło 60 latach od uzyskania praw miejskich, pojawią się wreszcie publiczne szalety. Pod warunkiem, dodał asekurancko wiceprezydent, że Unia Europejska sypnie groszem na gminne inwestycje, pod które miasto chytrze podpięło toalety.

Józef Romanowski

* Poseł Krzysztof Gadowski publicznie szczycił się certyfikatem MBA uzyskanym w Collegium Humanum. Kiedy jednak „sprawa się rypła" i dyplomami CH zainteresowała się prokuratura, Gadowski skrupulatnie wygumkował z internetowego dossier informację o posiadaniu MBA z Collegium H.

Józef Romanowski jest dziennikarzem prasy regionalnej, czasopism branży wydobywczej (górnictwo węgla, miedzi, siarki) i okazjonalnie tygodników o zasięgu krajowym

FOT. SHUTTERSTOCK, PETER ANDREWS/REUTERS/FORUM

eprasa.pl 105d0f1123

Niepodległość i patrioci

Rok 1990 był rokiem demagogii. Odtąd III RP nigdy już nie zeszła z drogi populizmu i na tym gruncie wyrosła jej radykalna prawica

Andrzej Romanowski

Stanisław August Poniatowski doczekał sprzyjającej Rzeczypospolitej koniunktury politycznej, ale była to zmiana chwilowa i nie uratowała kraju przed rozbiorami. Józef Piłsudski wykorzystał koniunkturę wynikłą z pustki politycznej po zaborcach i okupantach. A Wojciech Jaruzelski?

Hipotekę miał zszarganą jeszcze bardziej niż ostatni król Rzeczypospolitej: wszak dopiero co skierował wojsko polskie przeciw powstaniu Polaków. W dodatku przeciw powstaniu, które – w przeciwieństwie do konfederacji barskiej – nie miało charakteru zbrojnego. Czy jednak miał wyjście? Stan wojenny wprowadził w momencie dekoniunktury, wobec realnie istniejącego zagrożenia dla polskiej państwowości, przynajmniej w dotychczasowym kształcie terytorialnym. Realizował w Polsce interes rosyjski? Oczywiście – działał dokładnie tak jak Stanisław August. Bo też – tak jak on – uważał, że status quo jest wartością, że jest zgodny z polskim interesem narodowym. Naruszenie status quo gotowe było przynieść nieszczęście. Jaruzelski, miłośnik historii i literatury, był akurat jednym z tych, którzy przerobili lekcję Konstytucji 3 maja. A w 1939 r. na własne oczy widział rozbiór świeżo odzyskanego państwa.

Zatem nie zerwał z Rosją, jak zrobił to na cztery lata Stanisław August. I w przeciwieństwie do niego oszczędził rodakom kolejnej klęski. Dobrze wiedział, że Polska nie ma sojuszników – nawet takich, jakimi w czasie Sejmu Wielkiego były Prusy czy Wielka Brytania. Polska była zdana na Rosję i tylko na Rosję, ta zaś – jak w XVIII w. – była gwarantką polskich granic. Że mimo to udało się Jaruzelskiemu zachować będące solą w oku Moskwy polskie społeczno-polityczne odmienności, to graniczyło z cudem. Ale było możliwe, bo rozbrajało demokratyzacyjne pomysły Solidarności. Jednak kolejne decyzje Jaruzelskiego, jak Trybunał Konstytucyjny, Trybunał Stanu czy Rada Konsultacyjna przy przewodniczącym Rady Państwa, choć nie bez racji pomawiane o fasadowość, tworzyły przecież pierwsze przyczółki państwa demokratycznego. A z biegiem czasu traciły tę fasadowość: Trybunał Konstytucyjny zaczął urzędowanie od werdyktu nieprzychylnego rządowi, a protokoły z posiedzeń Rady Konsultacyjnej były drukowane – rzecz w realnym socjalizmie niesłychana – bez cenzury. Wszystko to dokonywało się pod stałym naciskiem Solidarności: śmiertelnie skłócone obozy polityczne szły osobno, lecz w jednym kierunku.

Początek koniunktury

Stanisław August przeżył Katarzynę, ale był już wtedy ekskrólem, a jego państwo nie istniało. Jaruzelski dekoniunkturę przeczekał, a państwo zachował – w dodatku w nienaruszonym kształcie terytorialnym, z ustrojem przekształconym w Październiku 1956 i dodatkowo jeszcze zdemokratyzowanym.

Wprowadzając stan wojenny, Jaruzelski wepchnął Solidarność do zamrażarki, ale jej fizycznie nie zniszczył. Postawa taka była rezultatem zasadniczej zmiany charakteru władzy w PRL. W grudniu 1970 r., podczas wystąpień robotniczych na Wybrzeżu, Władysław Gomułka mówił o kontrrewolucji. W sierpniu 1980 r. Edward Gierek nie chciał już strzelać do robotników, a w roku 1981 Stanisław Kania rozmawiał

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI

eprasa.pl 105d0f1123

z Solidarnością. To wszystko było zobowiązujące także dla następców, i to mimo niechcianej tragedii w kopalni Wujek. Wprowadzając stan wojenny, Jaruzelski nie mógł się spodziewać zmiany charakteru ZSRR, a jednak doczekał pierestrojki Michaiła Gorbaczowa. Przez swe kroki demokratyzacyjne stał się poniekąd ojcem chrzestnym pierestrojki.

Objęcie rządów w roku 1985 przez Gorbaczowa oznaczało powrót do Polski koniunktury. Oczywiście pojawienie się w ZSRR nowej polityki było następstwem twardej postawy prezydenta USA Ronalda Reagana, a w rezultacie – sowieckiej przegranej w wyścigu zbrojeń. Zadziwiające jednak, że i w tym przypadku brak w Polsce rzetelnej oceny historii. Wszak Gorbaczow – jak niegdyś cesarz Aleksander I – zwrócił Polakom wolność. Z tym że Aleksander zapowiedział więcej, niż zdziałał – i pięć lat po jego śmierci wybuchło powstanie listopadowe. Gorbaczow niczego nie obiecywał – oprócz demokracji. Dla Imperium okazało się to zabójcze, dla Polski zbawienne.

To w oparciu o Gorbaczowa Jaruzelski przedsięwziął kroki, które w realnym socjalizmie miały charakter rewolucyjny (lub – jak ktoś chce – kontrrewolucyjny). Podobnie jak twórcy Sejmu Wielkiego zaczął marginalizować radykalne skrzydło PZPR. I podobnie jak wtedy antykrólewska opozycja, tak teraz Solidarność, działająca w podziemiu i „szarej strefie", zaczęła odpowiadać tym samym. Ostatecznie 16-18 stycznia 1989 r. Jaruzelski wymusił na Komitecie Centralnym PZPR zgodę na pluralizm związkowy, a więc na relegalizację Solidarności. I zgoda ta otwarła drogę do – zapowiadanego od paru miesięcy – Okrągłego Stołu.

Polski chłód

Porównanie Okrągłego Stołu do Sejmu Wielkiego nasuwa się automatycznie. Ale różnica była zasadnicza: obradujący cztery lata Sejm Wielki działał (po początkowym wahaniu) przeciw Rosji; ściągnął też na Polskę rosyjską zemstę. Okrągły Stół obradował dwa miesiące, lecz z błogosławieństwem Rosji, żadne więc siły zewnętrzne w polskie sprawy nie ingerowały. Miał też Okrągły Stół swą Konstytucję 3 maja, bo tu także nastąpiła zmiana ustroju. Duch Okrągłego Stołu stanął przy tym u źródeł decyzji Jaruzelskiego, wtedy już prezydenta PRL, o powierzeniu misji tworzenia rządu jednemu z liderów Solidarności, Tadeuszowi Mazowieckiemu. To zatem 12 września 1989 r. – dzień powołania przez Sejm PRL tego gabinetu – powinien być obchodzony jako święto narodzin III Rzeczypospolitej. Zbiegiem okoliczności był to ten sam dzień, w którym 72 lata wcześniej powstała Rada Regencyjna.

12 września 1989 r. powinien być pamiętany nie tylko dlatego jednak, że – jak to się dziś powiada – powstał wtedy pierwszy rząd niekomunistyczny (co samo w sobie jest problematyczne). Przede wszystkim dlatego, że gabinet ten był pierwszym od roku 1920 Rządem Jedności Narodowej, choć pozbawionym tej nazwy, by nie budzić antyrosyjskich skojarzeń. Był ten rząd tworzony przez Solidarność, ale z lojalnym udziałem ludzi uznawanych (ahistorycznie) za komunistów: generałów Czesława Kiszczaka i Floriana Siwickiego. Rząd oraz Sejm (zwany dziś kontraktowym) podjęły dzieło fundamentalnych reform ustrojowych, wydobywających Polskę z systemu narzuconego 40 lat wcześniej. To wszystko był rezultat Okrągłego Stołu.

A jednak w momentach autentycznych przełomów dominował na ogół polski chłód. Jedynie likwidację Rady Nieustającej przyjęto w roku 1789 z dość powszechnym entuzjazmem. Podobny entuzjazm wobec Konstytucji 3 maja objął tylko część szlacheckiego społeczeństwa. Entuzjazmu nie wywołały też dni listopadowe 1918 r.: nie sposób ich nawet porównywać z gorącym przyjęciem Aktu 5 listopada.

Objęcie rządu przez Mazowieckiego wrażenie wprawdzie wywarło, lecz były to emocje krótkotrwałe. Dziś pamięta się raczej wybory z czerwca 1989 r. lub nawet kojarzy z początkiem niepodległości wcześniejszy o dziewięć lat sierpień 1980 r. Oba przełomy, roku 1918 i 1989, społeczeństwo przyjęło zatem chłodno, a umownego wprawdzie, lecz realnego dnia odzyskania niepodległości nigdy nie umiało oznaczyć. Zresztą ani Piłsudski, ani Jaruzelski nie wymyślili hasła typu „Król z narodem, naród z królem". Dzień 11 listopada stał się świętem państwowym dopiero w roku 1937. I dopiero 28 października 1989 r. jedno zdanie Joanny Szczepkowskiej uświadomiło Polakom przełom, jaki zaistniał cztery miesiące wcześniej. Choć obie te daty – 11 listopada i 4 czerwca – należały bardziej do mitu niż do rzeczywistości.

Jaruzelski, miłośnik historii i literatury, był akurat jednym z tych, którzy przerobili lekcję Konstytucji 3 maja. A w 1939 r. na własne oczy widział rozbiór świeżo odzyskanego państwa.

Zmiana zaistniała w roku 1989 wyzbyta była cech rewolucyjności – nawet takiej, jaka miała miejsce w latach 1791 i 1918. Przejście było tak łagodne, że aż niezauważalne, co do pewnego stopnia może tłumaczyć ów polski chłód. Wolno rzec: Jaruzelskiemu udało się wprowadzić najłagodniejszy w dziejach świata stan wojenny oraz najłagodniejszą w dziejach Polski rewolucję. A zatem można było się spodziewać, że pojawi się jakaś forma „radości z odzyskanego śmietnika". Nic bardziej błędnego, również tym razem ujawnili się polscy patrioci. A w miejsce chłodu przyszła konfrontacja. Jak zawsze, uderzyła z prawej strony.

Porozumienie Centrum, kierowane przez nieznanego dotąd Jarosława Kaczyńskiego, podjęło walkę – poniekąd jak Sapieha i Januszajtis – z pierwszym rządem niepodległej Polski. Nie była to walka zbrojna, ale może tym trudniejsza do opanowania: cóż bowiem można było odpowiedzieć na hasło „przyśpieszenia"? Jednak obóz przeciwny Kaczyńskiemu,

eprasa.pl 105d0f1123

chcąc zapobiec wyborowi Lecha Wałęsy, wysunął hasło prezydenckich wyborów powszechnych. I nikomu nie starczyło refleksji, że wybory takie wskrzeszają tradycję dawno skompromitowaną, odrzuconą już przez Konstytucję 3 maja: tradycję wolnej elekcji, *viritim*. Odgrzana w roku 1990, z przyczyn czysto koniunkturalnych, tradycja ta stała się jednym z grzechów pierworodnych III Rzeczypospolitej. Oraz wielką winą obozu Solidarności, który z roli sprawczej czy półsprawczej zaczynał już wtedy staczać się do roli destrukcyjnej. I jeszcze zaraził tym postkomunistyczną Europę.

Patrioci po raz trzeci

O ile więc rok 1989 był rokiem porozumienia, o tyle 1990 stał się rokiem demagogii. Odtąd III RP nigdy już nie zeszła z drogi populizmu i na tym gruncie wyrosła polska radykalna prawica, ukonstytuowana ostatecznie już w nowym stuleciu: w 2001 r. w PiS, w 2019 r. w Konfederację. W tych kręgach Okrągły Stół sprowadzono do „zdrady w Magdalence", a „grubą kreskę" Mazowieckiego zmieniono w jej karykaturę. Stopień nienawiści nie tyle do konkretnych rządów (także prawicowych), co można by było zrozumieć, ile do państwa jako takiego przypominał klimat oskarżeń czy to komunistów, czy oenerowców wobec II RP. „Nieprawe poczęcie", „ubekistan", „bantustan", „postkomunistyczne monstrum" – ćwiczono się w miotaniu przeciw państwu najcięższych obelg. Ciekawe: o takiej nienawiści nie było mowy w PZPR, choć została ona odsunięta od jedynowładztwa. Tym bardziej nie było jej w SLD. Tymczasem, tak jak w przypadku kampanii po wyborze Narutowicza, słowa nie były niewinne: w roku 2019 zamordowano Pawła Adamowicza, prezydenta Gdańska.

Porównanie patriotów pisowskich z patriotami Sejmu Czteroletniego i targowicy oraz z patriotami endeckimi II RP powinno być pouczające. Posłom Hulewiczowi i Świętosławskiemu trudno odmówić autentycznego patriotyzmu, można tylko mówić o ich politycznej głupocie. Choć nawet bez nich wolno wątpić, by Prusy, mając do wyboru Gdańsk i Toruń czy nawet skrawki Wielkopolski bądź terytorium kilkakrotnie większe ofiarowywane im przez Rosję, zdołały się oprzeć takiej pokusie. Szkodliwość posłów na Sejm Czteroletni była więc relatywnie mała.

Autentycznego patriotyzmu nie sposób też odmówić endecji. Przed I wojną światową położyła ona olbrzymie zasługi dla budowania we wszystkich trzech zaborach polskiej polityki jednolitej, „wszechpolskiej", dla oparcia tej polityki na podstawach realnych i racjonalnych, dla pracy narodowej wśród uboższych warstw społeczeństwa, dla uobywatelnienia polskiego chłopa. Jednak w centrum myśli endeckiej był zawsze naród, nie państwo. Dlatego II Rzeczpospolita była dla niej zawsze za mało polska. Endecja ponosi odpowiedzialność za fakt, że parę milionów polskich obywateli II RP nienawidziło swego państwa. Choć racjonalne jest również pytanie, co można było zrobić, by państwo to polubił taki obywatel RP jak Stepan Bandera. Endecja, jak komuniści, też miała swoje racje.

Natomiast żadnej już racji nie sposób przypisać Porozumieniu Centrum i PiS – obu kolejnym partiom Kaczyńskiego. „Spoconym mężczyznom w pogoni za władzą" chodziło istotnie o władzę i frukta tej władzy, a ich antypaństwowa zajadłość nie dysponowała żadną racjonalną motywacją. Nic dziwnego, że obecność Polski w Unii Europejskiej była dla PiS tylko obciążeniem. „My chcemy w Polsce rządzić się po naszemu, po polsku!", wykrzykiwał premier Mateusz Morawiecki. Ale w globalizującym się świecie Polska jako samotny elektron nie miałaby – bardziej niż kiedykolwiek – racji bytu, a anachroniczne „rządzenie się po polsku" ciążyłoby nieuchronnie w stronę czasu, gdy byliśmy Irokezami Europy. Pisowska Polska, kultywująca „politykę godnościową", skazywała się na nieustanny konflikt ze wszystkimi sąsiadami, w tym z całą Unią Europejską, którą chciała zniszczyć. Ambasador RP w Londynie, udający się na audiencję do królowej Elżbiety II w kontuszu, udowadniał niechcący, że Polska to twór kulturowo obcy. Dla Europy staliśmy się więc kłopotem – zupełnie jak w XVIII w. Żadną przesadą nie będzie zatem stwierdzenie, że partię tak fundamentalnie wymierzoną w polski interes narodowy, tak do szpiku kości antynarodową, można porównać tylko z Komunistyczną Partią Polski z okresu międzywojennego, i to głównie z jej nurtem „mniejszościowym", wielbiącym Stalina tak, jak pisowcy wielbią dziś Trumpa. Poza tą partią działali w ten sposób już tylko zaborcy bądź okupanci. I to nawet nie wszyscy.

Ta pisowska destrukcja – biegunowe przeciwieństwo Okrągłego Stołu – trwa do dziś. Doprowadziła już do rozpadu Polski na dwa śmiertelnie ze sobą skłócone plemiona, a realizuje ją wciąż prezydent, którego dziesięcioletnie prawie działania jakże kontrastują z krótką, 17-miesięczną prezydenturą Jaruzelskiego. Nie można też wykluczyć destrukcji niebawem ze strony Izby Kontroli Nadzwyczajnej i Spraw Publicznych Sądu Najwyższego: wszak jest ona w stanie doprowadzić do sytuacji, w której będziemy mieć dwóch prezydentów. Czy wrócimy więc wtedy do sytuacji z XVIII w., gdy podwójne elekcje prowadziły do wojny domowej, a nie tylko już społeczeństwo, ale i państwo rozpadało się na dwie części? Dziś, gdy PiS i Konfederacja głosują przeciw Tarczy Wschód, czyli przeciw bezpieczeństwu Polski, można przyjąć bez cienia demagogii, że utworzyły one obóz zdrady narodowej.

Żadnej racji nie sposób przypisać Porozumieniu Centrum i PiS – obu kolejnym partiom Kaczyńskiego. „Spoconym mężczyznom w pogoni za władzą" chodziło istotnie o władzę i jej frukta.

eprasa.pl 105d0f1123

Koniec koniunktury?

Koniunktury nie trwają wiecznie. Okienko, które w 1788 r. ofiarowała Polsce potrójna koalicja, zatrzasnęło się już po trzech latach. Po katastrofie III rozbioru i po kongresie wiedeńskim dwukrotnie jeszcze, z Zachodu i Wschodu, dostawali Polacy strzępy dawnej Polski. Potem w najlepszym wypadku słyszeli od Europy jedynie „Durez" – trwajcie. Przez cały wiek XIX Europa doskonale obywała się bez Polski. Trzeba było półwiekowych doświadczeń autonomii galicyjskiej oraz wielkiej – i wielkodusznej – wyobraźni niemieckiej, by powołać do ponownego istnienia byt – zdawało się – dawno umarły. By Polakom, tym europejskim Kurdom, ofiarować znowu ich państwo.

Koniunktura otwarta w roku 1918 trwała tak długo jak Europa powersalska. Polityka polska, pomna doświadczeń XVIII-wiecznych, związała się ze zwycięską ententą: z największymi potęgami kontynentu, Francją (w roku 1921) i Wielką Brytanią (w 1939 r.). Prawdziwym końcem koniunktury stał się dopiero rok 1941 – zaproszenie do koalicji antyniemieckiej Związku Sowieckiego.

Koniunktura otwarta w latach 1985-1989 okazała się najtrwalsza. W jej rezultacie Polska niepodległa istnieje już prawie 36 lat – o ileż dłużej niż trzy poprzednie niepodległości. A przy tym zyskaliśmy zakorzenienie w NATO (w roku 1999) i w Unii Europejskiej (w roku 2004). I warto pamiętać o prawidłowości: droga do niepodległości i Europy poprowadziła po raz kolejny przez Niemcy. Z inicjatywy Hansa-Dietricha Genschera powstał w 1991 r. francusko-niemiecko-polski Trójkąt Weimarski, a niemiecki minister obrony Volker Rühe był w latach 90. najgorętszym orędownikiem wejścia Polski do NATO. Dziś polskie państwo jest częścią Europy, i to w jej granicach karolińskich, czego nigdy przez tysiąc lat nie zaznaliśmy. Taki jest rezultat koniunktury, od Polski niezależnej, ale przez Polskę – ojczyznę Solidarności i twórczynię Jesieni Ludów – cierpliwie wspieranej, oswajanej i pielęgnowanej.

I oto pytanie zasadnicze: czy ta koniunktura trwa? Czy nie rysuje się jednak koniec Europy powstałej po zimnej wojnie – porównywalny z końcem Europy powersalskiej? Lecz może – kto wie? – stanie się akurat przeciwnie? Bo może Donald Trump Europę otrzeźwi i – wbrew swym zamiarom – doprowadzi ją do stanu, w którym populizm i egoizmy narodowe zejdą na drugi plan? A Polska – obok Niemiec i Francji – stanie się jednym ze zworników europejskiej jedności? Przyszłość jest nieznana, stawka – najwyższa z możliwych. Pewne jest tylko jedno: istnienie polskich patriotów. Jeżeli będą mogli zniszczyć polskie szanse – zrobią to.

Andrzej Romanowski

Artykuł jest skróconą wersją tekstu, który ukaże się w książce „Okrągły Stół – wyprawa w nieznane", będącej zbiorem referatów prezentowanych na konferencji pod tymże tytułem, zorganizowanej przez Muzeum Niepodległości, Fundację Amicus Europae i Fundację Ogólnopolskiej Komisji Historycznej Ruchu Studenckiego im. Wiesława Klimczaka.

eprasa.pl 105d0f1123

Ekipa remontadowa

Lamine Yamal – genialny 17-latek

Wojciech Kuczok

„Nie jest normalne to, co robi. Po pierwsze – jakość i poziom talentu jest chory. Po drugie, dojrzałość w jego grze to jest jedna rzecz, której nie potrafię zrozumieć, bo 17-latek nie powinien wiedzieć, kiedy przyspieszyć, kiedy zwolnić, kiedy kiwać, kiedy podać, kiedy zagrać na czas..." – tak skomentował wyczyny Lamine'a Yamala Wojciech Szczęsny tuż po zdobyciu z Barceloną tytułu mistrzowskiego. Ten chłopak jeszcze rośnie, jeszcze się leczy u pediatry, nie ma dowodu osobistego, a już jest legendą seniorskiej piłki. Cokolwiek los mu przyniesie, czy będzie przez kolejne dwie dekady wspinał się na podium geniuszy wszech czasów po to, by wraz z Maradoną i Messim uczynić je czysto lewonożnym, czy też z nieznanych przyczyn kariera mu się (odpukać!) nagle załamie. W tym drugim przypadku legenda urośnie szybciej, Rimbaudowi też nie zaszkodziło, że zaniechał pisania wierszy, kiedy tylko osiągnął pełnoletniość.

Lamine Yamal obok pomocnika Espanyolu Pola Lozana podczas meczu ligi hiszpańskiej między Espanyolem a Barceloną na RCDE Stadium, 15 maja 2025 r.

Lamine Yamal niespełna rok po zdobyciu z reprezentacją narodową mistrzostwa Europy sięgnął właśnie z Barceloną po potrójną koronę w Hiszpanii, a po najbardziej epickim dwumeczu półfinałowym w historii Champions League zaliczył także lekcję pięknego przegrywania. Ale nawet gdyby niczego nie wygrał, nie ma wątpliwości, że ten dzieciak jest namaszczony. Zdobywał dla Barcy gole w kluczowych momentach sezonu, w przełomowych chwilach meczów – ba, powiedzieć gole nie wystarczy, strzelał goliska, sam ze sobą rywalizował o miano autora najpiękniejszej bramki sezonu, co mecz trafiając bardziej obezwładniająco. Yamal nie umie strzelać goli szpetnych, zwykłych, a nawet ładnych; on zawsze trafia bajecznie, kosmicznie, z nieludzkim wprost połączeniem siły i precyzji.

Tak właśnie uciszył w czwartkowy wieczór najbardziej wrogi Blaugranie stadion Espanyolu i spuentował swój genialny sezon bodaj najcudowniejszą z bramek. Gole Yamala degustuje się niczym kolejne roczniki bordoskiego grand cru, taki np. Château Pétrus w Pomerol z czystego merlota – ta sama parcela, ten sam szczep winogron, wszystkie wina wybitne w podobny sposób, ale subtelnie różniące się od siebie wskutek aury, która na nie wpływała, i procesów starzenia. Różnica polega na tym, że na łyk Pétrusa stać tylko milionerów, a delektować się smakiem bramek Yamala może każdy.

Otóż ten genialny 17-latek prawie zawsze robi to samo – zbiega ze skrzydła do środka i ładuje lewą nogą, nadając piłce perfekcyjną trajektorię; przypomina w tym Arjena Robbena, holenderską gwiazdę Bayernu z poprzedniej dekady – wszyscy obrońcy wiedzieli, na co się zanosi, a i tak w nieskończoność nabierali się na ten sam numer. Kiedy Yamal dostanie choć metr swobody do 20 m przed bramką, niechybnie zdejmie pajęczynę – wszyscy mają tego świadomość, ale weź tu upilnuj przez półtorej godziny wybieganego młokosa, który do tego najlepiej na świecie drybluje i najlepiej w historii asystuje zewniakiem.

Barcelona mogła świętować odzyskanie tytułu już w środowy wieczór,

eprasa.pl 105d0f1123

gdyby Real nie wygrał u siebie z Mallorcą, ale cóż by to było za świętowanie – każdy u siebie w domu, dzieciaki już pousypiane, żony rozochocone, dobrze zatem, że w ostatnich sekundach doliczonego czasu gry rezerwowy obrońca Królewskich trochę jakby mimochodem trafił do siatki.

Wszystko więc rozstrzygnęło się w derbach Barcelony, choć gospodarze na pełnej wściekłości robili, co mogli, zarówno na boisku, jak i na trybunach, aby uniknąć upokorzenia. Barca, odwieczny wróg Espanyolu, przed dwoma laty już na tym stadionie zdobyła koronę, jednocześnie strącając sąsiadów do niższej ligi – rozjuszeni kibice wtargnęli wtedy na boisko. Tym razem Espanyol nazbierał dość punktów, aby się utrzymać mimo porażki, ale tuż po ostatnim gwizdku meczu wygranego przez Barcę 2:0 (Yamal dołożył wspaniałą asystę na finiszu) organizatorzy profilaktycznie włączyli zraszacze murawy, aby ostudzić zapał świeżo upieczonych mistrzów. Yamal i tutaj wykazał się refleksem, bo natychmiast zwiał do szatni i to mistrzostwo uszło mu na sucho jako jedynemu członkowi zwycięskiej ekipy.

Nazwisko największej obecnie gwiazdy futbolu iberyjskiego odmieniam przez wszystkie przypadki i z emfazą nie bez powodu – jeśli bowiem drużyna Hansiego Flicka będzie wspominana jako jedna z największych w historii klubu, obok tej z czasów trenerskich Guardioli, a wcześniej Rijkaarda, to za sprawą błysków geniuszu tego młodziaka, potrafiącego pociągnąć starszych kolegów do bezprecedensowej serii remontad.

Mój dziewięcioletni syn, na razie w kadrze orlików Legii, wierzy, że zdoła kiedyś zagrać na boisku przeciw Yamalowi, zrobił sobie w pokoju ołtarzyk z figurką i plakatami Lamine'a – uwielbia go nie tylko dlatego, że to piłkarz doskonały, lecz i z tej przyczyny, że obaj są jeszcze dziećmi. Yamal na boisku robi taką różnicę jak w grze FIFA – zabroniłem Antkowi wystawiać go w składzie, bo nie miałem wtedy żadnych szans, choćbym grał ekipą piłkarskich legend. Mając takiego czarodzieja w składzie, ekipa z jedną z najbardziej niefrasobliwych defensyw nie przegrała w tym roku w lidze ani razu. Tylko dzięki temu, że miała z przodu mieszankę młodzieńczej furii i mistrzowskiego doświadczenia, której nie byli w stanie się oprzeć żadni rywale.

Od kiedy między słupkami stanął Wojciech Szczęsny, z całym szacunkiem dla naszego najbardziej utytułowanego bramkarza, trudno nie zauważyć, że drużyna zaczęła tracić znacznie więcej bramek niż jesienią, choć wtedy przegrała aż pięciokrotnie. Wojtek całą zimę i wiosnę przysposabiał się do gry z wysoko ustawioną defensywą, toteż nie obyło się bez spektakularnych pomyłek, nieporozumień i bramek zawinionych złym timingiem, drużyna zaś przywykła do odrabiania strat.

Tak też było w decydujących o mistrzostwie ostatnich Gran Derbi, kiedy już po kwadransie największy prześladowca Szczęsnego, Kylian Mbappé, miał na koncie dwa gole, ale zanim piłkarze zeszli do szatni na przerwę, Barca prowadziła 4:2.

Superpuchar, puchar i mistrzostwo kraju, do tego czterokrotne zwycięstwo w El Clasico – ba, w tych czterech meczach Barca strzeliła Realowi 16 bramek!

O tak wspaniałym sezonie w stolicy Katalonii nie śniło się najbardziej odklejonym od rzeczywistości marzycielom; przed rokiem zatrudniono Hansiego Flicka, aby poskręcał to, co się rozregulowało u schyłku pracy Xaviego – Niemiec przybył i tak poskręcał, że teraz wszystkich wrogów aż skręca z zazdrości. Barca pozamiatała wszystko na własnym podwórku, a spektakl, po którym pożegnała się z Ligą Mistrzów, jest wart osobnego felietonu, ale przyjdzie na niego czas po finale Inter-PSG (nadal dwóch Polaków ma szansę wznieść w tym sezonie najcenniejsze trofeum w klubowej piłce).

W tym wybitnym sezonie zapisali się nasi legendarni reprezentanci – o Szczęsnym ściągniętym późnym latem z emerytury pisałem już kilkukrotnie. O Lewandowskim, najlepszym strzelcu Barcelony, który

Yamal nie umie strzelać goli szpetnych, zwykłych, a nawet ładnych; on zawsze trafia bajecznie, kosmicznie, z nieludzkim wprost połączeniem siły i precyzji.

To była wzorcowa remontada, wpisująca się w stały schemat – w obu meczach półfinałowych Ligi Mistrzów z Interem Katalończycy też odrabiali dwubramkowe straty, podobnie jak w innych wiosennych starciach: z Celtą Vigo, dwukrotnie z Atlético Madryt, a także w styczniowym meczu z Benficą. W „erze Szczęsnego" Katalończycy siedmiokrotnie wyciągali korzystny wynik, przegrywając dwoma golami (tylko z Interem bez happy endu w dogrywce). Nasz golkiper zauważył, że kiedy przeciwnicy wygrywają z Barcą 2:0, zaczynają panikować, bo wiedzą, że teraz się zacznie szał rozjuszonej bandy. Czesław „711" Michniewicz zapisał się niegdyś w księdze futbolowych aforyzmów, zauważając, że „2:0 to niebezpieczny wynik" – trzeba uzupełnić, że kiedy grasz z Barcą, ten wynik jest przerażający.

dopiero na finiszu, za sprawą kilkutygodniowej pauzy spowodowanej kontuzją, oddaje koronę króla snajperów Kylianowi Mbappé, nigdy dosyć. Lewemu brakuje jednego gola do setki we wszystkich oficjalnych występach dla Blaugrany, a uczynił to w zaledwie trzech sezonach, jako piłkarz w wieku jak na napastnika cokolwiek podeszłym, po skończeniu 34. roku życia. Kiedy tylko wydaje się nam, że „to już nie ten" Lewy, że niechybnie zmierza do końca swojej sportowej drogi, bo za wolny, bo niewidoczny, bo nieskuteczny – Robert właśnie wtedy zaczyna trafiać seryjnie, zamykając usta defetystom.

Mamy jako kibice wielkie, niepowtarzalne szczęście, żeśmy przeżyli z Barcą sezon, który przejdzie do legendy – z pierwszoplanowym udziałem dwóch największych gwiazd polskiej piłki. ■

FOT. AFP/EAST NEWS

eprasa.pl 105d0f1123

NAJSZCZĘŚLIWSZE PAŃSTWO DLA MŁODYCH

LITWA OFERUJE COŚ RZADKIEGO – POCZUCIE WOLNOŚCI TWÓRCZEJ

Anna Wyrwik
Korespondencja z Litwy

20 marca 2024 r., w ustanowionym przez Zgromadzenie Ogólne ONZ Międzynarodowym Dniu Szczęścia, pojawił się kolejny World Happiness Report. Pierwsze miejsce zajęła, podobnie jak w poprzednich latach, Finlandia, drugie Dania, trzecie Islandia. Litwa znalazła się na miejscu 19. Jednocześnie wygrała ranking na najszczęśliwszy kraj dla ludzi poniżej trzydziestki. Tak, milenialsi i zetki ocenili Litwę na 7,76 w skali 1-10, o wiele wyżej niż Polskę, Wielką Brytanię czy USA.

Wszystko, czego trzeba

Błyszczą witryny jak świeżo umyte, błyszczą szyldy, mijam coffee, kepykla, lunch bar, Italiana i Beigelistai, bo w końcu bajgle wymyślono tu, nie w Nowym Jorku. Jeśli ktoś nie wie, jak tu jest, niech przyjedzie – szczęka mu w tym Wilnie opadnie. Bo szczęście na Litwie sprawdzam tam, gdzie jest go pewnie najwięcej – w stolicy.

– Litwa doświadcza wzrostu gospodarczego – mówi Petras Staselis, lokalny przewodnik.

Potwierdzają to od lat dane, np. PKB z 2024 r., który w Unii Europejskiej wyniósł 1%, średnio dla państw UE – 1,6%, a na Litwie 2,7%. Dało jej to 8. miejsce, przed Francją, Belgią czy Niemcami.

– Przez wiele lat młodzi z Litwy wyjeżdżali do Wielkiej Brytanii, Irlandii czy innych państw – kontynuuje Petras. – Teraz jakość życia jest tu taka sama jak tam, a koszty utrzymania niższe. Jest dobra praca oraz wiele możliwości, by uczynić życie satysfakcjonującym i ciekawym.

Idę ulicami czystymi jak nigdzie. Mijam odrestaurowane kamienice, nowe biurowce, ludzie palą na zewnątrz, młodzi i dobrze ubrani. Obok kawiarnia, restauracja, biuro coworkingowe i sklep z winami o nazwie The Hedonist.

– W tym mieście jest wszystko, czego młodym trzeba – przyświadcza Aldodas, sprzedawca. – Jest świetna praca, wiele miejsc, gdzie można pójść. Pochodzę stąd i widzę, jak Wilno się zmieniło.

Po przeciwnej stronie ulicy mamy więzienie na Łukiszkach wybudowane jeszcze w XIX w. Miejscem przetrzymywania skazanych było do 2019 r. Wtedy je zamknięto, ostatnich więźniów przeniesiono, ale całość zachowano, można zwiedzać cele i cerkiew wybudowaną na tym terenie w 1905 r. Dodano przestrzeń kulturalno-knajpianą. Dziś mamy więc Więzienie na Łukiszkach 2.0.

– Odbywają się pokazy filmowe, koncerty, a wielu młodych, niezależnych artystów ma tu swoje studia – opowiada barman Erik pracujący w jednym z knajpianych ogródków. – To scena artystyczna Wilna. Młodzi ludzie i underground.

Obok mnie przy barze dwóch muzyków dyskutuje po angielsku o nowym kawałku. Przy stoliku dziewczyna pracuje na laptopie. Na wielkim ekranie leci jakiś klip.

– Gdy wyjeżdżam w podróż, po jakimś czasie mam ochotę tu wrócić – wyznaje Erik. – Wtedy czuję, jak tu jest dobrze. W Wilnie jest dużo miejsc dla młodych. To całkiem fajne miasto i staje się coraz nowocześniejsze.

Idę przez most Zwierzyniecki na Zwierzyniec, dzielnicę w zakolu Wilii, gdzie dużo jest drewnianych domów z początków XX w. Tu też są restauracje, kawiarnie, sklepy i energia. W Kalimera cafe dostaję od greckiego właściciela kawę jak z południa Europy i siadam do rozmowy z Aurisem, przeszło 40-letnim biznesmenem z Wilna.

> W latach 2020-2021 osób, które wróciły na Litwę, było więcej niż emigrujących. Ale to wciąż jeden z najszybciej wyludniających się krajów świata.

– Wilno jest dziś o wiele żywszym miastem niż Ryga czy Tallin – zaczyna. – Myślę, że wpływają na to różne czynniki, ale przede wszystkim gospodarka. Mamy wiele firm i międzynarodowych korporacji, które umożliwiają młodym rozwój. W mojej firmie średnia wieku to 25-26 lat.

Przy kawie rozmawiamy o inwestycjach. O Rail Baltica, linii kolejowej, która ma połączyć Warszawę z Helsinkami, biegnąc przez kraje bałtyckie. O tym, że przydałoby się do Wilna więcej połączeń lotniczych. I o życiu ulicznym.

– Mając 20 lat, pracowałem w jednym z pierwszych w Wilnie klubów

eprasa.pl 105d0f1123

W Wilnie jest wszystko, czego młodym trzeba, i wiele miejsc, gdzie można pójść.

nocnych – wspomina Auris. – Już wtedy przychodziło do nas wielu ekspatów. Dzisiaj, gdy pójdziesz np. na ulicę Vilniaus, masz kluby, puby, życie nocne od wtorku do niedzieli. Wilno coraz bardziej się rozwija i trzymam kciuki, by tak zostało.

Sztuka i psychologia

Ze Zwierzyńca idę do Muzeum MO. Przed nim jest przejście dla pieszych pomalowane w tęczę i to też ma znaczenie.

17 kwietnia tego roku litewski Sąd Konstytucyjny orzekł, że definiowanie związku partnerskiego jako związku między kobietą i mężczyzną jest niezgodne z konstytucją. Teraz pary tej samej płci mogą zarejestrować tu związek partnerski. Wcześniej, w grudniu 2024 r., ten sam sąd unieważnił przepis zakazujący rozpowszechniania wśród nieletnich informacji „deprecjonujących wartości rodzinne" i promujących koncepcję rodziny LGBT+. Uznał go za niezgodny z konstytucją, która zapewnia wolność przekonań i ich wypowiadania oraz poszukiwania, a zawarta w niej definicja rodziny nie neguje różnych jej modeli. Dlatego – jak powiedział prezes Sądu Konstytucyjnego Gintaras Goda: „Nie można ustanowić takiej regulacji prawnej, która by sugerowała, że informacje o jakichkolwiek modelach rodziny i relacjach interpersonalnych są z natury nieodpowiednie dla nieletnich".

W 2019 r. więzienie na Łukiszkach zamknięto, ale można je zwiedzać. Do tego dodano przestrzeń kulturalno-knajpianą.

To „utrudnia ich rozwój jako dojrzałych, wszechstronnych osób i jest niezgodne z konstytucyjnym obowiązkiem państwa do zapewnienia harmonijnego i wszechstronnego rozwoju dziecka, opartego na poszanowaniu praw i godności człowieka, a także wartości równości, pluralizmu i tolerancji".

– Litwa jest krajem tolerancyjnym, choć mówię to z perspektywy osoby, która mieszka w stolicy – przyznaje barmanka z baru Dėvėti. Z głośników leci Red Hot Chili Peppers, przy barze piją piwo i jedzą robotnicy, którzy skończyli pracę przy remoncie chodnika, a my rozmawiamy o tych nowych prawach i tolerancji.

W Wilnie sporo jest tęczy. W knajpach, w bramach, na murach, jak w Kownie, gdzie ktoś na murze napisał „Homofobai eis pragara" (homofobi idą do piekła). Mała tęczowa flaga widnieje również, obok kolorów litewskich, ukraińskich i izraelskich, na stronie internetowej tamtejszego Muzeum Szkoły Amsterdamskiej. Kowno też jest miastem młodych. Uniwersytety, kawiarnie, bary i wszechobecny street art. Co do muzeum, w zabytkowym mieszkaniu z lat 20. XX w., starannie odremontowanym z ruiny (za jej czasów grało w serialu „Czarnobyl"), słyszę od przewodniczki o elementach homoseksualnych w sztuce.

– Postacie Hermesa i Hefajstosa wyrzeźbione nad wejściem do budynku są bardzo delikatne. Hefajstos, znany jako męski i silny kowal, tu jest niemal kobiecy. Sposób, w jaki trzyma młot, to odniesienie do homoseksualności. Patrząc na te i kilka innych elementów, możemy dojść do wniosku, że jeden z właścicieli budynku mógł być osobą homoseksualną.

Siedzę w fotelu art déco, z szampanem i czekoladką, bo tak tu wygląda zwiedzanie, i zastanawiam się, w którym polskim muzeum mogłabym usłyszeć podobną opowieść. W tym czasie przewodniczka mówi

eprasa.pl 105d0f1123

Street art na ulicach Kowna.

o właścicielu, który lubił chodzić po mieście w makijażu, i że wiele innych rzeźb ma uświadamiać, że to miejsce jest dziełem ludzi tolerancyjnych i wolnych duchem.

O szczęście młodych na Litwie pytam również Agnė Vidugirytė, szefową działu komunikacji Muzeum MO.

– Litwa oferuje coś rzadkiego, a mianowicie poczucie wolności twórczej, stale rozwijającą się globalną perspektywę oraz odpornego ducha, ukształtowanego przez historię – wyjaśnia. – Wielu młodych artystów eksploruje dziś złożone tematy. Nie boją się kwestionować norm, zadawać niewygodnych pytań i pozycjonować swojej pracy na arenie międzynarodowej.

Oglądam, co mają do powiedzenia, a mówią to na „From Within", reklamowanej jako „pierwsza wystawa na Litwie łącząca na tak dużą skalę sztukę i psychologię". Są prace XX-wiecznych artystów, ale i tych zaliczanych do zetek i milenialsów. Temat także jest młody, bo to psychologia, terapie i pytania: za czym tęsknię, co sprawia, że przesadnie reaguję, co mnie irytuje, czego nie chcę widzieć? Twórcy wystawy piszą o pozytywnym wpływie sztuki i o tym, jak może ona pomóc odbiorcom.

– Litwa jest krajem wolnym, patrzącym w przyszłość, z pokoleniem młodych ludzi, którzy są coraz bardziej kreatywni i zaangażowani. I to być może stwarza warunki, w których szczęście może się zakorzenić – tłumaczy Agnė Vidugirytė i dodaje: – Oczywiście każda opinia dotycząca szczęścia powinna być traktowana z przymrużeniem oka. Nie wszyscy młodzi doświadczają tej samej rzeczywistości. Wielu staje w obliczu wyzwań związanych ze zdrowiem psychicznym, nierównością lub tożsamością.

To życie jest w porządku

Oddalam się od centrum w kierunku północnym, Śnipiszki, Bałtupiai. W niektórych miejscach wyrosły nowe bloki.

– Wielu z tych, którzy opuścili Litwę kilka lat temu, wróciło lub rozważa powrót – mówi przewodnik Petras Staselis. – Mają wciąż silne związki rodzinne z krajem. Czują, że ich życie będzie tu pełniejsze pod względem społecznym.

Według danych Oficjalnego Portalu Statystycznego Litwy od 2017 r. spada liczba emigrujących, a wzrasta imigrujących. Są również powroty – w latach 2020-2021 osób, które wróciły na Litwę, było więcej niż emigrujących.

Nie zmienia to jednak faktu, że Litwa wciąż jest jednym z najszybciej wyludniających się krajów na świecie. Na początku 2023 r. „Kurier Wileński" donosił na podstawie danych ze spisu ludności i mieszkań z 2021 r., że „w ciągu 10 lat na Litwie zniknęło 700 miejscowości, liczba mieszkańców zmniejszyła się o 232,6 tys.". Ośrodek Studiów Wschodnich podaje, że w 1991 r. Litwa miała 3,7 mln mieszkańców, a 1 stycznia 2024 r. było ich 2,88 mln.

W starych blokach – jak Europa Środkowo-Wschodnia długa i szeroka – zabudowane balkony. Bo gdy na dom się nie ma, to się balkon zabudowuje najlepszymi materiałami, a do tego ładne, nowe drzwi wejściowe wstawia, ramy okienne wymienia. Biedniejsi mają zabudowy z dykt, pleksi, jakichś cienkich desek.

Idę przez osiedle i zastanawiam się, czy to jest czas miast wschodniej Europy. Przynajmniej tej, która nie daje się skrajnej prawicy. Wywalczonych, wystaranych, czystych i zadbanych jak żadne na południu kontynentu. Co jest takiego w tym Wilnie, że tu jest taka energia? Może chodzi o szczerość, autentyczność, nie kopiowanie, ale robienie swojego. Może o ład i bliskość Skandynawii, która sprawia, że estetykę mają Litwini wbitą do głów i szyldy żabek byłyby tu od czapy. I może o tę energię ludzi, którzy siedzą sobie wygodnie i popijają kawę, ciesząc się, że mogą teraz wszystko robić po swojemu.

Wchodzę do Savičiaus šPUNKa, gdzie wybór piw jest równie duży jak liczba słyszanych języków.

– Gospodarki Wilna i Kowna szybko się rozwijają – opowiada Petras Staselis. – Firmy z branży IT czy tworzące gry komputerowe potrzebują coraz więcej pracowników, więc na Litwę przyjeżdżają ludzie z całego świata. Gdy pracowałem w firmie zajmującej się grami, mieliśmy ludzi z Włoch, Hiszpanii i innych krajów zachodnich, a nawet z RPA.

Obok mnie para przy piwie rozmawia po holendersku, dalej przy stole siedzi grupa ludzi z Erasmusa, na co wskazywałby wiek i różne akcenty angielskiego, przy oknie Litwinki, obok Niemcy.

– Obecny czas na Litwie nazwałbym optymistycznym – podsumowuje Staselis. – Można tu wyczuć, że ludzie są szczęśliwi, że to życie jest w porządku. I nie widać, by młodzi chcieli się przeprowadzać na Zachód.

W tegorocznym World Happiness Report Litwa awansowała z 19. na 16. pozycję.

Anna Wyrwik

FOT. ANNA WYRWIK (2), SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 105d0f1123

Lewomyślniej

Roman Kurkiewicz

Nie o siekierze

Nie ma nic dziwnego w tym, że morderstwo na terenie kampusu Uniwersytetu Warszawskiego, gdzie zginęła 53-letnia portierka, a interweniujący strażnik uniwersytecki został ciężko ranny, przyciąga zainteresowanie mediów, ich odbiorców i komentatorów. Problem zaczyna się poza samą zbrodnią, krąży wokół niej.

W Polsce od stycznia z rąk mężczyzn życie straciło ponad 30 kobiet. Nie dyskutujemy o tym, bo te „codzienne" zbrodnie w kontekście gigantycznej skali przemocy domowej, szacowanej na ok. 1 mln rocznie (pamiętając, że mówimy o aktach zgłoszonych i odnotowanych), nie niosą takiego pakietu stereotypogennych i schematycznych skojarzeń jak zabójstwo w niecodziennym, publicznym miejscu, naznaczonym aurą „nauki i kultury". Sprawca jest przy tym młodziutkim studentem prawa i pochodzi z tzw. dobrego domu. Fakt, że najprawdopodobniej mamy do czynienia z osobą, u której wystąpił ostry syndrom choroby psychicznej, służy do nieuniknionej stygmatyzacji osób z chorobami i problemami psychicznymi (choć podobne tragiczne zdarzenia należą do absolutnych statystycznych wyjątków i mają charakter epizodyczny). Prowokuje zarazem wylew mściwych deklaracji, że to pretekst do uniknięcia kary, najlepiej śmierci, choć takiej w Polsce prawo nie przewiduje. Cóż, reguła, że osoba chora nie ponosi odpowiedzialności karnej za potworne nawet czyny, należy do fundamentów cywilizacyjnych naszej części świata.

W pierwszych godzinach i dniach ostrze publicznych anatem zostało wymierzone w hipotetycznych obojętnych świadków rejestrujących zajście telefonami, w domyśle – studentów. Do tego moralistycznego wzmożenia dołączył m.in. profesor prawa i wykładowca wydziału, na którym studiował sprawca, Marcin Matczak, który w swoim nadrzędnym odruchu publicystycznego Katona napisał: „Kampus przestał być przestrzenią edukacji i odpowiedzialności. Stał się instytucjonalnym peep-show – miejscem, gdzie można było obejrzeć śmierć bez konsekwencji". I dalej: „Przyszła informacja, że nasz student przed zabójstwem przez godzinę zachowywał się dziwnie na kampusie. Był widziany, słyszany, ale ignorowany. Jego koledzy wymieniali się na grupach facebookowych informacjami o »gościu, który biega z siekierą«. Na co czekali? Okazało się, że świadek nie jest już gwarancją pomocy, ale obserwatorem spektaklu, którego nikt nie przerwał – jakby czekano na jego kulminację".

No cóż, niekiedy warto powściągnąć przymus natychmiastowego komentarza. Ale to chyba nie jest mocna strona celebryckiego prawnika z profesorskim tytułem. Materiałami wideo wrzucanymi do sieci (nie widziałem żadnego) zajmuje się policja i wymiar sprawiedliwości. Jeśli będą świadczyć o czyjejś winie zaniechania pomocy z powodu nawyku, przemożności „rejestracji i udostępniania" – zapewne będzie to miało konsekwencje. Tego, że warto się powstrzymać od szybkich ocen i daleko idących krytyk, dowodzi też oświadczenie Samorządu Studentów UW, w którym czytamy: „Każde wydarzenie o tak dramatycznym charakterze rodzi falę spekulacji i nieprawdziwych doniesień. W ostatnich dniach pojawiły się liczne komentarze sugerujące, że studenci zachowali się biernie, nie reagowali na czas bądź uciekali, zamiast udzielić pomocy. Są to twierdzenia nie tylko niesprawiedliwe, ale także głęboko krzywdzące wobec całej społeczności akademickiej. (…) Wśród osób, które niezwłocznie poinformowały służby, byli również studenci naszego Uniwersytetu. Reakcja była szybka i adekwatna – studenci bez zbędnej zwłoki wezwali Policję oraz powiadomili straż uniwersytecką. (…) Nieprawdziwe są również informacje, jakoby sprawca przez dłuższy czas przemieszczał się po kampusie z siekierą w ręku bez reakcji otoczenia. Jak potwierdziła prokuratura, narzędzie zbrodni było ukryte w torbie aż do momentu ataku. Potwierdzają to również zapisy z monitoringu".

Natomiast kanclerz UW Robert Grey, który na miejsce zdarzenia dotarł chwilę po tragedii, poinformował, że w kolejnych dniach „miało miejsce spotkanie z inicjatywy rektora UW razem z ministrem Tomaszem Siemoniakiem, ministrem Marcinem Kulaskiem i komendantem głównym Policji Markiem Boroniem oraz kierownictwem KSP. Strażnicy nie dysponują środkami przymusu bezpośredniego, co minimalizuje możliwości ich skutecznej reakcji. Wydaje się, że jest dziś rzeczą oczywistą, iż system wymaga pilnej korekty.

Na tym spotkaniu wszyscy mieliśmy przekonanie, że potrzebujemy ustawowych zmian, które będą odpowiadać rzeczywistym zagrożeniom współczesnego świata. Konieczne jest zatem zbudowanie nowoczesnego systemu bezpieczeństwa uczelni".

Ta zbrodnia nie jest żadnym zagrożeniem współczesnego świata. Ale cały epizodyczny kontekst wydarzenia znika w jednej chwili, pojawia się konieczność zmian ustawowych, dozbrojenie straży, tak naprawdę militaryzacja przestrzeni uniwersyteckiej. Przykro słuchać. Przypomnę tylko, że kiedy Anders Breivik zamordował z zimną krwią 77 osób, Norwegia ani na jotę nie zmieniała swojego prawa. Jeśli sprawca jest chory, to jego miejsce jest w szpitalu, a nie na cmentarzu po interwencji uzbrojonego strażnika. I władzom uniwersytetu należy o tym mówić? ■

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 105d0f1123

Czasopisma naukowe bez redaktorów

Wydawnictwa stawiają swoje zyski ponad jakość publikowanych artykułów

Wojciech Mikołuszko

Zawsze zdarzały się masowe rezygnacje z pracy w redakcjach czasopism naukowych, ale teraz dzieje się to częściej. W latach 2021 i 2022 doszło do dwóch takich przypadków. W 2023 r. mieliśmy ich 12. Na swojej stronie internetowej czasopismo „Wired" podaje, że w styczniu z pracy zrezygnowała redakcja „Journal of Human Evolution" (cała prócz jednej osoby) jako 20. od 2023 r. Co się dzieje?

Podawane są różne powody rezygnacji. Ale wszystkie łączy zmiana w modelu biznesowym wydawnictw.

Rezygnujący redaktorzy „Journal of Human Evolution" napisali: „To była wyjątkowo bolesna decyzja dla każdego z nas (…). Głęboko przejmujemy się czasopismem, naszą specjalnością i społecznością naukową, jednak nie możemy dłużej pracować dla Elseviera w zgodzie z naszym sumieniem". Elsevier, o którym mowa w oświadczeniu, to międzynarodowa firma i jedno z największych światowych wydawnictw naukowych, ale siedzibę ma w Amsterdamie.

Redaktorzy wśród powodów decyzji wymienili likwidację stanowisk personelu pomocniczego, jak również funkcji redaktora numerów specjalnych. Jego obowiązki miały przejąć inne osoby. Kiedy napisali, że potrzebny jest im personel pomocniczy, Elsevier odpowiedział, że „nie powinni zwracać uwagi na język, gramatykę, czytelność, spójność, precyzję w kwestii nomenklatury czy formatowanie".

Wiele z tego, co robiono w redakcji, zostało przeniesione na zewnątrz. Elsevier bez wiedzy redaktorów zaczął korzystać ze sztucznej inteligencji. Konsekwencją stała się większa liczba błędów stylistycznych czy formatowania. Poprawiano też artykuły wcześniej zaakceptowane. „Sztuczna inteligencja wciąż jest używana i regularnie formatuje nadsyłane artykuły, zmieniając ich znaczenie i wymagając od autorów i redaktorów uważnego przyglądania się treściom", czytamy w oświadczeniu.

Został też wdrożony plan znacznej redukcji liczby redaktorów, o ponad połowę. Tym samym jedna osoba otrzymywałaby dużo więcej artykułów do opracowania, często na tematy spoza swojej specjalności.

„Journal of Human Evolution" jest czasopismem o otwartym dostępie. Dla autorów oznacza to niestety, że muszą płacić za umieszczenie w nim swojego artykułu (dla czytelników są one dostępne bezpłatnie). Na stronie podana jest cena 3990 dol. – to więcej niż w innych czasopismach wydawanych przez Elseviera czy np. w należącym do grupy Nature „Scientific Reports". Wielu autorów na takie wydatki nie stać. „To działa wbrew zasadom czasopisma (i Elseviera): równości i inkluzywności", napisali redaktorzy.

Kropką nad i był list wysłany w listopadzie 2024 r. do dwojga redaktorów naczelnych „Journal of Human Evolution": Marka Grabowskiego z Liverpool John Moores University w Wielkiej Brytanii oraz Andrei Taylor z Touro University California College of Osteopathic Medicine w USA. Elsevier poinformował ich, że chce, aby był tylko jeden redaktor naczelny, a nie dwoje, choć taki system obowiązywał od 1986 r. Gdy obydwoje wyrazili sprzeciw, wydawca powiedział, że ten model może pozostać, pod warunkiem że oboje utną swoje pensje o połowę.

Wydawnictwo już wcześniej było krytykowane, ale ostatnie jego ruchy wzmogły oburzenie. „Elsevier jak zwykle źle zarządzał czasopismem i zrobił wszystko, aby zmaksymalizować zysk kosztem jakości", wytknął biolog PZ Myers z University of Minnesota w Morris w USA na swoim blogu Pharyngula. „Wydawnictwo uznało, że redaktorzy ludzie kosztują zbyt dużo, i stara się przerzucić całą pracę na sztuczną inteligencję", napisał.

John Hawks z University of Wisconsin-Madison w Madison w USA, który opublikował 17 artykułów w „Journal of Human Evolution", na swoim blogu wyraził pełne poparcie dla rezygnujących redaktorów. Był też zaszokowany dopuszczeniem przez Elseviera sztucznej inteligencji do redagowania tekstów. „Autorzy powinni być informowani w momencie wysłania swojej pracy, jak sztuczna inteligencja będzie używana. Posłałbym artykuły gdzie indziej, gdybym był świadomy, że AI będzie potencjalnie zmieniać treść".

W Polsce nie było przypadków masowych rezygnacji redaktorów, ale nasze czasopisma nie są wydawane przez wielkie korporacje.

eprasa.pl 105d0f1123

A sztuczna inteligencja naprawdę potrafi wprowadzić w błąd. W sieci rozeszły się zmienione przez nią ilustracje w artykule opublikowanym przez magazyn „Frontiers". Przedstawiały one szczura z bardzo powiększonymi genitaliami. Artykuł wycofano, ale pozostało przekonanie, że sztuczna inteligencja czyni naukę mniej godną zaufania.

Na początku marca 2024 r. dwoje redaktorów czasopisma lingwistycznego „Syntax", Klaus Abels z University College London w Wielkiej Brytanii i Suzanne Flynn z Massachusetts Institute of Technology w Cambridge w USA, przyznało w liście otwartym: „Doszliśmy do wniosku, że nasza funkcja redaktorów czasopisma jest nie do utrzymania". Ich zdaniem ucinanie kosztów spowodowało, że „czasopismo nie spełnia już potrzeb społeczności". W odpowiedzi na list firma Wiley, wydawca „Syntaxu", napisała, że nadal będzie inwestowała w ten periodyk. Jej wiceprezeska Allyn Molina w artykule o masowych rezygnacjach redaktorów naukowych opublikowanym w „Nature" zapewniała: „Wszystkie zmiany, jakich dokonał Wiley w »Syntaxie«, zostały zaplanowane tak, aby ułatwić sprawne publikowanie artykułów wysokiej jakości".

Abels chce ze współpracownikami założyć nowe czasopismo, które nie będzie pobierało opłat ani od autorów, ani od czytelników i będzie wydawane przez Open Library of Humanities w Wielkiej Brytanii. Mówi, że redaktorzy, którzy przymierzają się do rezygnacji, nie powinni tego traktować wyłącznie jako protestu. Muszą się skupić na poszukiwaniu nowego czasopisma i społeczności naukowej.

W lipcu 2023 r. zrezygnowała redakcja czasopisma „Critical Public Health" wydawanego przez Taylor & Francis. Jego była już współnaczelna Judith Green z University of Exeter w Wielkiej Brytanii powiedziała, że ruch ten był spowodowany planem zmiany „CPH" w pismo o wolnym dostępie wymagającym płatności od autorów. Rzecznik wydawnictwa Taylor & Francis stwierdził, że jest rozczarowany tymi rezygnacjami, ale w takiej sytuacji zostaną zatrudnieni nowi redaktorzy.

Tymczasem byli redaktorzy „Critical Public Health" założyli nowe czasopismo, „The Journal of Critical Public Health", które wydaje Critical Public Health Network w Edynburgu. Mają nad nim większą kontrolę.

W kwietniu 2023 r. zrezygnowała redakcja czasopisma „NeuroImage" wydawanego przez Elseviera. Zaraz potem założyła „Imaging Neuroscience", które weszło na rynek w lipcu 2023 r. i jest wydawane przez MIT Press. Stephen Smith z Uniwersytetu Oksfordzkiego pełnił funkcję redaktora naczelnego w „NeuroImage", a teraz pełni ją w nowym czasopiśmie.

Redaktorzy pisma „Journal of Human Evolution" zdaniem wydawcy nie powinni zwracać uwagi na język, gramatykę, czytelność, spójność, precyzję tekstów.

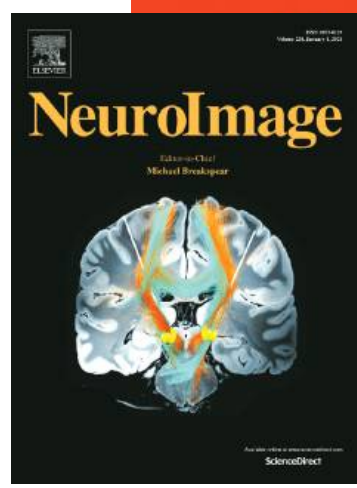

„Jeśli społeczność naukowa chce kontrolować biznesowe decyzje czasopisma, najlepszym sposobem jest wydawanie nowego czasopisma", powiedział „Nature" Ivan Oransky, jeden z twórców bloga Retraction Watch. Stephen Smith podkreślił zaś: „Myślę, że nasz ruch jest czymś więcej niż zwykłym protestem (…). Możemy wydawać nowe czasopisma, które są otwarte, not-for-profit i mają wysokie standardy naukowe".

„Przyznam, że nie byłem świadom tych »masowych rezygnacji« – napisał w mejlu prof. Andrzej Kaim, naczelny pisma »Acta Palaeontologica Polonica«. – Nie są mi znane takie przypadki w Polsce, może dlatego, że nasze czasopisma nie są wydawane (w większości) przez wielkie korporacje wydawnicze, a raczej mniejsze wydawnictwa związane z instytucjami naukowymi". I dodał: „Regularnie dostajemy propozycje odsprzedaży »APP« od najróżniejszych wydawnictw (…). Wydaje mi się jednak, że warto utrzymać »APP« w Instytucie Paleobiologii PAN, jako że jest to nasza wizytówka. Każda inna opcja wiązałaby się z utratą niezależności". ■

eprasa.pl 105d0f1123

Lojalność i zaufanie. Różewicz oczami filmowca

Z Tadeuszem Różewiczem trzeba było przejść pewien proces, żeby dojść do spotkania człowieka z człowiekiem

Rozmawia Jan Tracz

ANDRZEJ SAPIJA
– dokumentalista i wykładowca na Wydziale Reżyserii Filmowej i Telewizyjnej PWSFTviT w Łodzi. Od 2016 r. także prodziekan tego wydziału. Za najważniejsze filmy reżysera uznaje się biografie cenionych artystów (m.in. Tadeusza Różewicza, Tadeusza Kantora i Kazimierza Karabasza). W 2021 r. ukazała się jego książka „Co Pan widzi? Różewicz filmowy". W 2023 r. odznaczony Brązowym Krzyżem Zasługi.

Jakie jest pańskie ostatnie wspomnienie o Tadeuszu Różewiczu?

– Ostatnie silniejsze wspomnienie to moment odwiedzin u niego w domu, już pod koniec życia poety. To było spotkanie z serii tych bezinteresownych, czyli nie filmowych, ale takich czysto ludzkich, by nie powiedzieć towarzyskich. Kiedy skończyliśmy pracę nad naszymi filmami biograficznymi, to ten kontakt nadal pozostał. Nieraz Różewicz pytał mnie, kiedy będę we Wrocławiu. Zapraszał do siebie, a ja bardzo chętnie go odwiedzałem. To spotkanie, które do dziś pamiętam, było jakoś na wiosnę. Mocno grzało słońce i poeta zachęcał mnie, abym obejrzał jego ogródek, bo tam akurat zaczynały kwitnąć różne rośliny. Bardzo przy tej okazji chwalił żonę Wiesławę. „Ona tak wspaniale tym ogródkiem się zajmuje", opowiadał z pasją. Sam mam ogród, więc wymienialiśmy się informacjami o roślinach, a także wskazówkami co do ich pielęgnacji. To wspomnienie pogodne, jasne, nawet i słoneczne. Takiego pragnę go pamiętać.

A pierwsze spotkanie było z poezją czy z człowiekiem?

– Z poezją – jeszcze w latach licealnych. Tworzyliśmy ze znajomymi grupę towarzysko-intelektualną w jednym z wrocławskich liceów. I tam interesowaliśmy się Różewiczem, być może dlatego, że pewne osoby z naszego kręgu znały Kamila, syna poety, który zresztą mieszkał niedaleko, w tej samej dzielnicy. Mocno utkwiło mi wtedy w pamięci „Przygotowanie do wieczoru autorskiego". I to zdanie: „Patrzę na studenta, który siedzi przede mną. Powiem mu prawdę, powiem mu, że nic nie wiem i nic nie mam do powiedzenia…". Byłem tym w jakimś sensie wstrząśnięty. Zdziwiło mnie, że można się zdobyć na tego typu publiczne wyznanie. Poza tym ta poezja bardzo mi odpowiadała, bo jest prosta i „przyjazna" w odbiorze.

Co to znaczy?

– To są proste wersy i słowa, bardzo oszczędne oraz skondensowane, bliższe prozy. Kiedyś o tym rozmawialiśmy i w kontekście swojej twórczości Różewicz przytoczył stwierdzenie Przybosia: „Udało ci się tym swoim prozo-wierszem stworzyć poezję przez wielkie P". Odwołał się też do Kazimierza Wyki, który analizując warsztat Różewicza, mówił o zamienniku literackim. Twierdził, że u Różewicza poezja, proza i dramat przemieniają się ze sobą. Poeta przywołał w tej rozmowie także cytat z Ezry Pounda: „Dobra poezja powinna być równie jasna i czytelna jak dobra proza".

Wracając do tamtych licealnych lat, dla mnie (wówczas młodego człowieka) wielką zaletą w czytaniu poezji Różewicza była jej klarowność. Chodzi o czytelność formalną

eprasa.pl 105d0f1123

przy jednoczesnej kondensacji treści. A to dawało mocny w przekazie efekt. „Efekt wystrzeliwanego pocisku" – tak też Różewicz o tym mówił. Choćby takie wersy: „Różowe ideały poćwiartowane / wiszą w jatkach". Albo to: „Nowy człowiek / to ten tam / tak to ta/ rura kanalizacyjna / przepuszcza przez siebie / wszystko". I to jest cały wiersz! Mógłbym przytoczyć jeszcze wiele innych strof, które miały w sobie tę ascetyczność formalną, do tego klarowność i kondensację oraz siłę myśli przekazu. Dlatego bardzo chętnie się z tą poezją komunikowałem. Robię to zresztą do dziś.

Na chwilę odłóżmy poezję na bok. Jaki Różewicz był jako człowiek?

– Moje poznawanie Różewicza jako człowieka ewoluowało. I to jest chyba zrozumiałe, bo nie od razu, zwłaszcza w relacjach między autorem filmu a człowiekiem, który jest jego bohaterem, ten bohater się przed nim „otwiera". Dość wcześnie zacząłem zawodowo zajmować się artystami. Najpierw były filmy o Tadeuszu Kantorze. Potem o kolejnych twórcach: Abakanowicz, Opałce, Fangorze i wielu innych. Zauważyłem, że w przypadku bohaterów, jakimi są artyści i twórcy, towarzyszy mi poczucie, że oni przywdziewają maski. A te wyrażają jakąś ostrożność, czasami nieufność, tworzą pewien dystans, głównie do kamery i dziennikarzy telewizyjnych. Twórcy to grupa ludzi z dużą świadomością tego, czym są media, czym jest film i czym są relacje między nimi a autorem dokumentu. Dlatego potrafią być na starcie zdystansowani, powściągliwi, wręcz nieufni. Trzeba było przejść pewien proces, żeby zbudować innego typu relację; żeby dojść do spotkania człowieka z człowiekiem, a nie tylko reżysera z bohaterem jego filmowego dokumentu. To się wyrażało choćby moimi staraniami, by przejść z fazy wywiadów do fazy rozmów przy kamerze. A obecność kamery starałem się zminimalizować. Dla mnie Różewicz był po prostu mądrym humanistą, bardzo życzliwym i empatycznym, ale na początku niezmiernie nieufnym.

Dlaczego?

– Ta ostrożność prawdopodobnie zbudowała się u niego na podstawie kontaktów z dziennikarzami telewizyjnymi, którzy pewnie wpadali na krótko, zadawali pobieżne i nie zawsze trafne pytania, najczęściej w pośpiechu, bo kamera na godzinę, emisja pojutrze i trzeba szybko zmontować materiał. Sam pisał o dziennikarzach z wyczuwalną ironią, począwszy zresztą od „Kartoteki". Tam jest ten wspaniały, dowcipny dialog. Na pytanie dziennikarza o poglądy polityczne Bohater odpowiada: „Kto ma o piątej rano poglądy polityczne? Oszalał. Trzeba się umyć, ubrać, załatwić, wyczyścić zęby, zmienić koszulę, założyć krawat, wciągnąć spodnie i dopiero poglądy polityczne". Dostaje się też dziennikarzom w jednym z ostatnich

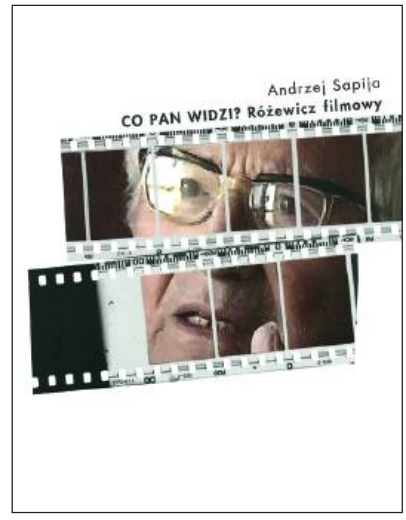

tomików – „Kup kota w worku". Dlatego potrzeba było czasu, żeby jego nieufność zniwelować. Musiałem go także przekonać, że to, co chcę zrobić, nie ma nic wspólnego z tym „pośpiesznym dziennikarstwem". Że to projekt długodystansowy, o innym wymiarze treściowym i formalnym.

Pewne rzeczy mnie w nim też rozczulały. Spędzaliśmy sporo czasu, jeżdżąc z Wrocławia do Konstancina, do domu pracy twórczej ZAiKS. Wtedy jeszcze nie było trasy szybkiego ruchu, więc taka podróż trwała kilka godzin. Nieraz staliśmy w korkach, przejeżdżając przez wiele małych miejscowości. Różewicz dużo wtedy mówił. I miałem poczucie, że to była konwersacja trochę na użytek tej sytuacji, czyli robił to dla mnie, żebym nie tracił koncentracji za kierownicą. Zabawiał mnie rozmową, wypełniał nią czas podróży. Dzięki tym rozmowom wytworzyła się między nami prywatna więź. To okazało się ważne potem, kiedy włączałem kamerę. Było w tych naszych samochodowych pogawędkach coś wzruszającego.

Z tych spotkań powstało parę filmów, ale i relacja na całe życie.

– Moje filmy, których Różewicz był bohaterem (powstały łącznie cztery) układają się w cykl tematyczny. Otwiera go film o poezji pod ogólnym tytułem „Tadeusz Różewicz", bo wtedy nie przypuszczałem, że będzie okazja do kolejnych. Potem powstał tytuł o teatrze „Różewicz i teatr", film „Różewicz we fragmentach" o prozie, a cykl kończy produkcja o życiu prywatnym „Poeta emeritus". Zawsze zależało mi na tym, aby portret Różewicza nie był zbyt pomnikowy. I to chyba się udało. W kontekście książki dochodzi jeszcze osobna sprawa, czyli różnica między bohaterem żywym a tym, który już odszedł. Ten drugi – już nieobecny fizycznie – jest w zasadzie bezbronny, całkowicie w rękach biografa czy reżysera. Ale kiedy pracowałem nad książką, chciałem pozostać lojalny wobec Tadeusza.

Skąd myśl o wydaniu książki „Co Pan widzi? Różewicz filmowy"? I spisaniu słowo w słowo „scen z życia", które w pełni nie ujrzały światła dziennego?

– Trzeba zacząć od tego, że praktyka realizacyjna w przypadku filmów dokumentalnych jest taka, że do wersji ekranowej, czyli tej, którą ogląda widz, wchodzi zazwyczaj 20-30% zarejestrowanego materiału filmowego. Robiąc dokument, zbieramy materiał, który jest obszerniejszy niż sam film. Jeszcze przy poprzednich filmach, np. z Kantorem, które były robione na taśmie filmowej, często myślałem: „Jaka szkoda, że tyle materiałów ulega zniszczeniu". Większość nagrań przepadała, bo nie była archiwizowana. Różewiczowskie dokumenty wyznaczyły dla mnie nowy etap twórczości, ponieważ pojawiły się nowe narzędzia techniczne i środki zapisu, czyli technologia cyfrowa. Po latach narodziła się u mnie myśl o książce, która pozwoli pewnym nagraniom filmowym ujrzeć światło dzienne w nowej odsłonie, tu opisanej słowami.

eprasa.pl 105d0f1123

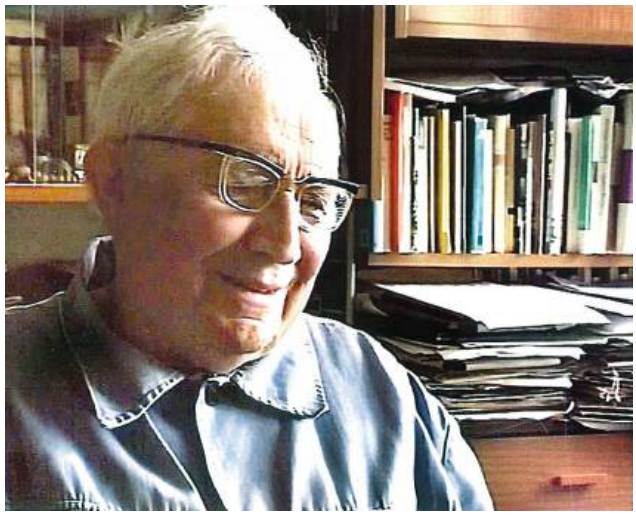

Tadeusz Różewicz zapraszał mnie do siebie, a ja chętnie go odwiedzałem. Bardzo przy okazji chwalił żonę Wiesławę. „Ona tak wspaniale ogródkiem się zajmuje", opowiadał z pasją.

Głęboko wierzę, że w tych materiałach pobocznych, czyli takich, które wydają się nam zbędne, są jednak elementy prawdy o tym człowieku.

I to właśnie widziałem w rozmowach zarówno z poetą, jak i z jego przyjaciółmi, które w filmach są we fragmentach, a w książce możemy przeczytać w całości. Myślę także o zapisach i migawkach pozornie nieważnych, nieistotnych; o sytuacjach i momentach zwyczajnie codziennych, banalnych. Perspektywa się zmienia i dziś widzę, że to one są bezcenne. Ta lektura dopełnia portret Różewicza dodatkowymi warstwami, odsłaniającymi jego emocjonalne barwy czy te charakterologiczne lub osobowościowe. Stąd myśl o książce, która nie jest dziełem literackim, ale jakąś – by odwołać się do wątku prozo-wiersza – formą filmu w prozie. Używam zresztą w strukturze książki nie terminów literackich (takich jak rozdziały), ale filmowych, jak sceny, sekwencje oraz ujęcia. Czasami określam, jaki jest plan filmowy rozmowy, co zresztą widać w kadrze. Znajdziemy też w książce stopklatki z ujęć filmowych.

Czytamy, że cel twórcy kina dokumentalnego pozostaje zawsze ten sam – poszukiwanie ideału „prawdy totalnej". Udało się panu ją odnaleźć?

– Na pewno nie ma tu prawdy kompletnej, całkowitej. Ona jest raczej niemożliwa do pokazania. Zawsze są jakieś ograniczenia dotyczące pewnych tematów, do których nie mamy dostępu lub które poznajemy po fakcie. W danej chwili musimy działać nie tylko rozumnie, świadomie, ale często instynktownie, intuicyjnie; skupiać się na tych miejscach i obszarach tematycznych, do których bohater daje nam dostęp. Trzeba mieć wyczucie chwili.

To znaczy?

– W relacjach autor filmu-bohater nie możemy być zbyt agresywni czy też domagać się otwarcia (a nawet liczyć na nie) wszystkich obszarów sfer twórczości lub życia prywatnego. Nasz bohater ma prawo do sfery własnej, niekoniecznie intymnej, ale takiej, którą uzna za chronioną przed publicznym oglądem. I musimy się z tym liczyć, a przy okazji to uszanować. Więc ta „prawda filmowa" zawsze jest tylko częściową prawdą. I to taką, jak my ją widzimy, jak osobiście rozumiemy. Mnie tak naprawdę zależy na ukazaniu tego, jak rozumiem twórczość danego artysty oraz na ludzkiej, emocjonalnej warstwie związanej z osobowością twórcy. Cechą filmu będzie – w przypadku portretu filmowego – współistnienie warstwy informacyjnej z obrazem emocjonalności. Są to sytuacje, momenty, a czasami tylko pojedyncze kadry i obrazy, np. twarzy czy sylwetki, w których głównym tematem przekazu okazuje się emocjonalność. To wielokroć może powiedzieć nam więcej niż sam bohater w swoich wypowiedziach. I często tworzy odpowiedni kontekst do wypowiedzi, dopełnia ją, a niekiedy weryfikuje.

W książce wspomina pan o momentach intymnych, szczególnych emocjonalnie, w których nie wypadało włączać kamery. A jednak nieraz decydował się pan na to.

Bycie dokumentalistą daje możliwość bezkarnego poznawania ludzi.

– Dobra współpraca autora/reżysera z bohaterem – bo to jest jednak współpraca – musi bazować na szczególnym porozumieniu. Ważne jest w tym zaufanie. A to buduje się na kompetencji i lojalności. Bohater musi wiedzieć, dlaczego i po co robimy film. Między mną a Różewiczem wytworzyło się niewypowiedziane, niewerbalne porozumienie. Autor filmu chce zebrać ciekawy merytorycznie, najchętniej też emocjonalny materiał. Niemniej musi mieć także wewnętrzny ogranicznik w postaci świadomości, czym taka zarejestrowana scena może skutkować w publicznym oglądzie. Bo to czasami jest

eprasa.pl 105d0f1123

pytanie: czy prawda może kompromitować lub przynajmniej pokazywać bohatera w niekorzystnym świetle? I trzeba wiedzieć, że jest prawda momentu, danej sytuacji czy też prawda w szerszym, bardziej syntetycznym oraz pogłębionym wymiarze. Czasami pojawiają się sytuacje nie tyle kompromitujące, ile bardzo emocjonalne.

Pamięta pan którąś z nich?

– Tak było, kiedy pojechaliśmy na Powązki, na grób brata poety, Stanisława. Gdy szliśmy aleją, poeta wsunął rękę pod moje ramię, by się wesprzeć, a ja czułem drżenie jego ciała. Potem stał samotny nad grobem (jeszcze w formie kopca ziemi), z wyschniętymi kwiatami i zgasłymi zniczami. Poprosił, by tego nie rejestrować, ale wyraził zgodę na kilka zdjęć aparatem fotograficznym. I ja to uszanowałem. Zdarzały się przypadki, kiedy nie respektowałem życzenia bohatera i kręciłem. Wiedziałem jednak, że poeta będzie pierwszym widzem i jeśli uzna, że coś należy usunąć, ja to zrobię. Ale nigdy się to nie zdarzyło, zawsze akceptował ostateczne wersje filmu.

W książce pojawia się kwestia ukazywania poety przy pracy. Wena u artysty to pojęcie abstrakcyjne, ale pan pisze, że „proces twórczy jest potencjalnie bardzo filmowy". Czy w ogóle da się pokazać proces twórczy osoby pokroju Różewicza?

– Film to ruchome obrazy. Są artyści, w przypadku których proces twórczy, a przynajmniej jakaś jego część, jest widoczna. Tak było z Kantorem, Abakanowicz czy Opałką, czyli plastykami lub twórcami teatru. Z literatami i poetami jest inaczej: zaobserwowanie, a tym bardziej zarejestrowanie procesu twórczego staje się właściwie niemożliwe, bo nie mamy dostępu do tego, co się dzieje w samym twórcy. Różewicz pracował nad słowami, ale nie widzimy narzędzia, którego używał. Ono było w jego umyśle! Dlatego trzeba znaleźć to uzewnętrznienie w czymś innym: w rozmowach, komentarzach, objaśnieniach twórcy. Są też sytuacje, które czasami warto sprowokować, o ile mamy już zbudowane relacje z bohaterem. Z Różewiczem doszliśmy do takiego momentu, kiedy to sam poeta proponował pewne sytuacje, które dotyczyły pracy nad dziełem, mówiły coś o procesie twórczym oraz były filmowe.

Trudno mi to sobie wyobrazić. W jaki sposób proponował?

– Tak było w jednej z naszych pierwszych rozmów o poezji, w Sopocie, kiedy czytał utwór, nad którym właśnie pracował („Cóż z tego, że we śnie"). Lekturę dopełniał komentarzem tłumaczącym, dlaczego pojawiają się takie czy inne obrazy i wątki. Ale te wstawki dotyczyły też techniki i warsztatu poety. Podobnie było w rozmowie o dramatach, kiedy zapytałem o kryterium wyboru tematu sztuki. To daje pretekst do szczegółowych analiz związanych z dramaturgią, ale i teatrem w ogóle. Była też niezwykła sytuacja, kiedy zastałem go w pokoju siedzącego w ciemności, a on stwierdził: „Chciałem panu powiedzieć »Odę do młodości« w ciemności".

Co powoduje, że po latach dokument jako forma wciąż pana inspiruje?

– Nie jestem autorem tego stwierdzenia, ale kiedyś usłyszałem, że bycie dokumentalistą daje możliwość bezkarnego poznawania ludzi.

Jaki cytat z Różewicza pozostał z panem aż do dziś?

– Jest wiele kwestii i fragmentów wierszy, które pamiętam. Zacznę od drobiazgu – taki dialog:

„PAN: Cóż, Cyrylu, znów ludzkość na krawędzi…

CYRYL: Niestety, panie mecenasie, znów na krawędzi…".

To ze „Stara kobieta wysiaduje", rok 1968, a więc niemal 60 lat temu. A świat cały czas na krawędzi! Wtedy to miało dodatkowy kontekst, ale w gruncie rzeczy oddaje współczesny stan świata. No i oczywiście wersy z wiersza bez tytułu poświęconego pamięci Konstantego Puzyny: „A więc to tylko tyle / tylko tyle / więc to jest całe życie / tak całe życie". Ta prostota stwierdzenia końca i podsumowania życia jest zarówno porażająca, jak i przejmująca.

Tęskni pan za nim?

– Bardzo. Brakuje mi tych spotkań, czasami i rozmów telefonicznych, bo zdarzało się, że Tadeusz Różewicz do mnie dzwonił. Szkoda, że tacy mądrzy i piękni ludzie odchodzą. Po latach widzę, że to była jedna z ważniejszych moich relacji twórczo-życiowych. Wcześniej takim ważnym spotkaniem było dla mnie to z Tadeuszem Kantorem. I ta relacja, która trwała też ponad 10 lat – podobnie jak z Tadeuszem Różewiczem – zaowocowała sześcioma filmami. Kantor i Różewicz to były dla mnie dwa przypadki takich kluczowych, istotnych nie tylko filmowo, ale i życiowo spotkań. Choć Różewicza wspominam z większym sentymentem. Być może dlatego, że moje filmowe spotkania z nim odbywały się w formule sam na sam. Z Kantorem zawsze była ekipa filmowa, więc to nie były spotkania w niemal intymnym wymiarze. Projekty filmowe się kończą, ale te więzi i relacje zostają. Nawet po śmierci jednej ze stron.

Czy jest coś, czego nie zdążył mu pan powiedzieć? Albo coś, co chciałby mu pan przekazać z dzisiejszej perspektywy?

– Na pewno chciałbym mu powiedzieć, że spotkania z nim były dla mnie naprawdę ważne. Wiele się od niego nauczyłem, nie tylko takiej ogólnej prawdy życiowej. Różewicz zawsze dawał mi pretekst i powód do przemyślenia pewnych tematów, do ich weryfikacji. Nigdy mu tego nie powiedziałem, ale myślę, że on to wiedział. Różewicz jako wybitny poeta, mądry człowiek oraz wnikliwy obserwator (a także poprzez tę swoją przyjazną formę) był istotną i ważną postacią dla wielu ludzi. I wciąż nią pozostaje, pomagając zrozumieć siebie i rzeczywistość w jej różnorakich, czasami trudnych czy nawet tragicznych wymiarach.

Jan Tracz

Między mną a Tadeuszem Różewiczem wytworzyło się niewypowiedziane, niewerbalne porozumienie.

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI, ARCHIWUM PRYWATNE

eprasa.pl 105d0f1123

NA EKRANACH

Drobiazgi takie jak te

reż. Tim Mielants, prod. USA/Irlandia/Belgia

Choć „Drobiazgi takie jak te" opowiadają o przemocowym wychowaniu w irlandzkim klasztorze, treścią przypominają sceny i sytuacje, które parę lat temu w reportażu o Kanadzie („27 śmierci Toby'ego Obeda") opisała Joanna Gierak-Onoszko. Cierpienie, ból i zło w Kościele katolickim są wszędzie, niezależnie od miejsca i kultury. Gdy handlarz węglem (Cillian Murphy) odkrywa sekret zakonnic,

będzie musiał wybrać, czy chce być częścią lokalnej zmowy milczenia. Murphy rewelacyjnie operuje smutkiem – kiedy do bohatera wracają wspomnienia z dzieciństwa, aktor patrzy w dół, przypomina psa z podkulonym ogonem. Poza tym mamy tu sporo przemyślanej symboliki (imię Sarah), ale sam dramat nieco się dłuży. Postacie nieustannie rozmawiają, chodzą, gdzieś jeżdżą, ale napięcia mało – jedna, może dwie mocne sekwencje. Wciąż jednak warto wybrać się do kina, choćby dla roli Murphy'ego. *Jan Tracz*

KURTYNA W GÓRĘ

Cudotwórca Faktor

To historia niemal idealnie odzwierciedlająca amerykańskie marzenie – losy Maksymiliana Faktorowicza pasują jak ulał do modelu kariery „od zera do milionera". Chłopak spod Zduńskiej Woli, za młodu w służbie carskiej, przy nadarzającej się okazji czmycha do Ameryki, gdzie z pomocą rodziny szybko staje na nogi i zyskuje sławę jako charakteryzator gwiazd.

„M. Faktor. Narodziny piękna", scenariusz i reżyseria Agata Biziuk, Teatr Żydowski im. Estery Rachel i Idy Kamińskich, premiera 11 kwietnia 2025

No, nie tak od razu, bo trudności tu niemało, ale zdarzają się sprzyjające sytuacje, jak choćby zażyłość z Polą Negri. Dzięki niej Hollywood staje otworem przed Faktorowiczem, który nazywa się wtedy już Faktor i pod tym nazwiskiem zakłada firmę kosmetyczną, do dzisiaj w światowej czołówce. To on potrafił wyczarować wizerunki słynnych aktorów, a sztukę tego przeistoczenia nazwał „make-upem". Nazwa się przyjęła, a sława charakteryzatora rosła, czego widomym dowodem była specjalna nagroda Akademii Filmowej.

Tę barwną opowieść przeniosła na scenę Agata Biziuk, tworząc wraz z kompozytorem Stanisławem Pawlakiem musical o zawrotnej karierze i jej kosztach. Przedsięwzięcie powiodło się nie tylko Faktorowi, ale również obchodzącemu 75-lecie Teatrowi Żydowskiemu. Zadecydowała o tym trafna obsada, w której błyszczą i główny bohater, grany przez Karola Osentowskiego (na zmianę z Danielem Czaczą Antoniewiczem), i filary teatru: Henryk Rajfer (Car), Monika Chrząstowska (Marlena Dietrich) czy Piotr Chomik (Rudolph Valentino), i niedawne nabytki, np. Mateusz Trzmiel. W bogatym musicalowym dorobku teatru przybył nowy tytuł do kolekcji spektakli o postaciach znanych, choć rzadko kojarzonych z korzeniami polsko-żydowskimi. *Tomasz Miłkowski*

MIĘDZY OKŁADKAMI

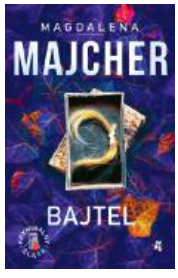

Magdalena Majcher
Bajtel

W.A.B., Warszawa 2025

Już półmetek życia – ta świadomość mocno doskwiera Borysowi Dyrdzie. Katowicki dziennikarz kryzys wieku średniego przechodzi jednak nietypowo: odkrywa zalety ustabilizowania się w związku, próbuje naprawić relacje z dziećmi. Czy wytrwa, zobaczymy, bo autorka zastawiła na niego pułapkę, wabiąc zarazem czytelników ku kolejnym częściom – „Bajtlem" otwiera cykl „Kryminalny Śląsk". Pierwsza sprawa, w której Dyrda prowadzi własne śledztwo, to zaginięcia dziewczynek, trochę za szybko dojrzewających, z rodzin tak łatwo nazywanych dzisiaj patologią. Ale w „Bajtlu" są jeszcze lata 90., okres transformacji, który wielu wypchnął na margines. W zaniedbanych dzielnicach familoków bajtle szybko uczą się przycichać, gdy ojciec wraca pijany. Kobiety, które usiłują przetrwać alkoholową agresję „głowy rodziny", marzą zaś, by ich córki uciekające z przemocowego domu nie powielały schematu przedwczesnego macierzyństwa. Ten obraz to więcej niż ramy akcji, to wyraz niezgody na nierówności, na grzęźnięcie w biedzie, ale też na szufladkowanie ludzi. *Aleksandra Pańko*

NA POWAŻNIE

Ariadna z Bachusem w kosmosie

Postromantyczna opera z pięknymi melodiami w koprodukcji naszego Teatru Wielkiego i opery La Monnaie z Brukseli rezygnuje z mitologii greckiej, ale wyrusza w przestrzeń międzyplanetarną. Tam tytułowa Ariadna spotyka grono androidów, które poruszają się jak w „Gwiezdnych wojnach". Jest też robot żeński, który opowiada, ilu miał już kochanków. Wszystko to po niemiecku, ale z tłumaczeniem. Tekstu jest dużo, lepiej wsłuchać się w muzykę.

Bronisław Tumiłowicz

Richard Strauss, „Ariadna na Naxos", dyrygent Lothar Koenigs, reżyseria Mariusz Treliński, Teatr Wielki-Opera Narodowa, premiera 4 kwietnia 2025

Kolumnę przygotowała Agata Gogołkiewicz

FOT. MAREK ZIMAKIEWICZ, MATERIAŁY PRASOWE (3)

eprasa.pl 105d0f1123

Oko w oko

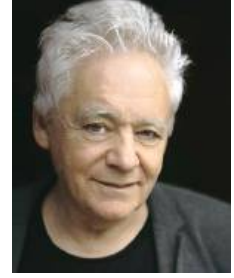

Tomasz Jastrun

Pędem ku ścianie

W starym budynku publicznej telewizji biegnie wąski i niezwykle długi korytarz pokryty tandetnym linoleum – nic tu się nie zmieniło od pół wieku. Do korytarza podczepione są liczne studia, też już archaiczne. Szedłem tędy po raz pierwszy w 1975 r., program nagrywano jeszcze w czasach cenzury. W połowie lat 90. prowadziłem tu „Pegaz". Przez osiem lat rządów PiS ani razu nikt mnie do TVP nie zaprosił, inna sprawa, że bym nie przyszedł. Ale ciekawe, że komunistyczna cenzura była łagodniejsza niż ta pisowska, czarne listy działały niezawodnie. Teraz bywam w programie „Sprawa dla reportera". Poznaję tam tę inną Polskę, małych miasteczek i wsi, gdzie PiS ma najwięcej wyborców. W czasie programu po studiu łazi pokraczny kundelek – okazuje się, że to pies telewizyjny, który włóczy się po studiach podczas nagrań. Ciekawe, kto go wyprowadza do toalety.

•

Z komina pofrunął biały dym. A mi się marzyło, by był tęczowy. Nowy papież robi dobre wrażenie, podobno jest dosyć liberalny, miło brzmi, nie czułem jednak dużych emocji przy wyborze. A przecież mam wiele szacunku dla tradycji, imponujący jest szkarłatny sznur kardynałów sunący przez katedrę, majestatycznie, w chmurze śpiewu, w dwójkowej kolumnie, ku kaplicy Sykstyńskiej. Widać już Sąd Ostateczny stworzony przez anielskiego Michała Anioła. Ta sztuka, gdybym nie był twardym ateistą, byłaby dla mnie dowodem na istnienie Boga. Ale w mój ogląd uroczystości wkrada się groteska. Syci, bogaci mieszkańcy małych i dużych kardynalskich pałaców, ojcowie chrzestni z ponad 70 krajów, suną noga za nogą, starzy, zgarbieni, ale też młodzi i prości. Cała anachroniczna jednorodność męska, podkreślona przez wszystkie afery pedofilskie, wielcy kapłani, ale niewolni od żądz cielesnych, z którymi sobie nie radzą. I pomyśleć, że kiedyś było z tym o wiele, wiele gorzej, wszystko tylko było schowane pod kołdrą z wyhaftowanym złotym krzyżem. Odnotowałem przy okazji, że nowy papież jest o cztery lata młodszy ode mnie – do tego już doszło. Dobrze o nim świadczy, że grywa z zapałem w tenisa. Podobno grać będzie nadal. W krótkich papieskich spodenkach?

A ja nie mogę się zdecydować, czy wrócić do tenisa. Boję się, że straciłem formę i technikę. Może lepiej pozostać ze wspomnieniami z przeszłości, kiedy dobiegałem nawet do trudnych piłek.

•

W Kanale Zero ciekawy wywiad z Rafałem Trzaskowskim. Nie lubię Stanowskiego, bywa dowcipnym błaznem, ale co to za błazen z silnym odchyleniem prawicowym. Krytykuje za cwaniactwo, najchętniej liberałów, podczas gdy sam jest cwaniakiem i chamem promującym głównie siebie. Trzaskowski wypadł świetnie. Jest najlepszy w rozmowie, gorszy, gdy monologuje.

Karol Nawrocki zrobił za to wielkie postępy w sztuce kłamstwa. Arcykapłanem kłamstwa i wielkim nauczycielem jest prezes. Nawrocki zaczął wierzyć we własne kłamstwa – a to już wysoki stopień wtajemniczenia. Wierzy, że Tusk jest agentem niemieckim, a Niemcy chcą nas zdominować i podbić. Globalne ocieplenie to jedno wielkie oszustwo. Polska się zwija, zmierza ku katastrofie gospodarczej i politycznej, jak tak dalej pójdzie, przestanie istnieć. UE to liberalna zgnilizna i zło. Ulice polskich miast są zalewane przez hordy imigrantów gotowych gwałcić polskie kobiety. Katastrofa smoleńska to był zamach Tuska i Putina. Nawrocki zaś jest człowiekiem o gołębim sercu, uratował pana Jerzego od niechybnej śmierci z przepicia, nie płacąc mu za kawalerkę, którą od niego wyłudził. Wystarczy popatrzeć na tego kandydata na prezydenta: czy te oczy mogą kłamać? Wybór Nawrockiego na prezydenta byłby takim samym kuriozum, jakim był wybór Trumpa. Trudno jednak nie mieć obaw – skoro najstarsza i krzepka demokracja wybrała błazna i łajdaka, to czemu polska, wątła, ma nie wybrać Nawrockiego? Bez względu na wyniki głosowania Polska będzie jak toporem podzielona na pół. Jedna część popadnie w wielką rozpacz, będzie w desperacji, w gniewie, ze śledzioną jak ze śledziem w ustach.

Czyżbyśmy zasługiwali na zagładę?

Po ostatniej debacie byłem zupełnie wyczerpany, nie tylko jej długością, ale też toksycznością. I smrodem populizmu, ba, nawet faszyzmu. Oraz niepojętą głupotą niektórych kandydatów. Adrian Zandberg – osobliwość przyrodnicza, inteligentny, uczciwy, ale dureń zakuty w ideologiczny pancerz, przekonany, że PO to takie samo zło jak PiS. Znamienne, że w debacie nikt nie bronił Zielonego Ładu. A przecież z zawrotną prędkością pędzimy na ścianę, część kandydatów w tę ścianę nie wierzy, inni udają, że jej nie widzą, byle tylko nie stracić głosów. To małe gierki, a tu chodzi o nasz wspólny los. Czyżbyśmy zasługiwali na zagładę? ■

FOT. BARTOSZ MACIEJEWSKI

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 105d0f1123

Mówić własnym głosem

Istnieje szansa, że ponad 136 mln osób na świecie z mową atypową zyska możliwość swobodnej komunikacji z otoczeniem

Rozmawia
Bronisław Tumiłowicz

Po przejściu choroby nowotworowej i zabiegu laryngektomii (usunięcia krtani) postanowił pan poszukać nowoczesnych sposobów odzyskania mowy. Pańska firma tworzy rozwiązania dla osób z mową atypową. Czym ona jest?

– Zaburzenia mowy i głosu dotykają na świecie miliony osób. Takich mówców nazywamy atypowymi. Stworzyliśmy i rozwijamy moduł AI służący do konwersji mowy – poprawiając jej zrozumienie i nadając intonację, przybliżamy osoby z mową atypową do sytuacji, w której mogą komunikować się z otoczeniem w sposób zrozumiały i swobodny. Opracowane rozwiązania proponujemy tym, którzy mają problemy z porozumiewaniem się własnym głosem z powodu czy to choroby, czy innych urazów fizycznych lub neurologicznych.

Rozwiązanie proponowane przez Uhura Bionics jest skomplikowanym urządzeniem elektronicznym wykorzystującym pewne możliwości sztucznej inteligencji. Kto stoi za jego projektem?

– Zespół Uhura Bionics jest spory i interdyscyplinarny – za projektem tego urządzenia stoi Marek Grzelec, projektant i mechatronik, który studiował m.in. na Wojskowej Akademii Technicznej. Od pięciu lat wspólnie zajmujemy się tym problemem, Uhura Bionics działa zaś od dwóch lat. W naszym interdyscyplinarnym zespole są elektronik, inżynier maszynowy i logopedka. Jako prezes odpowiadam za działalność badawczo-rozwojową, natomiast stroną technologiczną zajmuje się Marek Grzelec. Obecnie prowadzimy szeroko zakrojone badania, nawiązujemy też relacje z partnerami i wciąż budujemy zespół.

KONRAD ZIELIŃSKI
– twórca Uhura Bionics, spółki zajmującej się praktycznymi metodami rekonstrukcji uszkodzonego głosu

Co już teraz możecie zaoferować osobom pozbawionym możliwości swobodnego operowania swoim głosem?

– Nasze prace nakierowane są na trzy główne rozwiązania dotyczące problemów z mową. Elektroniczną krtań skonstruowano już 100 lat temu, ale od tej pory w zasadzie nie zanotowano w tej dziedzinie istotnego postępu. Przedmiotem naszych starań są dwa urządzenia: jedno prostsze i tańsze w produkcji, druga krtań – bardziej skomplikowana i dużo droższa – pozwalałaby wytworzyć głos o naturalnym brzmieniu osoby w pełni sprawnej. Oprócz tego pracujemy nad kompaktowym, eleganckim wzmacniaczem głosu oraz systemami konwersji mowy zamieniającymi głos atypowy na brzmiący bardziej zrozumiale. Odbiorcami tych urządzeń byłyby osoby dotknięte chorobami

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 105d0f1123

onkologicznymi lub pozbawione krtani z innych powodów.

W pana przypadku sytuacja wyglądała odmiennie, bo jeszcze przed operacją usunięcia krtani nagrał pan swój naturalny głos – stanowi on obecnie bazę do tworzenia dobrze brzmiącej mowy osobniczej. Czy przewidywał pan, że wykorzysta nagranie własnego głosu i że będzie ono przydatne w przyszłości?

– Miałem już wówczas pewne pomysły dotyczące przyszłości, zwłaszcza że w początkowej fazie choroby liczyłem na możliwość odzyskania pełnej sprawności. I tak właśnie się stało w okresie pomiędzy 2012 a 2018 r. Potem jednak nastąpił nawrót nowotworu. To wtedy nagrałem w studiu zestaw dźwięków na swoje ówczesne potrzeby. Teraz okazuje się, że nie zrobiłem wszystkiego, co byłoby mi przydatne w przyszłości. Zresztą w tym czasie nie było w Polsce dostępu do takiej usługi, tj. do zabezpieczenia głosu przez urządzenie pochodzącej z Edynburga firmy CereProc, do którego już wtedy dostęp mieli np. w Wielkiej Brytanii chorzy na chorobę Parkinsona.

Ile czasu zajęło skonstruowanie urządzenia do rekonstrukcji głosu? Czy możecie się już pochwalić seryjną produkcją, czy na razie macie jedynie prototyp?

– Pracujemy intensywnie. Posiadany kapitał umożliwił nam od 2023 do połowy 2024 r. rozpoczęcie produkcji niskoseryjnej. Powstało 60 sztuk urządzenia przeznaczonego do testowania – chcieliśmy się dowiedzieć, co należy udoskonalić w kolejnej wersji konwertera mowy. Jesteśmy obecnie w bezpośrednim kontakcie z 60 testerami: w USA – w Bostonie, gdzie tymczasowo mieszkam i jestem na wymianie doktorskiej, oraz w Polsce. Poprzez współpracujących z nami lekarzy, głównie logopedów, poszukujemy kolejnych chętnych do testowania naszego konwertera.

Jak wygląda zainteresowanie świata biznesu pańską inicjatywą?

– Na prowadzenie badań mamy porozumienia partnerskie, natomiast jeśli chodzi o produkcję urządzeń, korzystaliśmy z własnych środków spółki i dofinansowań rządowych. Stworzyliśmy konsorcjum podmiotów uniwersyteckich z krajów Unii Europejskiej: Austrii, Francji, Belgii i Polski – tu współpracujemy z Uniwersytetem Warszawskim. Na razie nasze wnioski otrzymały bardzo dobre oceny, jednak poniżej progu finansowania. Liczymy na to, że w przyszłym roku otrzymamy grant z UE.

Cele, które sobie założyliście, a więc dostarczenie skutecznych konwerterów mowy, wymagają jednak poważniejszych inwestycji.

– Tak. Mamy plany inwestycyjne. Do tej pory udało się wykorzystać środki w wysokości ok. 1 mln zł, jednak do osiągnięcia pełnego celu będziemy potrzebować w ciągu trzech lat 2 mln dol.

Zajmuje się pan prowadzeniem i rozwojem spółki Uhura Bionics, równolegle przygotowując pracę naukową, doktorat z dziedziny obejmującej podobne problemy. Czy świat nauki interesuje się pańskimi badaniami? Ma pan partnerów, a może konkurentów?

– Kończę doktorat i wiem, że na świecie problemami mowy atypowej zajmuje się 8-10 różnych ośrodków: w Europie, Australii, Japonii, USA. Zdążyliśmy już się poznać, spotykamy się na różnych kongresach międzynarodowych, wymieniamy spostrzeżeniami, choć oczywiście nie zdradzamy sobie sekretów technologicznych. Dzięki temu możemy porównywać skuteczność i jakość już działających urządzeń.

Czy korzystanie z urządzenia przetwarzającego impulsy na głos sprzed zabiegu jest bolesne albo w jakiś sposób uciążliwe?

– Nie jest to bolesne. Aby jednak swobodnie korzystać z konwertera, trzeba się przygotować, poznać zasady, nauczyć się. Pracują z nami logopedzi, którzy pomagają w tym klientom. Choć niektórzy pokonują pierwsze trudności intuicyjnie.

Czy próbował pan nawiązać kontakt z wybitnym otolaryngologiem prof. Henrykiem Skarżyńskim? Wprawdzie zajmuje się on głównie słuchem, ale dysponuje doskonale rozbudowaną infrastrukturą badawczą i naukową w Kajetanach pod Warszawą.

– Mamy kontakt ze Światowym Centrum Słuchu w Kajetanach. Wiele problemów badawczych się łączy: nauki neurobiologiczne z psychologią, filozofią i informatyką. Wchodzi to w zakres zainteresowań nowej szkoły doktorskiej, w której aktywnie uczestniczę na Wydziale Psychologii Uniwersytetu Warszawskiego. Mam tutaj szczęście korzystać z doświadczenia prof. Joanny Leonardi z Zakładu Psycholingwistyki i Katedry Psychologii Poznawczej Wydziału Psychologii UW, jednej z najlepszych badaczek psychologii w związku z pracami nad sztuczną inteligencją. Zależy nam na zrozumieniu, jak medium sztucznej inteligencji, np. w kwestii zmieniania głosu, wpływa na relacje między ludźmi.

Czy dostępne zastosowania sztucznej inteligencji są dla człowieka bezpieczne i skuteczne?

– Uważam, że sztuczna inteligencja nie zastąpi człowieka, ale relacje człowieka z komputerem zmieniają relacje międzyludzkie.

Puśćmy wodze fantazji. Specjaliści z dziedziny informatyki snują prognozy dotyczące możliwości wykorzystania AI w przyszłości. Prof. Jacek Koronacki pisał m.in. o urządzeniach, które dzięki modułom AI mogą przesyłać zwerbalizowane myśli bezpośrednio z mózgu w formie słownej wypowiedzi. Nie byłoby wówczas potrzeby konwertowania sygnałów z wibracji szyi czy też analizy ruchów ust. Co pan o tym sądzi?

– Z całym szacunkiem dla pańskiej interpretacji słów profesora widzę tu uproszczenie: na razie sygnały z mózgu odbierane przy badaniu np. EEG nie pozwalają odczytać myśli. Maszyna nie czyta w ludzkich myślach – to przesada, ale może nam pomóc wypowiadać się. My nie zajmujemy się mózgiem. Można natomiast odczytywać mowę z ruchu ust, co opanowali niektórzy tłumacze – można tego także nauczyć komputer. Na razie pracujemy nad konwerterami mowy i zapraszamy do współpracy wszystkich zainteresowanych zarówno z Polski, z Europy, jak i z Ameryki. Na wstępie pomoże kontakt z naszym logopedą.

b.tumilowicz@tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 105d0f1123

SZCZEPIENIE, KTÓRE CHRONI PRZED BÓLEM

Przebycie półpaśca niestety nie daje odporności na daleką przyszłość

Panie profesorze, zacznijmy od podstaw: czym właściwie jest półpasiec?

– To rzeczywiście wyjątkowa choroba. Choć należy do grupy chorób zakaźnych, jej rozwój nie wynika z nowego zakażenia, ale z reaktywacji wirusa, który już wcześniej zainfekował organizm – wirusa ospy wietrznej i półpaśca, czyli *varicella zoster virus* (VZV). Przy pierwszym kontakcie z tym patogenem chorujemy na ospę wietrzną. Po jej ustąpieniu wirus nie znika – pozostaje w organizmie w stanie uśpienia i może się uaktywnić ponownie wiele lat później, właśnie pod postacią półpaśca.

Co uruchamia ten mechanizm reaktywacji?

– Główną przyczyną jest osłabienie układu odpornościowego. Nie musi to być głęboka immunosupresja – czasem wystarczy łagodniejsze obniżenie odporności, np. w czasie ciąży. Jednak najczęściej półpasiec rozwija się u osób starszych lub pacjentów z chorobami przewlekłymi wpływającymi na obniżenie odporności.

Jakie objawy powinny wzbudzić naszą czujność?

– Pierwszym i najbardziej charakterystycznym symptomem jest ból zlokalizowany najczęściej po jednej stronie ciała, w obrębie tzw. dermatomu, czyli obszaru skóry unerwionego przez jeden nerw. Zazwyczaj półpasiec obejmuje okolice międzyżebrowe, tułów lub kończyny dolne. Występują też inne, wcale nie takie rzadkie formy, np. półpasiec oczny czy uszny.

Po kilku dniach bólu pojawia się charakterystyczna wysypka – pęcherzyki wypełnione płynem, które z czasem przysychają i mogą tworzyć strupy. W przypadku nadkażenia bakteryjnego zmiany skórne mogą się pogłębiać i prowadzić do powikłań, a nawet pozostawić blizny.

Prof. dr hab. n. med. KRZYSZTOF TOMASIEWICZ
– kierownik Kliniki Chorób Zakaźnych i Hepatologii w Uniwersyteckim Szpitalu Klinicznym nr 1 w Lublinie, prezes Polskiego Towarzystwa Epidemiologów i Lekarzy Chorób Zakaźnych

Jak wiele osób dotyka półpasiec? Przecież na ospę wietrzną chorowała większość z nas.

– Choć nie każda infekcja zostaje oficjalnie zarejestrowana, szacuje się, że półpasiec dotyka w Polsce ponad 100 tys. osób rocznie. Im starsza populacja, tym ryzyko rośnie. Co ciekawe, choć półpasiec jest chorobą zakaźną, nie ma obowiązku jej zgłaszania do sanepidu, przez co rzeczywista liczba przypadków może być znacznie wyższa.

Jakie są najczęściej obserwowane objawy półpaśca?

– Półpasiec niemal zawsze objawia się bólem – to pierwszy i najbardziej charakterystyczny sygnał. Dolegliwości zwykle lokalizują się po jednej stronie ciała. Ból może przypominać pieczenie, kłucie, uczucie gorąca. Z czasem dołączają zmiany skórne – początkowo są to niewielkie pęcherzyki, które mogą się zlewać w większe skupiska. Następnie przysychają, tworząc strupki. Jeśli dojdzie do nadkażenia bakteryjnego, może rozwinąć się zapalenie skóry, a w skrajnych sytuacjach – nawet zgorzel. W typowych przypadkach postawienie diagnozy nie jest trudne – zmiany są na tyle charakterystyczne, że doświadczony lekarz szybko rozpozna chorobę. Problem zaczyna się wtedy, gdy pojawią się powikłania.

Powikłania mogą być naprawdę groźne.

– Rzeczywiście. Półpasiec to nie tylko wysypka i ból. Jednym z najczęstszych i najbardziej uciążliwych powikłań jest neuralgia popółpaścowa – silny, przewlekły ból, który potrafi utrzymywać się przez wiele miesięcy po ustąpieniu zmian skórnych. Najczęściej dotyczy osób starszych, ale nie tylko. Ten rodzaj bólu jest trudny do zniesienia, niekiedy wpływa także na kondycję psychiczną pacjenta i może doprowadzić nawet do depresji.

eprasa.pl 105d0f1123

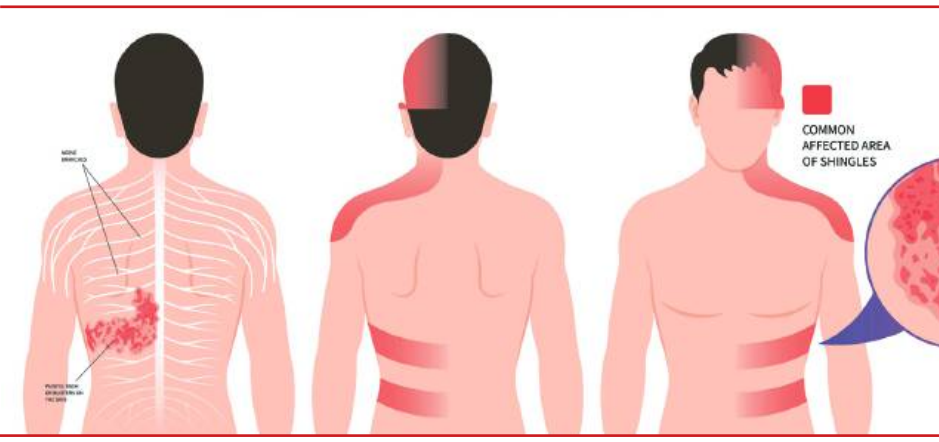

W cięższych przypadkach mogą się pojawić takie powikłania, jak zapalenie opon mózgowo-rdzeniowych, zapalenie mózgu, trwałe uszkodzenia nerwów czy trwałe zmiany skórne. W przypadku półpaśca ocznego istnieje ryzyko zajęcia rogówki, co może prowadzić do zaburzeń widzenia, a nawet ślepoty. Dlatego w takich przypadkach niezbędna jest szybka konsultacja okulistyczna.

Jeszcze kilkanaście lat temu nie mieliśmy skutecznych narzędzi, które pozwalałyby chronić się przed półpaścem. Dziś sytuacja wygląda zupełnie inaczej. Dysponujemy nowoczesnym i bardzo skutecznym szczepieniem. Pytanie tylko: kto powinien się zaszczepić?

– Rekomendacje są jasne. Szczepienie zaleca się wszystkim osobom powyżej 50. roku życia, ale również dorosłym między 18. a 50. rokiem życia, jeśli zmagają się z chorobami przewlekłymi, zwłaszcza tymi osłabiającymi układ odpornościowy. To właśnie u tych pacjentów półpasiec potrafi przybrać najcięższy przebieg.

Od 1 kwietnia 2025 r. pojawiła się ważna zmiana: szczepionka przeciwko półpaścowi została objęta pełną refundacją dla osób powyżej 65. roku życia z chorobami przewlekłymi. Co istotne, nie chodzi tu wyłącznie o poważne schorzenia onkologiczne czy immunologiczne. Wśród wskazań znajdują się również tak powszechne choroby jak cukrzyca czy schorzenia układu krążenia. Z kolei osoby między 18. a 65. rokiem życia z chorobami współistniejącymi mogą się zaszczepić z 50-procentową refundacją.

Dlaczego to szczepienie jest aż tak ważne właśnie dla pacjentów z obniżoną odpornością?

– Ryzyko wystąpienia półpaśca w tych grupach rośnie nie kilka, ale nawet kilkadziesiąt razy. To nie tylko kwestia samego zakażenia, które może być bardzo bolesne i uciążliwe. W przypadku osób z chorobą przewlekłą półpasiec często utrudnia leczenie schorzenia podstawowego. U pacjentów onkologicznych bywa powodem wstrzymania chemioterapii, ponieważ wielu leków nie można podawać w trakcie infekcji. W takiej sytuacji ryzykujemy więc podwójnie – nie tylko zdrowiem w kontekście półpaśca, ale też skutecznością terapii w chorobie, która często zagraża życiu.

Jak długo działa szczepionka?

– Mamy bardzo dobre wieści. Obserwacje trwają już ponad dekadę i jasno pokazują, że ochrona utrzymuje się na poziomie nawet 88-90% przez co najmniej 11 lat. To oznacza, że nie jest to szczepienie sezonowe czy jednoroczne. Zapewnia długoterminowe bezpieczeństwo.

Co jeszcze ważne – przebycie półpaśca, niestety, nie daje odporności na daleką przyszłość. Ryzyko nawrotu pozostaje, dlatego eksperci zalecają szczepienie również tym, którzy już półpasiec przeszli. Trzeba po prostu odczekać do momentu, aż objawy całkowicie ustąpią, wtedy można przyjąć szczepienie.

Słyszymy ostatnio o potencjalnym związku między półpaścem a rozwojem demencji.

– Badania prowadzone m.in. w Walii sugerują, że przebycie półpaśca może zwiększać ryzyko otępienia w starszym wieku. Choć potrzebujemy jeszcze mocnych dowodów naukowych, to nie ma wątpliwości, że związek między infekcjami a zaburzeniami poznawczymi istnieje. I że warto coraz uważniej przyglądać się tej zależności. Tak czy inaczej, szczepić się zawsze warto.

Choć wiedza medyczna na temat szczepień dorosłych rośnie, wciąż nie jest wystarczająca.

– To prawda. Niestety, nadal zdarza się, że osoby uprawnione do refundacji nie otrzymują właściwie wystawionej recepty: pacjent, który ma 70 lat i wiele chorób przewlekłych, dostaje receptę stuprocentowo płatną, mimo że przysługuje mu szczepienie bezpłatne. To problem systemowy – z jednej strony potrzebna jest lepsza edukacja środowiska medycznego, z drugiej większa świadomość samych pacjentów.

Jeśli więc kogoś przekonały pana argumenty i zechce się zaszczepić, może to zrobić np. w aptecznym punkcie szczepień?

– Najprościej będzie umówić się do lekarza rodzinnego lub specjalisty. Na razie apteki nie mają jeszcze pełnych uprawnień do wystawiania recept refundowanych na szczepionkę przeciwko półpaścowi. Wynika to z faktu braku wglądu w dokumentację medyczną pacjenta i potwierdzenia przysługującej refundacji. Trwają prace, które mają to zmienić. W wielu krajach farmaceuci z powodzeniem szczepią dorosłych – i to jest rozwiązanie, do którego dążymy.

W szczepieniach nie chodzi tylko o liczby. Chodzi o to, żeby starsi, przewlekle chorzy pacjenci mogli bezpiecznie funkcjonować i bez przeszkód leczyć swoje podstawowe schorzenia. A szczepionka przeciwko półpaścowi jest dziś jednym z najskuteczniejszych narzędzi, które temu służą.

Autoryzowany wywiad prasowy przygotowany przez Stowarzyszenie Dziennikarze dla Zdrowia w związku z Europejskim Tygodniem Szczepień, kwiecień-maj 2025.

FOT. MATERIAŁY PRASOWE, SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 105d0f1123

TikTok walczy o prawdę?

Chińska platforma, oskarżana do niedawna o polityczny zamordyzm, dzięki akcji usuwania milionów fałszywek chce się przeistoczyć w obrońcę prawdy w sieci

Chrystian Ślusarczyk

Dezinformacja na TikToku związana była m.in. z uczestnictwem w wyborach prezydenckich w Rumunii tzw. kandydata niezależnego Călina Georgescu.

TikTok, pierwotnie znany pod nazwą Douyin, został wprowadzony na rynek we wrześniu 2016 r. przez chiński koncern ByteDance. Początkowo platforma kierowała ofertę wyłącznie do użytkowników w Chinach. Szybko jednak stała się aplikacją globalną, jedną z najczęściej pobieranych na świecie. Kojarzona jest z krótkimi filmikami, niemal zawsze w formacie pionowym, które użytkownicy mogą łatwo edytować. Równie łatwo dodawać też można do nich muzykę oraz – co powoduje obecnie najwięcej kłopotów – efekty specjalne i filtry.

Kto i jak korzysta z TikToka?

Dane wskazują, że aplikacja każdego miesiąca przyciąga ok. 2 mld aktywnych użytkowników. Te miliardy młodych ludzi doskonale wiedzą, że prowadzenie transmisji na żywo na TikToku to jedna z najbardziej dochodowych form monetyzacji. Podczas live'ów widzowie bowiem zachęcani sa do wpłacania e-napiwków, które można przekształcić w realne pieniądze.

Na terenie Unii Europejskiej najwięcej użytkowników aplikacja ma we Francji (24,7 mln), w Niemczech (22,8 mln), we Włoszech (21,6 mln) oraz w Hiszpanii (20,3 mln). Dużą popularnością cieszy się także w Polsce – korzysta z niej już ponad 13 mln osób.

Dzieje się tak, mimo że jeszcze niedawno wpływowy brytyjski „The Guardian" nie zostawiał na chińskiej aplikacji suchej nitki. Dziennik ujawnił, że moderatorzy platformy byli instruowani, by cenzurować filmy pokazujące krytyczne nastawienie wobec władz Chińskiej Republiki Ludowej. Tematami tabu były chociażby masakra na placu Tiananmen, kwestia niepodległości Tybetu czy działalność ruchu Falun Gong. Publikacje na ten temat były albo trwale usuwane, albo ograniczano ich zasięg.

TikTok każdego miesiąca przyciąga 2 mld aktywnych użytkowników.

Coraz więcej rządów różnych krajów zakazuje swoim urzędnikom dostępu do TikToka w obawie o bezpieczeństwo narodowe. Powodem do niepokoju były przypuszczenia, że aplikacja zbiera i wykorzystuje dane, manipuluje opinią publiczną lub ma możliwość prowadzenia innych szkodliwych działań.

Innym do niedawna istotnym problemem była kwestia ujawniania na platformie danych osobowych dzieci. W 2019 r. za tego typu działania w USA TikTok został obciążony karą w wysokości 5,7 mln dol.

Dziś takich oskarżeń słychać coraz mniej. Choć może się to wydać dziwne, TikTok usilnie pracuje nad tym, by być postrzegany jako coraz bardziej zagorzały obrońca zasad internetowej czystości i ustanowionych przez siebie reguł, które tak naprawdę dotyczą też innych, podobnych aplikacji.

Twórcy chińskiej platformy nawet w najczarniejszych snach nie przypuszczali jednak, jaką pomysłowością w omijaniu tych reguł będą się popisywać użytkownicy ich technologicznego dziecka.

O najbardziej wymyślnych i szkodliwych oszustwach, do jakich dochodzi na TikToku, dowiadujemy się z raportu przesłanego przez władze platformy do Komisji Europejskiej. Dotyczy on ostatnich sześciu

FOT. TIKTOK

eprasa.pl 105d0f1123

miesięcy 2024 r. i wiąże się z obowiązkiem dostarczania informacji wynikających z Europejskiego Kodeksu Dobrej Praktyki Administracyjnej w zakresie zwalczania dezinformacji przez platformy typu VLOP (Very Large Online Platforms).

Według raportu w wielu krajach nagminnie nadużywa się obowiązującej na platformie zasady, że „dzielenie się poglądami politycznymi i angażowanie się w dyskusje polityczne jest dozwolone w ramach treści na TikToku. Jednak regulamin platformy nie zezwala, by na istniejących już kontach polityków i partii politycznych pojawiały się reklamy o treściach politycznych. Z kolei rządy, politycy i konta partyjno-rządowe nie mogą mieć dostępu do kampanii zbierających fundusze".

Niedostosowanie się do tych – wydawać by się mogło całkiem jasnych zasad – powoduje, że administratorzy TikToka w drugiej połowie minionego roku rozpoczęli zakrojoną na szeroką skalę akcję masowego usuwania kont.

Czy platforma poradzi sobie z dezinformacją?

Liczby dotyczące tych usunięć szokują. Na przykład jeśli chodzi o naruszanie zasad dotyczących treści politycznych, zdecydowanie najwięcej kont usunięto w Rumunii – aż 10 698. Tutaj dezinformacja na TikToku związana była z uczestnictwem w wyborach prezydenckich tzw. kandydata niezależnego Călina Georgescu (w efekcie prorosyjskiemu kandydatowi zakazano udziału w powtórzonych wyborach w maju tego roku).

TikTok dysponuje też informacjami, że w sposób niezgodny z regulaminem promowano Georgescu w nieunijnej, ale rumuńskojęzycznej Mołdawii. Platforma zmuszona była do usunięcia tam 68 kont zajmujących się dezinformacją. W raporcie TikToka podano także, że w Rumunii usunięto 11 mln fałszywych lajków (polubień) i ponad 14 mln fałszywych obserwujących!

Na drugim miejscu, chociaż daleko w tyle, znalazły się Niemcy. Tam z powodu naruszania zasad dotyczących treści politycznych trzeba było usunąć 6498 kont. O tiktokowych przekrętach u naszych zachodnich sąsiadów mogą świadczyć kolejne szokujące dane: w Niemczech administratorzy TikToka zmuszeni byli do usunięcia ponad 131 mln fałszywych polubień!

W ostatnich sześciu miesiącach zarząd platformy postanowił wydać prawdziwą wojnę fałszywym kontom. Na czele niechlubnego rankingu znalazła się Holandia. W ciągu sześciu miesięcy usunięto tam 886 619 kont. Drugie miejsce przypadło Hiszpanii, gdzie TikTok zmuszony był do likwidacji 709 560 podobnych fałszywek. Na trzecim miejscu (co miało związek z wyborami prezydenckimi) uplasowała się Rumunia – zlikwidowano 100 tys. fałszywych kont.

Kolejnym typowym dla początku nowego wieku problemem jest naruszanie na platformie zasad dotyczących edytowania treści multimedialnych oraz generowanych przez sztuczną inteligencję. Z raportu TikToka wynika, że najwięcej kont z takim zarzutem usunięto w Niemczech – 11 199, a najmniej w Bułgarii – tylko 227 filmów.

Jeśli chodzi o liczby, najczęściej z TikToka usuwane jest wszystko, co związane z polityką, czemu towarzyszy przymiotnik „fałszywy".

Platforma donosi także o walce z oszustami w wielu innych dziedzinach. W drugim półroczu ubiegłego roku TikTok zmuszony był usunąć wiele fałszywych dowodów zarobków, zmanipulowanych wyciągów bankowych czy spreparowanych historii sukcesu. Zlikwidowano tysiące kont podszywających się pod popularne marki i znanych influencerów, które w ten sposób chciały zwiększyć swoją wiarygodność.

Przytoczone liczby przemawiają do wyobraźni. Mogą sugerować, że chińska platforma robi wiele, by się uwiarygodnić i raz na zawsze wymazać ciągnące się za nią niechlubne podejrzenia. Czy jednak opisane działania w obronie prawdy i czystości w sieci są wystarczająco skuteczne? Na to pytanie wciąż trudno o jednoznaczną odpowiedź. ■

„The Guardian" ujawnił, że moderatorzy platformy byli instruowani, by cenzurować filmy pokazujące krytyczne nastawienie wobec władz Chińskiej Republiki Ludowej.

KSIĄŻKI

Andrzej Martynkin
Pieniądze te ukradłem
Wydawnictwo „Kto jest kim", Warszawa 2024

Dziennikarz sportowy, który wiele lat przepracował w „Sztandarze Młodych", kierowca rajdowy i znakomity narciarz ma wiele do opowiedzenia. Jego wspomnienia, felietony i reportaże są barwnym opisem trzech epok w historii Polski i funkcjonowania w niej człowieka aktywnego na tle przemian. Czytelnik poznaje wydarzenia, w których autor uczestniczył, ludzi, których poznał, i miejsca, które odwiedził. Jak sam podkreśla: „Gdyby nie sport, nigdy by takie dziwne i niespodziewane przypadki mi się nie przydarzyły".

(es)

eprasa.pl 105d0f1123

Marcelina Szumer-Brysz
Korespondencja z Turcji

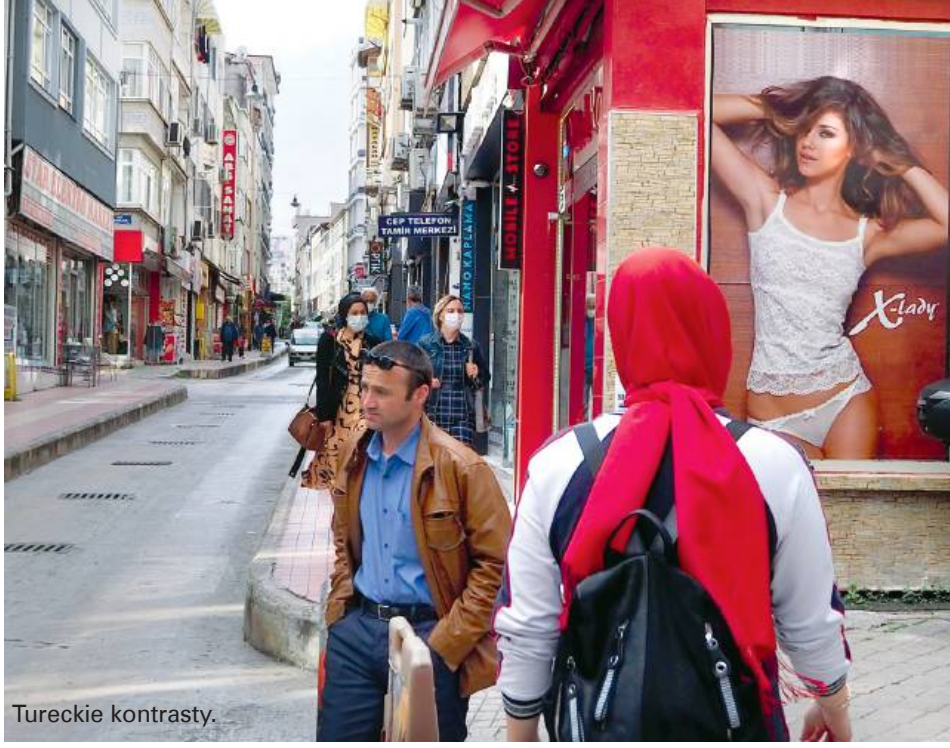

Tureckie kontrasty.

Iran tańczy w Turcji

Oaza swobód i największa imprezownia Bliskiego Wschodu

Jedni się skarżą na duchownych, wtrącających do wszystkiego swoje trzy grosze, i wyśmiewają w internecie ich fatwy oraz decyzje konserwatywnych władz. Drugim Turcja jawi się jako oaza swobód i największa „imprezownia" Bliskiego Wschodu.

Turecki internet kilka razy w roku rozgrzewa się do czerwoności. Jedna z większych awantur dotyczy sylwestra. Turcy stroją choinki, przyozdabiają lampkami miasta i dają sobie prezenty. I choć oficjalnie okazją ku temu jest nie Boże Narodzenie, ale Nowy Rok, muzułmańscy duchowni i tak nie są zadowoleni. Twierdzą, że choć w islamie Jezus jest jednym z najważniejszych proroków, takie świętowanie w grudniu za bardzo nawiązuje do wiary chrześcijańskiej i może sprowadzić muzułmanów na złą drogę. Zwłaszcza jeśli do choinek i prezentów doda się zakrapiane alkoholem imprezy, które należy uznać za haram – nieczyste.

„Narodziny proroka, który wzywał ludzi do prawdy i prawości, nie mogą być obchodzone w sposób sprzeczny z jego wartościami. Nigdy nie zapominajmy, że alkohol, który jest matką zła, hazard, cudzołóstwo, które wstrząsa fundamentami rodziny i społeczeństwa, narkotyki, które obezwładniają umysł i wolę, loterie i inne gry losowe, nie przynoszą nic poza nieszczęściem. (...)" – napisał w opublikowanej pod koniec zeszłego roku fatwie Diyanet, turecki urząd do spraw religii, który sprawuje opiekę nad meczetami, zajmuje się w kraju edukacją religijną, a także odpowiada na pytania wiernych.

Odkąd w Turcji rządzi konserwatywna Partia Sprawiedliwości i Rozwoju, duchowni co prawda rosną w siłę (Diyanet jest jednym z najzamożniejszych ministerstw), nie mogą jednak nikogo zmusić, by brał sobie do serca ich orzeczenia. W samym tylko Stambule nie było więc bodaj hotelu czy restauracji, w której 31 grudnia nie odbyłaby się sylwestrowa impreza. Z szampanem i noworoczną edycją Milli Piyango – narodowej loterii.

Podobne imprezy z różnych okazji regularnie odbywają się też w znacznie bardziej konserwatywnych rejonach kraju, a bawią się na nich nie tylko Turcy. Przecież nawet najbardziej konserwatywna część Turcji jest mniej konserwatywna od dowolnego miasta w Iranie.

Prawie jak Zachód

Wan to duża prowincja przygraniczna. Nikogo nie dziwi fakt, że w mieście pełno jest szyldów po persku czy kantorów, w których irańską walutę można wymienić na tureckie liry. Irańczycy przyjeżdżają tu jednak nie tylko na zakupy.

– To jedyne miejsce, gdzie można potańczyć, swobodnie posłuchać muzyki. Moja siostra na rowerze pierwszy raz jeździła właśnie tu. W Iranie kobiety nie mogą tego robić – mówi Firouz, student z Izmiru. Wychował się w przygranicznej miejscowości, w której większość znała także turecki. Jego pierwsze wypady za granicę to właśnie wyjazdy do Wan.

A przecież nie jest jedyny. Jak podaje turecka agencja informacyjna Demirören, w 2023 r. Turcję odwiedził milion turystów z Iranu. W sezonie letnim było ich tylu, że hotele w Wan miały pełne obłożenie, a przejście graniczne Kapıköy obsługiwało podróżnych przez całą dobę.

– Kochają Wan i miejscowych. Czują się tu swobodniej, żyją wygodniej, bawią się, słuchają muzyki. Mają nawet własne miejsca rozrywki, gdzie mogą się bawić w swoim towarzystwie – powiedział Fevzi Çeliktaş, wiceszef Izby Handlowej z Wan. Dodał, że zdarzają się tygodnie, w których nie ma miejsc w hotelach. – Ale mieszkańcy Wan są gościnni, goszczą wtedy turystów również w swoich domach. Nasza prowincja ma 300-kilometrową granicę z Iranem. Z perspektywy Turcji jesteśmy najdalej na wschodzie, ale z perspektywy Iranu jesteśmy Zachodem.

Turcja zapewnia Irańczykom wolność, której nie mają u siebie. Na stronach biur podróży z Wan pełno

eprasa.pl 105d0f1123

jest filmików pokazujących, jak dobrze bawią się przybysze. Dojrzałe kobiety ściągają chusty, ruszają w tany i śpiewają na stateczkach obwożących (koedukacyjne) wycieczki po największym tureckim jeziorze. Młode dziewczyny w ostrym makijażu, skąpych topach i krótkich sukienkach pląsają na dyskotekach, śpiewając jeszcze głośniej i machając włosami wyswobodzonymi spod chust.

Irańczycy na ogół zostają w mieście przez kilka dni. I nie poprzestają na jednej wizycie – pojawiają się kilka razy w roku.

– Świetnie bawimy się w Wan – powiedziała cytowana przez agencję Anadolu Parisa Zarei z Iranu. – Ciągle tu przyjeżdżamy z przyjaciółmi.

Goście z Iranu w Turcji mogą czuć się bezpiecznie ze względu na podobną kulturę.

Bikini zamiast burki

Irańczycy przybywają do Wan na letnie wakacje, święta religijne (te w Iranie i w Turcji wypadają w innym terminie) i właśnie na Nowy Rok. Pod koniec grudnia granicę przekroczyło 30 tys. Irańczyków, którzy potem bawili się w tureckich lokalach. Pytani przez dziennikarzy powtarzają to samo: u siebie nie mogą świętować, jakby chcieli, w Turcji – tak. Do tego jest taniej, a tureccy sprzedawcy, restauratorzy i hotelarze gotowi są przychylić im nieba. Poza tym jest blisko.

– Zawsze przyjeżdżamy do Wan – mówi Sahra Amini z Tabrizu. – Każdy w Iranie chciałby tu przyjechać, ale nie każdy może sobie na to pozwolić.

Są i tacy, dla których pieniądze nie stanowią problemu. Oni też wybierają Turcję, i to z tego samego powodu. Choć pochodzą z rodzin królewskich, u siebie, np. w Zjednoczonych Emiratach Arabskich, nie mogą się poczuć tak swobodnie jak nad Bosforem. Synowie i córki bogatych szejków upodobali sobie jednak inne rejony. Lokalne media z egejskiego kurortu Bodrum (antyczny Halikarnas) prześcigają się w informowaniu, kto już przybył na wakacje i jakim jachtem się porusza. A także publikują zdjęcia robione z ukrycia opalającym się na dziobach Arabkom, które tradycyjne okrycia zamieniły z tej okazji na bikini.

Kilka lat temu saudyjski książę z rodziną przybył na wakacje do Bodrum, przywożąc… 300 walizek. Kilkukrotnie lato w tej miejscowości spędzała także saudyjska księżniczka Ameerah Al Taweel. Choć akurat w jej przypadku zdjęcia bez chusty czy w skąpych sukienkach nie należą do rzadkości, bo – choć była czwartą żoną swojego męża – uważano ją za czołową feministkę kraju. Plotkarskie media tureckie chętnie pisały o niej, gdy okazało się, że w jednym tylko lokalu wydała 220 tys. lir, a dziennie odwiedzała ich trzy.

Nie tylko jednak saudyjscy i emiraccy miliarderzy i książęta upodobali sobie Turcję. Ich poddani również przybywają na tureckie plaże i do hoteli. Pytani przez dziennikarzy o powody, dla których wypoczywają właśnie tu, wymieniali ceny, przyjemną pogodę (latem w emiratach jest ponad 40 st. C, w Bodrum – mniej) i usłużnych Turków. Co ciekawe, ci sami ludzie zwracali uwagę na fakt, że kraj jest religijny, wszędzie są meczety, słychać ezan – wołanie na modlitwę – i można się pomodlić w dowolnym miejscu, nie budząc (jak w Europie czy USA) powszechnego zainteresowania i lęku. Ponadto w Turcji mogą zaznać swobody, której nie mają u siebie. Portal Turizm Aktüel dorzuca jeszcze fakt, że religijni Arabowie nie mają w Turcji problemów z dostępem do żywności halal, czyli przygotowywanej zgodnie z zasadami islamu, ale też podkreśla poczucie bezpieczeństwa i swobody, wymieniane przez mniej lub bardziej religijnych przybyszów, którzy zaznaczają, że Turcja to dla nich kraj europejski.

W 2023 r. Turcję odwiedził milion turystów z Iranu.

Prawie jak wolność

Wakacje rządzą się swoimi prawami. Gorzej, gdy przybysze – np. emigranci i uchodźcy z Iranu – których również jest sporo nad Bosforem, próbują na turecki grunt przenieść lokalną politykę. Tak stało się ponad dwa lata temu po tym, jak młoda Iranka Mahsa Amini zmarła

eprasa.pl 105d0f1123

Turczynki nad Morzem Czarnym.

po brutalnej interwencji irańskiej policji obyczajowej, która uznała, że jej hidżab niewystarczająco zakrywa włosy. Protesty w obronie praw Iranek obiegły wtedy cały świat, także Turcję. Żyjące nad Bosforem Iranki, od lat nienoszące chust, demonstracyjnie obcinały włosy albo paliły podobizny irańskich duchownych dzierżących władzę od ponad 40 lat.

– Jako kobieta i sportowiec nie miałam tam normalnego życia. Naszą siostrę zabili, bo chciała ubierać się tak jak my! – mówiła w październiku 2022 r. Nasibe Shamsaei, sportsmenka z Iranu. A do fotoreporterów w Stambule machała obciętym warkoczem.

– Czym różni się islam turecki od irańskiego, skoro w Turcji wiatr może rozwiewać moje włosy, a w Iranie mogą mnie aresztować, jeśli nie zakryję głowy? – pytała inna uczestniczka demonstracji przed irańskim konsulatem.

Choć większość światowych polityków potępiła wówczas brutalne represje irańskich władz wobec protestujących w kraju, turecki prezydent Recep Tayyip Erdoğan nawet się nie zająknął na ten temat, choć podobne demonstracje odbywały się również u niego. Według analityków Ankara nie chciała psuć sobie świeżo odbudowywanych relacji z reżimem ajatollahów. Ledwie kilka miesięcy przed sprawą Mahsy Amini prezydent gościł w Teheranie, gdzie przedłużył umowy na dostawy irańskiego gazu o kolejne 25 lat i zadeklarował zwiększenie dwustronnej wymiany handlowej oraz podpisał osiem innych umów gospodarczych.

Pojawiły się też głosy, że nie można oczekiwać, by polityk opowiadał się po stronie gnębionych Iranek, skoro i w Turcji wiele należałoby w tym zakresie poprawić, a rząd wypowiedział chroniącą je konwencję stambulską.

Najbardziej konserwatywna część Turcji jest mniej konserwatywna od dowolnego miasta w Iranie.

Podawano zresztą przykłady Iranek zatrzymanych w Denizli podczas protestu właśnie w obronie konwencji. Kobiety czekające na przyznanie azylu w Turcji usłyszały, że protestując, złamały prawo.

Podobna historia przydarzyła się irańskiej działaczce, która zdołała uciec do Turcji po tym, jak irańska policja po raz kolejny aresztowała ją za „tworzenie zagrożenia dla bezpieczeństwa narodowego". Zagrożeniem miały być protesty przeciw zmuszaniu kobiet do zakrywania włosów. Po dwóch latach przebywania w Turcji uchodźczyni została aresztowana. Policja twierdziła, że jej pozwolenie na pobyt wygasło. Kobieta została umieszczona w ośrodku dla osób czekających na deportację. Z tureckiego Denizli trafiłaby pewnie prosto do irańskiego więzienia, ale już z radiowozu zaczęła relacjonować w mediach społecznościowych aresztowanie, apelując do Turczynek o pomoc. Te zadziałały natychmiast, naciskając na władze i organizując pomoc prawną, która doprowadziła do uwolnienia Iranki.

Ale do mediów idą też ci, którym tureckie władze odmówiły prawa do azylu. Badacze z tureckiego Centrum Badań Irańskich przyznają, że wielu Irańczyków pragnących uciec z kraju kłamie, wpisując we wnioskach najbardziej oczywiste i najtrudniej weryfikowalne rzeczy, za które w Iranie grożą surowe kary: że są członkami mniejszości religijnej, konwertytami lub członkami i członkiniami społeczności LGBT+.

Pomijając azylantów, według tureckiego Urzędu Statystycznego Irańczycy są – po Irakijczykach i Afgańczykach (nie licząc Syryjczyków, którzy mają inny status międzynarodowy) – najliczniejszą grupą występującą o pozwolenie na pobyt nad Bosforem. Pytani o to, jak im się żyje w Turcji, odpowiadają to samo: swobodnie, bezpiecznie, bez ciągłego strachu.

Marcelina Szumer-Brysz

eprasa.pl 105d0f1123

Wieczne odpoczywanie

Wojciech Kuczok

Wybór ogromu ziszczeń

Głosowałem na Trzaskowskiego. Chociaż w rozmaitych przedwyborczych „latarnikach" i quizach światopoglądowych nie wygrał u mnie ani razu (najbardziej wychodziło mi po drodze z Hołownią); głosowałem na niego – z marzeniem o tym, że da się to wszystko załatwić w pierwszej turze, z wybujałą nadzieją, że może jednak sondaże są po to, żeby wybrzydzać, a przy urnie już wszyscy się zmobilizujemy do tego, by „wulg. o mężczyźnie: mieć stosunek płciowy" PiS i Konfederację. Przy kawiarnianym stoliku można sobie marudzić, kto woli na dwuprocentowym, na zagęszczonym, na kozim czy sojowym, ale jeśli jedyną alternatywą jest czarna zbożowa w okopach lub pod celą, to już się grzecznie wychłepce po prostu kawę z mlekiem.

Sprawdzałem, co tam się działo w głowach po drugiej stronie, bo mam tyluż znajomych, a nawet przyjaciół, w środowiskach inteligenckich, co i w robotniczych, miejskich i wiejskich, tuskowych i kaczystowskich. Cóż począć, nie jestem jednobańkowy, mam wgląd w najprzeróżniejsze umysły, także ofiar propagandy, a jako że nie mam temperamentu misjonarskiego, nie zwykłem nikogo nawracać. Skoro lud należy kochać, spoglądam na jasne strony ludzi, również tych o ciemnych orientacjach.

Myślałem, że może w związku z aferą kawalerkową coś się zachwieje w elektoracie pisowskim. Nie przyuważyłem jednak żadnych pęknięć ani wątpliwości: emerytowany górnik powiedział z kamienną twarzą i sytą ironią, że zagłosuje na Nawrockiego, nawet gdyby ten potrącił na pasach zakonnicę w ciąży, a wszystko dlatego, że Tusk strzelał do jego kolegów w Jastrzębiu. Tak to działa, szereg sylogizmów i skrótów myślowych – Trzaskowski to człowiek Tuska, za którego poprzedniej kadencji policja „brutalnie spacyfikowała strajk górników". PiS tak długo wciskało ten przekaz, że ludziom już zaczął się mylić Wujek z Zofiówką – i o to właśnie chodziło. Co tam, że zastrzeleni męczennicy stanu wojennego zostali zrównani z posiniaczonymi od gumowych kul kibolami, którzy postanowili „wesprzeć" strajk swoim arsenałem pirotechnicznym. Ważne, że zażarło, zgodnie z goebbelsowską metodą powtarzania kłamstwa tak długo, aż stanie się prawdą.

Inny dobry kompan, z którym eksploruję jaskinie, mówi, że w razie wojny Platforma odda wschodnią połowę Polski Putinowi (sam mieszka za lewym brzegiem Wisły, więc nie o siebie się martwi – jak podkreśla – lecz o dobro ojczyzny). Jeszcze inny, z którym łączy mnie odwieczna miłość do Ruchu Chorzów, nawija: „Byle nie Trzaskowski, bo wpuszczą wszystkich ciapatych". Myślałem, że ten ostatni nieco spuści z tonu, kiedy się dowiedział, że niebiesko-biali „psychofani" zwietrzyli interes i w ostatnich latach do tradycyjnego zawodu wykonywanego przez kibolstwo polskie, czyli handlu narkotykami, dołączyli płatny przemyt imigrantów. Ale gdzie tam, tłumaczy, że przecież oni tylko przerzucali tych boroczków do Niemiec bezpieczną drogą, żeby nie musieli umierać z głodu i chłodu w puszczy, a Tusk ściągnie ich do nas na stałe, żeby zanieczyścili rasowo nasze kobiety, a nawet rogaciznę, jak to było na filmiku, co kiedyś minister prezentował.

Lud pisowski jest silny dogmatyzmem, najczęściej głosuje raczej przeciw niż za, dlatego nie obietnice wyborcze w kampanii pisowskich kandydatów są najważniejsze, lecz umacnianie czarnego PR strony Koalicji Obywatelskiej – populiści zarządzają strachem, to rzecz oczywista. Nie obraz krainy mlekiem i miodem płynącej ma ich zachęcać, lecz przerażać ma wizja ziemi jałowej, rozkradzionej przez eurokołchoz i spływającej rzeką krwi Polaków, zamordowanych za to, że chcieli się oprzeć obcej nawale. Czy jakoś tak. Jeśli komuś się cni do czasów Polski sprzed duopolu, nie wygląda na to, żeby miał jej doczekać – głosy wyborcze rodaków najłatwiej rozmnażają się przez podział. Na dwa.

Głosy wyborcze rodaków najłatwiej rozmnażają się przez podział. Na dwa.

Głosowałem zatem na Trzaskowskiego już w pierwszej turze na pohybel alt-rightom i alt-leftom, albowiem od fanatyków, radykałów i symetrystów wyznających hasło „PiS, PO – jedno zło" chciałbym się uchować. Jako i od wszystkich rewolucjonistów, którzy chcieliby twardego politycznego resetu, by na zgliszczach III i IV RP zbudować nowy wspaniały świat. Głosowałem na Trzaskowskiego, bo życzę Polsce ogromu ziszczeń zamiast ogromu zniszczeń. ■

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 105d0f1123

Ben Wilson

Zwierzogród

Żadne zwierzę nie jest tubylcem w mieście, wszystkie gatunki to imigranci szukający szczęścia w nowym ekosystemie

Gorącego, pogodnego wieczoru w sierpniu 2020 r., kiedy zachodziło słońce, wyjeżdżałem rowerem z centrum Berlina, żeby popływać w Teufelssee – „jeziorze diabła" – w Grunewaldzie. Miło zażyć kąpieli w dzikim jeziorze w środku miasta, w otoczeniu drzew i sapiących dzików. Wówczas tego nie wiedziałem, ale jedna z loch, przezywana Elsą, tego samego dnia zdobyła międzynarodową sławę: w towarzystwie warchlaków ukradła kąpiącemu się jegomościowi torbę z laptopem i uciekła z nią. Zdjęcia nagiego pulchnego mężczyzny rozpaczliwie goniącego złodziejkę po plaży szybko stało się wiralem, podczas kiedy ja pływałem w ciemniejących wodach.

W ostatnich latach berlińskie dziki zajmowały duże części miasta, a wśród ludzi zachowywały się coraz odważniej. Stanowią część procesu niewiarygodnego przypływu zwierząt do miast, trwającego od kilku lat. Koale czują się w Brisbane jak u siebie, a żałobnice eukaliptusowe – gatunek zagrożony wyginięciem – rozgościły się w Perth. W tym samym czasie sokoły wędrowne zostały zurbanizowane, liczebność pszczół w miastach znacznie wzrosła, wilki zaczęły kręcić się po przedmieściach Europy Środkowej, a największe skupisko mulaków w Minnesocie zamieszkało w aglomeracji Twin Cities. Marmozety lwie przybywają do brazylijskich miast. Wydry, korzystające z czystszych wód oraz ponownej naturalizacji miejskich działów wodnych, na początku XXI w. były widziane w Singapurze, Chicago i w ponad 100 angielskich miastach i miasteczkach. Nawet lamparty plamiste – skryte i traktujące ludzi z ostrożnością – przeniknęły do Mumbaju i przemykają nocami po mieście, przeważnie niezauważone. Kojoty przejęły miejski styl życia, odkąd w latach 90. XX w. zaczęły eksplorować amerykańskie miasta. Obecnie bardzo licznie egzystują obok innych niedawnych migrantów do miasta, takich jak szopy pracze i skunksy. Stanowią forpocztę najeźdźczej armii dzikiej przyrody, która ze wszelkim prawdopodobieństwem wkrótce obejmie też wilki, pumy i niedźwiedzie.

Sokół wędrowny, przyglądający się miastu z punktu obserwacyjnego na wieżowcu, wcale nie dostrzega zagrożonego środowiska. Krajobraz widziany oczami tego ptaka przypomina urwiska i kaniony jego naturalnych terenów łowczych – ale jeszcze lepsze od prawdziwych, ponieważ dobrze zaopatrzone w zdobycz. Para sokołów wędrownych przeniosła się do Nowego Jorku w 1983 r. i po 40 latach miasto może się poszczycić największym zagęszczeniem osobników tego gatunku na świecie. W ostatnich latach ptaki te zamieszkały też w Kapsztadzie, Berlinie, Nowym Delhi, Londynie i dziesiątkach innych dużych miast.

Zurbanizowane zwierzęta muszą być elastyczne, czyli dopasować zachowania do nowego środowiska oraz do bliskości ludzi.

Globalny boom na drapacze chmur, który miał miejsce na początku XXI w., był błogosławieństwem dla sokołów wędrownych, ponieważ wielokrotnie zwiększył liczbę urwisk. Wysokie budynki preferowane przez zglobalizowany kapitalizm są idealne do tego, by dać z nich nura. Osobniki w Nowym Jorku wykorzystują tunele aerodynamiczne między wieżowcami, aby zagnać stada gołębi w stronę morza, gdzie mogą je złapać. Tymczasem większa liczba gołębi w Nowym Delhi przyciągnęła pod koniec drugiej dekady XXI w. sokoły wędrowne, puchacze indyjskie, krogulce małe, pustułki i orły południowe, które chciały spróbować szczęścia w dużym mieście. Panowanie sokołów wędrownych zapewne jest dowodem na zdrowie miasta. Ten gatunek to szczytowy drapieżnik w łańcuchu pokarmowym, uzależniony od drobnoustrojów, owadów, małych ssaków i ptaków. Żyje wśród nas, dlatego że ośrodki miejskie są najbardziej bioróżnorodne w całej swojej historii.

Żadne zwierzę nie jest tubylcem w mieście. Wszystkie gatunki miejskie – tak jak my, sokoły wędrowne, a nawet szczury – są imigrantami szukającymi szczęścia w nowym ekosystemie. Dzikie zwierzęta, które uczą się, jak żyć w metropolii, przechodzą synurbizację. Sokół wędrowny jest symbolem tego procesu, ponieważ ponownie odkrywa obfity krajobraz w ludzkiej metropolii. Zurbanizowane zwierzęta muszą być elastyczne – czyli umieć dopasować swoje zachowania do oszałamiającego nowego środowiska oraz, co kluczowe, do bliskości ludzi. Szczury, karaluchy, gołębie i małpy robią to od tysięcy lat. Obecnie do tego grona dołącza nadzwyczajna gama zwierząt. Przechodzą one, podobnie jak ich poprzednicy, szybką adaptację.

Miasta przeżywają istotną zmianę, gdy adaptują się do wyjątkowej sytuacji klimatycznej i odpowiadają na

eprasa.pl 105d0f1123

W ostatnich latach berlińskie dziki zajmowały duże części miasta, a wśród ludzi zachowywały się coraz odważniej.

naszą potrzebę obcowania z przyrodą. Dzięki temu stały się dobrymi środowiskami dla licznych gatunków, ponieważ można tu znaleźć coraz bardziej zarośnięte parki, coraz więcej koron drzew i coraz dziksze mokradła oraz rzeki. Sytuacja zmienia się też poza granicami metropolii.

Miejska ekspansja, intensyfikacja rolnictwa, deforestacja, fale upałów, susze i pożary zmuszają wiele gatunków do szukania schronienia w miastach i przystosowania się do nowego otoczenia. Co możemy zrobić, żeby centra stały się gościnne dla stworzeń uciekających przed zgubnymi skutkami naszych działań? Jaki los czeka te gatunki? Współistnienie zwierząt i ludzi nigdy nie było pozbawione trudności.

Wróćmy do Elsy i dzików w Berlinie. Dzikie zwierzęta – podobnie jak chciwa Elsa – szybko przestały być ciekawostką, a zaczęły przeszkadzać ludziom, dlatego że przewracają śmietniki i ryją w ogródkach, parkach i na cmentarzach. Miasto musi dokonywać odstrzału 2 tys. okazów rocznie.

Po tym, jak podczas lockdownu w 2020 r. wydry zrobiły nalot na staw w Singapurze i urządziły sobie ucztę z drogich ryb hodowlanych, odezwały się głosy nawołujące do trzebieży. Singapurczycy jednak zażarcie bronili zwierząt – premier opublikował tweet z poparciem dla wodnych futrzaków.

The Twin Cities, czyli obszar metropolitalny Saint Paul-Minneapolis, płaci eksterminatorom 250 dol. za zlikwidowanie jelenia i 700 dol. za wstrzyknięcie sarnie środków antykoncepcyjnych. Peryferia miasta są dobrym środowiskiem dla jeleni (i dzików), dlatego ich liczba gwałtownie rośnie, choć oznacza to sporo problemów, w tym boreliozę. Ogródki na tyłach podmiejskich domów stały się zapleczem terenów łowieckich, służą legalnej i wspieranej kontroli populacji. Coraz częściej słychać skargi na miejskie borsuki w Wielkiej Brytanii – coraz liczniejszą obecność nieuchwytnych gatunków zauważają także mieszkańcy miasta Sherlocka Holmesa.

Musiało minąć nieco ponad 100 lat, żebyśmy przestali patrzeć na miasto jak na miejsce jałowe i zdegradowane, a zaczęli skarżyć się na nadmierną obfitość dzikiej przyrody. Bez względu na to, czy zwierzęta kochamy, czy je nienawidzimy, czy się ich boimy, będziemy musieli przywyknąć do współżycia z rosnącymi populacjami dzikich gatunków. (…)

•

Osobniki tego gatunku robią niezłe widowisko, gdy lecą nad miastem w zbitych chmarach na tle zapadającego zmierzchu. Rudawka szarogłowa to australijski zwierz z rzędu nietoperzy. Ma skrzydła o rozpiętości ponad metr, pomarańczowy futrzany kołnierz i świdrujące, ciemne oczy osadzone w szarym pyszczku. Za dnia ten ogromny ssak śpi głową w dół, obejmując swoje ciało gigantycznymi skrzydłami. Nocą lata w poszukiwaniu nektaru z kwiatów eukaliptusa, owoców z lasu deszczowego i 100 gatunków rodzimych roślin. To najważniejszy lokalny gatunek, odgrywający zasadniczą rolę w ekosystemie południowo-wschodniej Australii. Kiedy szuka pożywienia, zapyla rośliny lasu deszczowego i roznosi nasiona – aż 60 tys. co noc – na odległość 50 km. Gdy pożar zniszczy dany obszar, nietoperze przyniosą odnowę. Rudawki szarogłowe to jednak zagrożony gatunek, ich środowisko życia zniszczyły zmiana klimatu, ekspansja rolnictwa, pożary buszu i urbanizacja.

I choć miasto stanowi problem, to w nim kryje się też rozwiązanie. W 1986 r. od 15 do 20 megachiropterów [dużych owocożernych nietoperzy – przyp. tłum.] założyło kolonię w Melbourne. W latach 20. XXI w. populacja tych zwierząt wzrosła do 35 tys. okazów. Kolejny obóz (jak nazywa się miejsce noclegu tych zwierząt) powstał w Adelajdzie w 2010 r. i jego liczebność szybko wzrosła do 17 tys. zwierząt.

Dlaczego nietoperze przeniosły się 400 km od tradycyjnej lokalizacji aż do Melbourne? Wynika to bezpośrednio ze zmiany miejskiego środowiska przez człowieka. Zanim Europejczycy osiedlili się w tej metropolii, na tym terenie występowały tylko trzy gatunki roślinności, którymi mogły żywić się rudawkowate. Począwszy od lat 70. XX w., ogrodowe gusta zaczęły się zmieniać: mieszkańcy australijskich miast zaczęli sadzić przy ulicach eukaliptusy i figowce wielkolistne, a do ogrodów i parków wprowadzili setki rdzennych australijskich drzew i roślin. Oznaczało to całoroczną biesiadę dla nietoperzy i przyniosło skutek uboczny typowy dla urbanizacji: zupełne przekształcenie lokalnego środowiska. Poza tym ludzie zwykli podlewać rośliny, by przeciwdziałać suszom.

Gdy miejski las w Melbourne rósł i różnicował się, stał się idealnym środowiskiem nie tylko dla megachiropterów, lecz także dla lorys i oposów. Rudawka szarogłowa

eprasa.pl 105d0f1123

zurbanizowała się, gdy odkryła, że Melbourne – a potem jeszcze inne australijskie miasta – stało się schronieniem przypominającym las.

Australia jest jednym z zaledwie 17 najbardziej zróżnicowanych biologicznie krajów świata. Tysiącom tamtejszych gatunków grozi jednak wyginięcie. Rudawka nie jest sama – 46% zwierząt wymienionych na liście zagrożonych gatunków aktualnie żyje w miejskim środowisku. Właściwie australijskie miasta dają schronienie znacznie większej liczbie gatunków zagrożonych na kilometr kwadratowy niż obszary niemiejskie. Gdzie indziej wygląda to tak samo. Brazylijska marmozeta lwia – zagrożony niewielki ssak – przegnana z rodzimego obszaru przez deforestację i uprawianie roli, znalazła schronienie na łaskawych przedmieściach Rio de Janeiro. Podczas suszy w indyjskim Radżastanie w latach 1999-2001 populacja hulmanów załamała się w wiejskich okolicach, ale przetrwała bez szwanku w Dżodhpurze, gdzie miała wystarczająco dużo pożywienia, by wyjść cało z opresji. Kiedy zasoby są skąpe, niedźwiedzie czarne przenoszą się do Aspen w stanie Kolorado, a na lata obfitujące w prowiant powracają do naturalnych habitatów.

Rudawka szarogłowa zurbanizowała się, gdy odkryła, że Melbourne – a potem inne australijskie miasta – stało się schronieniem przypominającym las.

W ostatnich latach sokoły wędrowne zamieszkały w Kapsztadzie, Berlinie, Nowym Delhi czy Londynie.

Doświadczenia australijskich megachiropterów, indyjskich małp i amerykańskich niedźwiedzi może stanowić zapowiedź klimatycznej sytuacji awaryjnej. Miasto mogłoby zostać dla pewnych gatunków arką, azylem przed skrajnymi warunkami.

Podczas globalnego lockdownu w 2020 r., gdy siedzieliśmy w domach, znudzeni i odizolowani, serwisy informacyjne mamiły nas opowieściami o tym, co dzieje się z ośrodkami miejskimi podczas naszej nieobecności. Jelenie swobodnie wałęsały się po miastach na całym świecie; pumy grasowały w chilijskim Santiago; dzikie świnie oraz dziki bezczelnie wędrowały opustoszałymi ulicami Barcelony i Paryża; słonie przechadzały się po Dehradunie w północnych Indiach; dzikie indyki zajęły szkołę w San Francisco; wydry spędzały czas w centrum handlowym w Singapurze i biegały po szpitalnym korytarzu. Mniejsze poruszenie, ruch uliczny i hałas – tylko tego było trzeba, żeby ciekawskie zwierzęta przeprowadziły się do miasta. Nie musimy robić zbyt wiele, żeby uczynić miejskie środowisko atrakcyjnym dla dzikiej przyrody. Czasem drobne zabiegi mogą przynieść spore korzyści.

Miasto jaskrawo oświetlone nocą to mylące miejsce dla zwierząt, do tego światło przerywa nasz własny rytm dobowy. Zanieczyszczenie świetlne to jedno z największych zagrożeń miejskiego ekosystemu, plasujące się obok utraty środowiska życia oraz zanieczyszczenia chemicznego. (…) Miliony piskląt żółwia morskiego, rozproszonych jaskrawymi światłami Florydy, niepotrzebnie giną, ponieważ tracą z oczu delikatne odbicie światła gwiazd i księżyca na powierzchni morza.

Sztuczne oświetlenie zakłóca szlaki migracyjne milionów ptaków. Jasne budynki mamią te stworzenia i pozbawiają je życia na skutek zderzenia ze ścianą. Oświetlenie uliczne drastycznie zmniejsza populacje owadów z powodu intensywniejszego nocnego drapieżnictwa i tym samym narusza prokreację. Rośliny też cierpią, gdy sztuczne światło skłania je do tego, by hodowały większe liście z większą liczbą szparkowych (porów), przez co są mniej odporne na zanieczyszczenia i suszę. W 2001 r. Flagstaff w stanie Arizona stał się pierwszym na świecie „międzynarodowym miastem ciemnego nieba". Jego śladem podążyło dotąd kilkadziesiąt innych miejscowości, w tym Tucson i Pittsburgh. Pittsburgh poszedł nawet o krok dalej niż inne ośrodki miejskie i w 2022 r. przerzucił się z żarówek emitujących niebieskie światło zakłócające spokój na żarówki emitujące światło o chłodniejszej barwie, a przy okazji oszczędził 1 mld dol. rocznie. Używa też osprzętu osłaniającego latarnie uliczne, przez co zapobiega sączeniu się oświetlenia na nocne niebo. Niewielkie, ale precyzyjne zabiegi mogą przynieść wiele korzyści – także dla ludzi, którzy ponownie odzyskują prawo do oglądania gwiazd.

Wyjce wybierają estakady, aby uniknąć zabójczego ruchu ulicznego i psów na ulicy. Przemieszczają się z jednego ocalałego skrawka lasu do drugiego w brazylijskim Porto Alegre; zagrożone małpy wspinają się po liniach wysokiego napięcia, co stanowi ryzykowny sposób poruszania się po mieście. Wprowadzenie niedrogich mostów linowych nad

eprasa.pl 105d0f1123

ulicami ocaliło wiele wyjców brązowych, a także innych miejskich wspinaczy, takich jak dydelfy białouche i jeżozwierze, przed śmiertelnym porażeniem prądem. W Kostaryce z takich mostów korzystają leniwce – można by pomyśleć, że wcale nie mieszczuchy. Zgodnie z wynikami badań połączonej zieleni dla zwierząt było wystarczająco dużo, aby przemierzały one stolicę Niemiec w poszukiwaniu pary. Rzeczywiście genetyczna analiza wykazała, że berlińskie jeże docierały dalej od swoich wiejskich kuzynów. Jeże nie w każdych okolicznościach się przemieszczają. Jeśli mogą przecinać zieloną szachownicę miasta – czmychnąć nocą od jednej zielonej odskoczni do drugiej, przez parki, ogródki, cmentarze i obszary dzikiej roślinności – to ssaki i owady też potrafią to zrobić.

Jak wiemy, miasta skrywają w sobie ekologiczne skarbce. Ale często są rozczłonkowanymi wyspami. Zwierzęta potrzebują ogólnomiejskiej zielonej sieci metra – macierzy swoistych autostrad habitatu przecinającej betonową i asfaltową pustynię – łączącej skrawki gęstej roślinności. Wszyscy znamy mapy komunikacji miejskiej w naszym mieście. Dlaczego by nie stworzyć równie rozpoznawalnej zielonej mapy? (...) Ulice zamienione na ścieżki dla pieszych, trasy rowerowe, tory kolejowe, brzegi rzek, aleje ze szpalerami drzew, niekoszone peryferia, ogrody tarasowe, zielone ściany i mokradła mogą znaleźć się na naturalnej trasie takiego zielonego metra.

Gdy do przepustów drenażowych wykutych pod drogami w Brisbane dodano wąskie pasaże na parapetach, potrzeba było tylko kilku tygodni, żeby koale, walabie bagienne, oposy, kolczatki i warany nauczyły się poruszać tymi ciemnymi, podziemnymi korytarzami. Długo zakładano, że koale będą kiepskimi kandydatami do życia w mieście. A jednak ich zdolność do przystosowania się do nowego antropogenicznego środowiska, podobnie jak w przypadku wielu innych gatunków, jest zdumiewająca.

Koalom podano pomocną dłoń w zatoce Merton, leżącej na północ od Brisbane, i posadzono tam szybko rosnący *Eucalyptus kabiana* – gatunek eukaliptusa, który sam zalicza się do podatnych na uszkodzenia. Drzewa te pomogą utorować koalom drogę do miasta, kiedy te szukają bezpiecznego schronienia z dala od pożarów buszu i suszy, zapewniającego pożywienie i połączenie między habitatami.

Mosty linowe w koronach drzew, półki w tunelach i dziury dla jeży wycięte w ogrodzeniach podmiejskich ogródków to tanie sposoby budowania zielonej siatki. Niektóre gatunki wymagają jednak kosztownych innowacji. W Los Angeles, w kanionie Liberty, powstaje ogromny most porosły trawą – budowa kosztuje 87 mln dol. – by dalekodystansowe pumy, razem ze skunksami, jeleniami i innymi zwierzętami, mogły przejść przez autostradę 101 i uniknąć kontaktu z jednym z 300 tys. pojazdów, które codziennie tamtędy pędzą. Tylko dzięki temu, że otwarto miasta, pumy i rysie unikają genetycznego odizolowania i chowu wsobnego. Zdolność zwierząt do przemierzania okolicy jest podstawą przeżycia: możemy, jeśli chcemy, usunąć lub zmodyfikować bariery, które umieściliśmy na drodze przepływu genów. Oznacza to przeprojektowanie miast tak, by były one gościnne nie tylko dla ludzi, lecz także dla zwierząt. Wróćmy do rudawki szarogłowej z Melbourne i koali z Brisbane. Jak już zaobserwowaliśmy, stosunkowo niewielkie zmiany wprowadzone do miejskiego środowiska w ostatnich 40 latach zamieniły australijskie miasta w raj dla niektórych istot zagrożonych wyginięciem. Ulice, parki, pobocza i ogródki obsadzone różnymi rdzennymi i obcymi roślinami sprawiają, że ośrodki miejskie stają się niezwykle atrakcyjne dla licznych stworzeń. Miasta na całym świecie – zwłaszcza te szybko rozrastające się w lasach deszczowych, w deltach rzek, na sawannach i na łąkach – muszą naśladować najlepsze australijskie innowacje i unikać ich największych błędów. (...) Zwierzęta dopiero zaczynają swoją wielką migrację do miasta. Ułatwienie im tego przejścia powinno być priorytetem ochrony przyrody, tak by zagrożone gatunki mogły pójść w ślady rudawek i koali.

Skupiamy się na podtrzymaniu warunków potrzebnych dzikiej przyrodzie, by mogła żyć w swoim naturalnym stanie, ale powinniśmy ujrzeć miasta w tym samym kontekście. Powinniśmy zobaczyć szerszą perspektywę, ponownie ujrzeć miejsca pełne życia oraz dostrzec korzyści ekologiczne. Ludzie dostali się na każdy zakątek planety, więc możemy zrobić przynamniej tyle. Wspierajmy naturę w jednym z najbardziej destrukcyjnych środowisk na świecie – w mieście. Sukces dzikiej przyrody w miejskim otoczeniu to z pewnością oznaka, że miasto jest zdrowe. Rudawki tłumnie ściągnęły do Melbourne właśnie dlatego, że w ostatnich kilkudziesięciu latach obrodziło ono w rdzenne rośliny.

Metropolie są dobre dla megachiropterów z takich samych przyczyn, z jakich są dobre dla ludzi. Ale kiedy mowa o masowym wymieraniu, pojawia się nowa, pilna potrzeba: zazieleniania nowoczesnych ośrodków miejskich. (...) Jeśli chcemy ochronić gatunki przed wyginięciem, musimy sprawić, by miasta stały się bardziej dzikie, i zrozumieć, że przyroda nie jest miłym dodatkiem, ale elementem koniecznym dla naszego przetrwania. (...)

Sukces dzikiej przyrody w miejskim otoczeniu to z pewnością oznaka, że miasto jest zdrowe.

Fragmenty książki Bena Wilsona *Miasto i dżungla. Jak natura wrosła w cywilizację*, przeł. Monika Skowron, Znak Horyzont, Kraków 2025

FOT. SHUTTERSTOCK (2)

eprasa.pl 105d0f1123

JOLKA

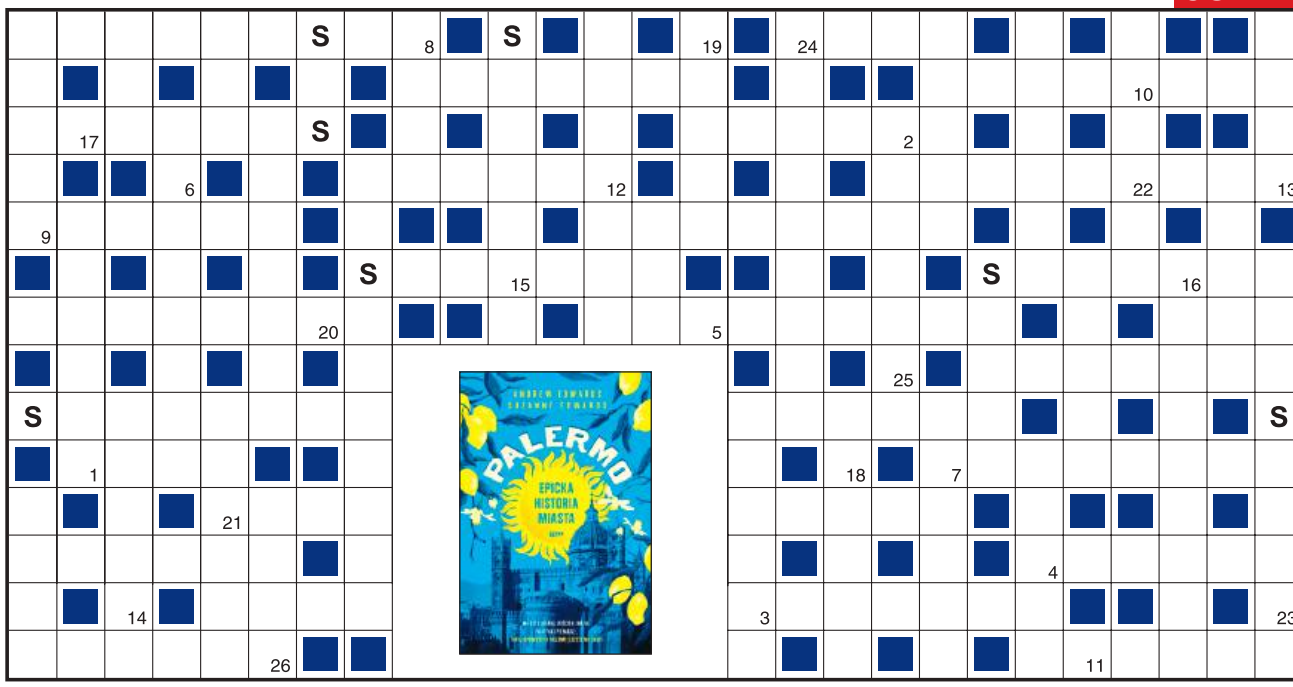

1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16	17	18	19	20	21	22	23	24	25	26

Objaśnienia są podane w kolejności alfabetycznej odgadywanych wyrazów. Miejsce wpisu do odgadnięcia. Wszystkie litery S ujawniono. Litery z pól ponumerowanych od 1 do 26 utworzą końcowe hasło.

- mała pani Asa
- pseudonim z odwróconego nazwiska
- największa część Wielkiej Brytanii
- beczułka na trunek
- bije inne kolory karciane
- skąpy kostium plażowy
- oddział ubezpieczający lub rozpoznawczy
- u Brzechwy dzień muszej kąpieli w bigosie
- teoria ewolucji organizmów
- niewyraźne, nieudolne czytanie
- dla dorosłych naczynie, a dla młodych głupek
- czcze ględzenie
- i dzieciak, i łyk
- starożytna nazwa Hiszpanii
- nadawane szkole lub statkowi
- ostrość kolorów, światła
- nowoorleański, chicagowski lub bebop
- brunatny płyn do odkażania
- dziecka kaszką lub kogoś nadzieją
- przemowa duchownego do wiernych
- stopy wody pod nim!
- wiązka bananów
- ostronos rudy inaczej
- sójka, szturchaniec
- warszawski park z koncertami chopinowskimi
- niewielka, błękitna ważka
- wierutne kłamanie
- działania z zakresu metod sprzedaży i reklamy
- wiecznie narzeka lub zwleka
- pośredniczy w sporze i nakłania do ugody
- tańcząca w ekstazie czcicielka Dionizosa
- nietowarzyski milczek
- słabość, bezsilność
- nieprecyzyjne banały
- strzelić Panu Bogu w nie – niecelnie
- zboże wysiewane jesienią
- wzgórze z osadą będącą zalążkiem Rzymu
- przedstawienie Marii trzymającej martwego Chrystusa
- lane do kufla
- patrzy się na cudaka jak na tego ptaka
- z wróblowatych, buduje workowate gniazda
- luksusowy hotel w Paryżu, Londynie
- zwinięty filet śledziowy
- polecenie dowódcy
- okres godowy jeleni
- miejsce dla odludka, pustelnika
- banknot, dystans lub żarówka
- rower łatwiejszy do transportu, przechowywania
- kto nie w nim, ten w złym nastroju
- łopata do kopania
- kierownik oddziału kopalni
- olejkodajna i lecznicza roślina szuwarowa
- wodne pająki
- w nim kąpane wywołane klisze, odbitki
- Światowa Organizacja Zdrowia w skrócie
- mieć spóźniony – wolniej reagować
- o człowieku bezwartościowym
- wrzawa, tumult
- górna część słupka kwiatu
- powitanie uderzeniem pięści w pięść

KUPON JOLKI „Przeglądu”

hasło: .....

.....

imię i nazwisko: .....

.....

adres: .....

.....

Ja, niżej podpisany(a), wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych przez Fundację Oratio Recta z siedzibą w Warszawie, ul. Inżynierska 3 lok. 7, 03-410 Warszawa, w celu niezbędnym do rozwiązania jolki w „Przeglądzie”, opublikowania moich danych osobowych na łamach tygodnika w razie wygranej i przesłania mi nagrody. Oświadczam, że zostałem(am) poinformowany(a) o dobrowolności podania danych osobowych, o prawie wglądu do moich danych, prawie do ich poprawiania i usuwania.

data, miejscowość .....

czytelny podpis .....

Rozwiązania samego szyfru prosimy nadsyłać na adres redakcji w ciągu 14 dni od daty ukazania się numeru, z dopiskiem: „JOLKA-1222”. Do rozlosowania książki „Palermo. Epicka historia miasta” ufundowane przez Społeczny Instytut Wydawniczy Znak. Rozwiązanie można też wysłać, pisząc SMS: KRPRZ.XXX. HASŁO KRZYŻÓWKI. Należy stosować litery, cyfry i kropki, wielkość liter nie ma znaczenia, w miejsce XXX wpisać numer krzyżówki. Osoby nadsyłające rozwiązania wyrażają tym samym zgodę na przetwarzanie ich danych osobowych. SMS-y należy wysyłać pod numer 72550 (płatny 2,46 PLN + VAT) do 25 maja 2025 r.

Rozwiązanie „JOLKI-1219” z nr. 18: *Tego oko szuka, co sercu miłe.*
Nagrody otrzymują: Maria Bijak-Kaszuba z Łodzi, Barbara Kaleta z Lubonia, Stanisław Majda z Bydgoszczy.

eprasa.pl 105d0f1123

Nasze zasoby w USA

Szum był przez chwilę, potem ucichł. Chodzi o zakup sprzed pół roku, kiedy ogłoszono, że MSZ nabyło budynek w Waszyngtonie, który przeznaczy na siedzibę ambasady RP.

Skąd ów szum? Bo mało kto takiego ruchu się spodziewał, przywykliśmy już do szacownej ambasady w Waszyngtonie, starego budynku, jeszcze sprzed I wojny światowej. Zakupił go w roku 1919 pierwszy poseł RP w Stanach Zjednoczonych, książę Kazimierz Lubomirski, za 160 tys. dol. i przekazał Polsce. Wówczas była to wspaniała ambasada, położona w znakomitym miejscu, w dzielnicy rządowej.

Ale czasy się zmieniają i dziś to okolica, z której wszyscy możni się wyprowadzają. Sprzedali swoje obiekty i wynieśli się m.in. sąsiadujący z nami Włosi.

Od kilku ładnych lat zastanawiano się, jak w tej sytuacji postąpi Polska. Czy będziemy czekać, aż dzielnica stanie na nogi i znów ambasada będzie w dobrym miejscu (a to może trwać i dziesiątki lat), czy kupimy coś nowego. Wyszedł wariant numer dwa. MSZ odkupiło od Johns Hopkins University siedmiopiętrowy budynek w dobrym punkcie Waszyngtonu. Będzie tam i ambasada, i konsulat, i attachat wojskowy. Wszystko pod jednym dachem.

Ciekawa była suma, za jaką budynek kupiliśmy. Jak podał „Washington Business Journal", budynek i działka mają wartość 42,5 mln dol., a Polska kupiła tę nieruchomość za połowę ceny, nieco ponad 20 mln dol. Skąd ta promocja? Potrzebne będą prace adaptacyjne. Nie tylko prosty remont budynku, ale coś więcej. A to będzie kosztowało. W tej chwili w MSZ nikt dokładnie nie wie ile. Nie wiadomo jeszcze, jaki będzie zakres prowadzonych tam robót. Wiceminister Henryka Mościcka-Dendys szacuje koszt adaptacji na przynajmniej 20-30 mln dol.

Sprawa ambasady w Waszyngtonie jest ilustracją szerszej prawidłowości, że dyplomacja to taka dziedzina, w której kupuje się w górce, a sprzedaje w dołku. Bo kupuje się siedzibę w reprezentacyjnej części miasta, a gdy ta część się degraduje – przychodzi sprzedać.

Choć są wyjątki. Na przykład sprawa budynku naszego przedstawicielstwa w Nowym Jorku. Kupiono go w 1947 r., mieści się w dobrej dzielnicy, ale ma zasadniczą wadę – daleko stamtąd do siedziby ONZ. Polska wynajęła więc siedzibę bliżej, w biurowcu, tak że na sesję ONZ można przejść pieszo. Z tym wynajmem, nawiasem mówiąc, były mało ciekawe historie – płaciliśmy za wynajętą powierzchnię, ale przez długie miesiące nic tam się nie działo.

A stary budynek, kamienica wciśnięta między inne? Na razie służy jako skład rzeczy niepotrzebnych. Czyli jest to najdroższy magazyn pod zarządem MSZ. Utrzymywać go w tej funkcji nie ma sensu – trzeba go więc albo sprzedać, albo zaadaptować do nowych potrzeb. Na przykład na rezydencję ambasadora przy ONZ. Są takie dyskusje, ale nic z nich nie wynika. Wiadomo, że za budynek Polska wzięłaby dobre pieniądze – bo jest świetnie położony. Ale sprzedawać go szkoda, więc co? Rezydencja? Niestety, kamienica podlega ochronie konserwatorskiej. Jeżeli zatem początkowo uważano, że da się ją zaadaptować do nowych funkcji za ok. 5 mln dol., to teraz suma ta może się okazać i cztery razy wyższa. A tych pieniędzy nie mamy. Może więc być i tak, że piękny budynek będzie stał, niszczał i straszył.

Attaché

Justyna Steczkowska podczas występu na Eurowizji 2025 w Bazylei. Artystka bierze udział w konkursie po raz drugi, od pierwszego występu minęło 30 lat.

FOT. HOLLANDSE HOOGTE/EAST NEWS

eprasa.pl 105d0f1123

Monde diplomatique

PRZEMYSŁAW WIELGOSZ,
REDAKTOR NACZELNY

Unia Europejska jest tą wśród globalnych potęg, która może na polityce Trumpa stracić najwięcej. Inna sprawa, że sama się do tego przyłożyła. Swoim bezmyślnym atlantyzmem. A tutaj wielkie zasługi ma Polska. (…) Kluczowy w tym względzie był wybór dokonany przy okazji agresji Waszyngtonu pod rządami George'a W. Busha na Irak w roku 2003. Ofiarą tej wojny padło nie tylko irackie społeczeństwo (co najmniej pół miliona ofiar, czyli więcej niż w Ukrainie i Gazie razem wziętych) oraz podeptane przez USA i ich pomagierów prawo międzynarodowe. Celem neokonserwatystów Busha były nie tylko irackie pola naftowe i narzucenie nowego układu geopolitycznego na Bliskim Wschodzie. Przy okazji chodziło także o sparaliżowanie projektu europejskiego.

TYGODNIK ANGORA

KRZYSZTOF POPŁAWSKI,
DOMINIKANIN, SPOWIEDNIK PAPIESKI

W XVI w. papież Pius V ustanowił spowiedników w największych tzw. papieskich bazylikach rzymskich – dominikanów, franciszkanów, bernardynów oraz jezuitów, zastąpionych później przez franciszkanów konwentualnych. Jesteśmy nieustannie dostępni, spowiadamy w kilkunastu językach, stanowimy wspólnotę międzynarodową. To posługa dla Kościoła zlecona przez papieża. Papież może przyjść do każdego księdza i się wyspowiadać. Nie musi przychodzić do swoich spowiedników. Papież Franciszek często zatrzymywał się przed którymś z naszych konfesjonałów i rozmawiał z nami, zachęcał do miłosierdzia.

zwierciadło

MACIEJ MAKSELON,
REDAKTOR LITERACKI

Feminatywy zostały wykorzystane do tego, żeby przypisywać ludziom przynależność ideologiczną lub polityczną. Jeżeli korzystasz z feminatywów, to znaczy, że jesteś lewakiem lub lewaczką. Naprawdę?! Ja korzystam z feminatywów, ponieważ lubię, jak mi się wszystko w zdaniu zgadza. Profesor powiedziała? Jeżeli „ten profesor", to „powiedział", jeżeli „powiedziała", to ona. Równie dobrze mógłbym powiedzieć „ja mówimy". Tu się nie zgadza liczba, tam się nie zgadza rodzaj. Ja jednak lubię, jak zdania są koherentne. Bawi mnie to, że najbardziej zagorzałymi przeciwnikami feminatywów są najczęściej ludzie o bardzo konserwatywnych poglądach, którzy chcieliby kultywować tradycję. Tylko że kultywowaniem tradycji byłoby sięganie po żeńskie formy rodzajowe, bo one są tradycyjne dla polszczyzny.

Pismo.

FISZ, WŁAŚC. BARTOSZ WAGLEWSKI,
MUZYK, KOMPOZYTOR

Dziaders nie dziaders, boomer nie boomer, faktem jest, że życie w ciągłym stanie przebodźcowania nie jest dla człowieka rzeczą naturalną. A nadpodaż muzyki w serwisach streamingowych to jeszcze jeden przykład nadmiaru bodźców, do których mamy dostęp. Widzę po swoich dzieciach, że są w stanie spędzać w tym świecie więcej czasu niż ja, dlatego wydaje mi się, że nasze mózgi siłą rzeczy jakoś się adaptują. Ale na dłuższą metę tak się chyba nie da. Tym bardziej że większość tych treści to są po prostu śmieci. Ostają się tylko te ponadczasowe.

FOT. SARKA FARKA, SEKCJA GIMNASTYCZNA (3)

eprasa.pl 105d0f1123

W DWIE STRONY

Poruszając się wzdłuż linii (raz w jedną, raz w drugą stronę) i przeskakując niektóre litery, odczytaj w każdym diagramie dwa wyrazy.

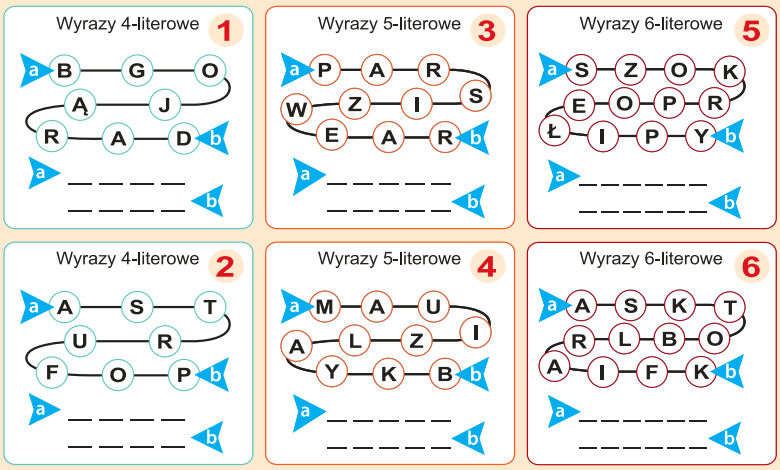

ROZWIĄZANIA: BOJA, DRĄG, STÓŁ, FURA, PASZA, REWIR, MUZYK, BALIA, SOKÓŁ, PIEPRZ, STOLIK, FARBKA

Aby język giętki…

MAREK BOROWSKI O WSTYDZIE

Próg wstydu w polskiej polityce bardzo się podwyższył i już nie wiadomo, co trzeba zrobić, żeby się zawstydzić.

ALEKSANDER HALL O KAROLU NAWROCKIM

Nie ma odwagi powiedzieć, że 10 kwietnia 2010 r. pod Smoleńskiem miała miejsce tragiczna katastrofa lotnicza, a nie zamach.

ANDRZEJ OLECHOWSKI O RELACJACH Z ROSJĄ

Tępa akceptacja tezy, że Polska i Rosja będą wrogami do końca świata, jest niegodna myślącego człowieka.

JAN ENGLERT O TEATRZE NARODOWYM

Program może się w Narodowym zmienić, ale zespół powinien trwać. Był budowany przez wiele lat. To najmocniejszy zespół aktorski w Polsce.

EWA EWART O DIALOGU

Przestał być formą rozwiązywania naszych problemów. Jest przemoc, siła i oczernianie przeciwnika.

MAGDA UMER O MAGDACH UMER

Myślę, że są 23, ale nie wszystkie jeszcze poznałam. Oby ta niepoznana była wesoła. Śpiewam i pocieszam tym wszystkich, a najbardziej siebie.

JACEK CYGAN O CHOREJ DUSZY

Wszystkim radzę, jeśli czują, że dusza jest chora, niech rzucają wszystko i jadą do Włoch. Oczywiście z moją książką „Ciao, Goethe!".

MARIUSZ TRELIŃSKI O STANIE DUCHA

Mam poczucie wiecznej zmiany, ciągłej rebelii i nieustających poszukiwań.

ADRES REDAKCJI
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
Telefony +48 22 635 84 10,
+48 503 158 795, 503 159 027
fax +48 22 635 84 10 wew. 119
przeglad@tygodnikprzeglad.pl
listy@tygodnikprzeglad.pl

tygodnikprzeglad.pl

Redaktor naczelny: Jerzy Domański j.domanski@tygodnikprzeglad.pl
Pierwszy zastępca redaktora naczelnego: Paweł Dybicz
Zastępcy redaktora naczelnego: Roman Kurkiewicz, Robert Walenciak
Sekretarze redakcji:
Agata Gogołkiewicz a.gogolkiewicz@tygodnikprzeglad.pl
Marzena Michałek m.michalek@tygodnikprzeglad.pl
Zastępca sekretarza redakcji: Aleksandra Pańko

ZESPÓŁ I WSPÓŁPRACOWNICY:
Marek Czarkowski, Regina Dachówna, Jakub Dymek, Beata Dżon-Ozimek, Jakub Katulski, Leszek Konarski, Marek Książek, Helena Leman, Mateusz Mazzini, Tomasz Miłkowski, Jan Ordyński, Jacek Pałkiewicz, Rafał Pikuła, Maciej Polkowski, Eliza Sarnacka-Mahoney, Michał Sobczyk, Małgorzata Szczepańska-Piszcz, Bronisław Tumiłowicz, Krzysztof Wasilewski, Kornel Wawrzyniak, Andrzej Werblan, Elżbieta Wojtalik-Soroczyńska, Artur Zaborski, Beata Znamirowska-Soczawa
Stali felietoniści: Stanisław Filipowicz, Tomasz Jastrun, Wojciech Kuczok, Bronisław Łagowski, Andrzej Romanowski, Andrzej Szahaj, Jan Widacki,
Rysownicy: Grzegorz Bąkowski, Kain May
Studio graficzne: Dorota Markowska-Burbelka, Anna Rosiak, Daria Słowińska-Kettner
Dyrektor artystyczny: Izabela Mierzejewska
Fotoedytorzy: Magdalena Głuska, Rafał Pyznar
Fotoreporter: Krzysztof Żuczkowski

Dział wydawnictw i reklamy:
Dyrektor: Anna Banaszek a.banaszek@tygodnikprzeglad.pl
Dział kolportażu: tel. +48 22 635 84 10 wew. 120
e-mail: kolportaz@tygodnikprzeglad.pl
Wydawnictwa książkowe: tel. +48 22 635 84 10 wew. 111
e-mail: sklep@tygodnikprzeglad.pl

Sprzedaż elektroniczna: sklep.tygodnikprzeglad.pl

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega sobie prawo do opracowywania i skracania tekstów. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada. Redakcja ma prawo do odmowy publikacji ogłoszeń.
Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w „Przeglądzie" bez zgody wydawcy jest zabronione. Przedruki po uzyskaniu zgody wydawcy.
Sprzedaż numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez wydawcę jest nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

Druk: Quad/Graphics Europe Sp. z o.o.
07-200 Wyszków, ul. Pułtuska 120

WYDAWCA: Fundacja Oratio Recta
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
NIP: 951-19-67-251, **REGON:** 016275090
KOD SWIFT: WBKPPLPP, **IBAN:** PL
Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821

FUNDACJA ORATIO RECTA
IZBA WYDAWCÓW PRASY
BIURO KONTROLOWANY ZWIĄZEK KONTROLI DYSTRYBUCJI PRASY

eprasa.pl 105d0f1123

NOWE SPOJRZENIE NA MODĘ LUDOWĄ

To opowieść o bogactwie i oryginalności śląskiego stroju ludowego, o tym, że nie musi on wcale odejść w zapomnienie, bo inspiruje współczesnych artystów i projektantów. Zobaczyć można zarówno oryginalne elementy tradycyjnych strojów ze zbiorów Muzeum Śląskiego: bytomskiego, pszczyńskiego, raciborskiego, opolskiego, cieszyńskiego i górali śląskich, jak i współczesne projekty autorstwa znanej projektantki i stylistki ze Skoczowa, Beaty Bojdy, która z pasją i szacunkiem przekształca dziedzictwo kulturowe w nowoczesną estetykę. Ekspozycja to nie tylko „pokaz mody" inspirowany śląskim folklorem, lecz także manifest świadomej mody, łączący elementy upcyklingu, rękodzieła i lokalnej tożsamości. Projekty Bojdy powstały m.in. z haftowanych makatek, koronkowych serwetek czy narzut zakupionych na pchlich targach. To moda, która mówi o historii, a jednocześnie ją tworzy.

Muzeum Śląskie w Katowicach
ul. Tadeusza Dobrowolskiego 1
do 25 stycznia 2026

ETNOALTERNATYWA

FOT. NATALIA DOMALEWSKA/MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 105d0f1123

50 LAT rampa TEATR NA TARGÓWKU

PREMIERA 23 MAJA

WITKACJA

WODEWIL NA KRAWĘDZI

REŻYSERIA CEZI STUDNIAK • SCENARIUSZ KAROLINA FELBERG-PAWŁOWSKA I ROMAN PAWŁOWSKI-FELBERG
MUZYKA GRZEGORZ RDZAK • SCENOGRAFIA MICHAŁ HRISULIDIS
KOSTIUMY BARBARA SIKORSKA-BOUFFAŁ • CHOREOGRAFIA ALISA MAKARENKO

WYSTĘPUJĄ

KAMILA BORUTA-MARSZAŁEK, AGATA ŁABNO, DOMINIKA ŁAKOMSKA, ALISA MAKARENKO
IRENA MELCER, ANNA MIERZWA, HELENA SUJECKA, MASZA WĄGROCKA

ORAZ

MARCIN JANUSZKIEWICZ, ALEKSANDER SAJEWSKI, CEZI STUDNIAK, ROBERT TONDERA

MUZYCY

PERKUSJA MACIEJ BURZYŃSKI / BARTEK PAJĄK • PIANINO GRZEGORZ RDZAK

Instytucja kultury miasta stołecznego Warszawy

Partnerem wydarzenia jest Samorząd Województwa Mazowieckiego
Mazowsze. serce Polski

Teatr Rampa na Targówku, ul. Kołowa 20, Warszawa, teatr-rampa.pl, Biuro Obsługi Widzów i Kasa tel.: (22) 679 89 76, +48 573 801 004, Sprzedaż biletów online: bilety.teatr-rampa.pl, ebilet.pl, kicket.com

eprasa.pl 105d0f1123